



Anna

Gavaldà

**LEPSZE
ŻYCIE**



**Anna
Gavaldà**
**LEPSZE
ŻYCIE**

Przełożył

Paweł Łapiński

Wydawnictwo Literackie

Dla Marianne

Mathilde

Akt pierwszy

1

Kawiarnia w pobliżu Łuku Triumfalnego. Prawie zawsze siedzę w tym samym miejscu. W głębi, po lewej, za barem. Nie czytam, nie ruszam się, nie sprawdzam komórki; czekam na kogoś.

Czekam na kogoś, kto nie przyjdzie, i z nudów patrzę, jak nad Place de l'Étoile zapada noc.

Ostatni koledzy z pracy, ostatnia kolejka, ostatnie zgrane dowcipy, na mniej więcej godzinę zapada flauta, po czym Paryż wreszcie się przeciąga: kursują taksówki, pojawiają się wysokie dziewczęta, właściciel przygasza światło, kelnerzy młodnieją. Ci ostatni stawiają na każdym ze stolików po jednej małej świeczce – sztucznej, migoczącej, nietopiącej się, i dyskretnie dają mi do zrozumienia, że powinnam coś jeszcze zamówić albo zwolnić miejsce.

Zamawiam.

To już siódmy raz, nie licząc dwóch pierwszych, jak spragniona przychodzę o zmroku do tego wodopoju. Jestem dokładna w wyliczeniach, bo zachowałam wszystkie rachunki. Na początku pewnie wyobrażałam sobie, że to na pamiątkę, z przyzwyczajenia albo w ramach fetyszu, ale dziś?

Dziś przyznaję, że robię to, żeby mieć się czego chwycić, kiedy zagłębiam rękę w kieszeni płaszcza.

Skoro te świstki papieru istnieją, to niezbity dowód na to, że... że co właściwie?

Że nic.

Że życie w pobliżu Nieznanego Żołnierza dużo kosztuje.

2

Pierwsza w nocy. Znów pudło. Wracam do domu.

Mieszkam niedaleko cmentarza Montmartre. Nigdy w życiu się tyle nie nachodziłam. Miałam rower o imieniu Jeannot, ale pewnego dnia go straciłam. Nie wiem dokładnie kiedy. Po imprezie u ludzi, których nie znałam i którzy mieszkali, zdaje się, w okolicach dworca Saint-Lazare.

Jeden chłopak zabrał mnie do siebie. Uwieszona na jego ramieniu byłam radosna, ale w jego łóżku mi przeszło. Nosidło dla kota, wzorek na jego kołdrze, plakat z *Podziemnego kręgu* nad łóżkiem z Ikei... Jakoś... jakoś nie dałam rady.

Znosiłam alkohol lepiej niż zazwyczaj.

Pierwszy raz mi się zdarzyło, żebym się tak wymigała z tematu, wytrzeźwiała w sekundę, i było mi naprawdę przykro. Przecież miałam ochotę. O tak, miałam ochotę trochę się zabawić. Lubiłam to. A poza tym zdarzały się gorsze rzeczy niż Brad Pitt i Edward Norton jako przyzwoitki. A tu proszę, moje ciało mnie zdradziło.

Jak to się mogło stać?

Moje ciało.

Takie grzeczne...

Wtedy za nic bym się do tego nie przyznała, ale dziś wieczór, po tyłu samotnie przedeptanych kilometrach, po tej pustce, nicości, po tym braku, braku wszystkiego, wszędzie, nieustająco, kajam się: chodziło o niego.

To on, pasożyt, którego krecia robota po raz pierwszy ujawniła się w tej okropnej pościeli.

Naga, zawiedziona, odwrócona plecami do ściany, pogrążona w bezradności, usłyszałam zakłopotany głos zapewniający mnie:

– Hej... możesz zostać mimo wszystko, wiesz?

Gdybym miała pod ręką karabin, celowałabym w jego głowę.

Z powodu tego „mimo wszystko”, tej pogardy, tej łaski okazanej *in fine* idiotce, która mu nie obciągnęła.

Bang.

Trzęsło mną. Na schodach, na ulicy i kiedy szukałam roweru przy kolejnych latarniach. Trzęsło mną ze złości. Nigdy wcześniej nie byłam w takim stanie.

W ustach czułam smak rzygów i plułam na ziemię, żeby się go pozbyć.

Nie potrafię się zdobyć na porządne charknięcie, dlatego toczyłam na siebie pianę: na rękaw i śliczną apaszkę, i było mi z tym dobrze, bo jak inaczej wyrazić tyle nienawiści?

Przeżywałam to, na co sobie zasłużyłam, i przeżywałam... „mimo wszystko”.

3

Nazywam się Mathilde Salmon. Mam dwadzieścia cztery lata. Oficjalnie jestem nadal studentką historii sztuki (piękny wynalazek), ale w rzeczywistości pracuję dla szwagra. Mojego bogatego, pięknego, cool szwagra, który ciągle pociera czubek nosa i nigdy nie nosi krawata. Szwagier prowadzi dużą internetową agencję kreatywną oferującą usługi w zakresie projektowania, brandingu i developmentu w sieci. Odszyfrowuję: jeżeli macie towar i chcecie go opchnąć w necie, to szwagier wam zaprogramuje śliczną stronę i poprowadzi waszego klienta za rękę aż do zakończenia płatności (oczywiście bezpiecznej). Zostałam zatrudniona w tej firmie w zeszłym roku.

Szwagier potrzebował najemników, a ja kieszonkowego. To było w wieczór moich urodzin, więc przyklepaliśmy ustalenia toastem. Jak na umowę z szefem mogło być gorzej.

Przysługuje mi wiele zniżek studenckich: na bilety do kina, do muzeum, na siłownię i do barów uniwersyteckich, ale ponieważ zdecydowaną większość czasu spędzam przed komputerem, ponieważ zmieniam się w idiotkę i ponieważ zarabiam dużo za dużo, żeby wracać na stołówkę, nie korzystam już za bardzo z tych udogodnień.

Pracuję w domu, w swoim rytmie i po ciemku, mam tysiąc nazwisk, tysiąc adresów, tysiąc nicków oraz tyle samo awatarów i przez cały dzień wypisuję lipne komentarze.

Pomyślcie o paryskim kontrolerze biletów z piosenki Serge’a Gainsbourga – to właśnie ja. Produkuję tego tyle, że mogłabym wam zaśpiewać:

Komcio tu, komcio tam i jeszcze jeden tu,

Tu komcio normalny,

Tam komcio ulgowy..^[1]

Dostaję niekończącą się listę stron z oznaczeniami „zgnoić” albo „praise only” (w branży internetowej wszystko, co modne, musi być po angielsku), żebym zasiała wątpliwości u potencjalnych klientów, następnie nagoniła ich, by wreszcie im zaferować (ale dopiero po tym, jak już wystarczająco zabuła) pełen pakiet pozytywnych opinii na forach dyskusyjnych i najlepsze możliwe pozycjonowanie w Google.

Przykład: spółka superyoyo.com produkuje i sprzedaje superjo-jo. Tylko że jej strona jest masakrycznie przedpotopowa – żeby się o tym przekonać, wystarczy spojrzeć na wszystkie nieprzychylnie komentarze krążące w sieci, wrzucone, udostępnione, cytowane na blogach, wyłapanie, oblukane,

tweetnięte, zaczeplone, otagowane, zarikestowane, wrzucone na walla, zdyslajkowane, odlolowane, wspomniane na czacie tu i tam przez Micheline T. (jam to), Jeannotdu41 (ja), Choubi_angel (moja osoba), Helmutvonmunchen (*Ich*) albo NYUbohemiangirls (*me and myself*). No cóż, wpędza to Jo-joland w meganiepokój. Ostatecznie pan i pani Yoyo, poinformowani o talentach mojego szwagra za pomocą tyleż wariackiego, ile genialnego patentu (niestety jest zbyt długi, żeby go tłumaczyć, a wszystko to i tak nie ma żadnego znaczenia), łamią się i przychodzą, błagając: koniecznie potrzebują zupełnie nowej strony. Tak, tak! Dla firmy to sprawa życia i śmierci. Szwagier natomiast ostatecznie wielkopańsko zgadza się im pomóc i trzy tygodnie później – cud! Kiedy wystukasz na klawiaturze „yo” lub „yoy”, już cię przenosi do Yoyolandu (nie działa jeszcze dla samego „y”, ale harujemy nad tym jak woły). I kolejny zaskok, kolejny cud! Jam to zamawia po dziesięć z każdego rodzaju dla szóstki swoich wnuków, ja nie posiada się z radości i zapewnia, że będzie mówić, gdzie się tylko da, o najbardziej superanckich jo-jo na świecie, moja osoba stwierdza, że są mega, mega cool – !!!, *Ich chtschal bi info für zostchatsch* Offisyalnym Dealerem Yoyo, natomiast *me and myself are sooooo excited coz yoyos are sooooo French*.

No i tyle: po prostu komentuję. A mój szwagier rozgląda się za poszerzeniem działalności z perspektywy swojego ogromniastego mieszkania w XVI dzielnicy.

Perfekcja tego układu jest złudna, wiem o tym. Powinnam raczej wykorzystać wenę do skończenia (rozpoczęcia) pracy magisterskiej. „Od holenderskiej królowej Wilhelminy do Paula Jouanny’ego. Historia i koncepcja przyczep akwarelistów i innych pojazdów na potrzeby malarzy plenerowych”. Jest rozmach, nie? A może lepiej pomyśleć o swojej przyszłości, własnym tyłku i trzecim filarze? Niestety, gdzieś po drodze straciłam wiarę i sama też marzę już tylko o życiu w plenerze.

Bo wszystko jest fałszywe... Bo wszystko to tylko komentarze... Bo bieguny nam właśnie topnieją, bankowcom wreszcie wypłacono odszkodowania, chłopci wieszają się w stodołach, a miejskie ławki demontuje się, żeby nie przesiadywali na nich kłoszardzi... Szczerze? Czemu miałabym się wysilać i zapuszczać korzenie w takim świecie, co?

Żeby o tym nie myśleć, biorę udział w kombinacyjkach mojego szwagierskiego i Larry’ego Page’a: kłamię od rana do wieczora i tańczę od wieczora do rana.

Właściwie... tańczyłam. Obecnie zaciskam pasa i snuję się przy świetle księżyca w oczekiwaniu na chłopaka, który nawet nie wie, że na niego czekam.

Co za głupota.

Chyba jestem zagubiona, na głodzie wrażliwa, skoro się do tego posunęłam.

4

Pauline i Julie D., dwie dziewczyny, z którymi dzielę sto dziesięć metrów kwadratowych przy rue Damrémont, to bliźniaczki. Jedna pracuje w bankowości, druga w ubezpieczeniach. Rock’n’rollowe podejście. Nie mamy ze sobą nic wspólnego i to właśnie stanowi sekret naszego harmonijnego współżycia. Ja jestem w domu, kiedy ich tam nie ma, a kiedy bliźniaczki wracają, nie zastają mnie już w mieszkaniu.

One pilnują rachunków, a ja odbieram ich przesyłki (głupoty opłacane PayPal), ja przynoszę świeże pieczywo, a one wynoszą śmieci.

Jest wprost wspaniale.

Jak dla mnie Pauline i Julie są trochę głupiutkie, ale jestem naprawdę zadowolona, że wygrałam ich casting. Zorganizowały sobie serię przesłuchań w stylu *W poszukiwaniu nowej prawie doskonałej współlokatorki* (mój Boże...) (co za pompa...) (jeszcze jeden niezapomniany epizod mojej szalonej

młodości) i zostałam Wybrana. Chociaż nigdy do końca nie zrozumiałam dlaczego. Byłam wtedy porządkowym – co tam porządkowym, byłam agentem! Agentem porządkowym w Musée Marmottan Monet i zdaje mi się, że wpływ papy Moneta zadziałał na moją korzyść: młoda zadbana dziewczyna, która spędzała tyle czasu pośród *Nimf*, musiała być uczciwa.

Głupiutkie, krótko mówiąc.

Paryż jest dla nich tylko obowiązkowym punktem w CV. Nie bardzo im się podoba i marzy im się powrót do życia w Roubaix, na dalekiej Północy, gdzie zostali tatuś, mamusia i kocur Pieszczoł i gdzie same zawijają się tak często, jak to tylko możliwe.

Korzystam więc z tego szczęścia (supermieszkanie tylko dla mnie co weekend i zapasy równo poukładanych pod zlewem szmatek z mikrofibry, którymi wycieram rzygi wszystkich swoich znajomych), zanim zdecydują się wrócić na prowincję na stałe.

Powiedzmy, że korzystałam. Teraz już... już sama nie wiem. Zdaje mi się, że coraz trudniej mi je znosić... (Po powrocie wsuwają kaptcie-baleriny Isotoner i w porze śniadaniowej słuchają radia Chante France – bywa to męczące). A jednak problem leży we mnie, mam tego pełną świadomość. One akurat są cały czas tak samo dyskretne i czuwają nad tym, żeby ściszać muzykę, kiedy gubię się w oparach ich zbożówki. Nic im nie mogę zarzucić.

Tak, to ja i tylko ja jestem źródłem tego, co mnie gryzie. Mija już trzeci miesiąc, jak nic mi nie smakuje, jak nigdzie nie wychodzę, jak nic nie piję, jak...

Jak staczam się po równi pochyłej.

*

Trzy miesiące temu mieszkanie wciąż przypominało plac budowy.

Nie było w najlepszym stanie i Pauline (ta bardziej rozgarnięta) przekonała właściciela, żeby powierzył nam remont w zamian za zwolnienie z czynszu w wysokości równej kwocie rachunku końcowego. (Trochę skomplikowane zdanie, bynajmniej nie mojego autorstwa, zapewniam!). Podnieciły się tym jak cnotki, pomierzyły wszystko, rozrysowały plany, przekartkowały katalogi i pozamawiały mnóstwo kosztorysów, które komentowały potem całymi wieczorami, siorbiąc swoje ziółka. Zastanawiałam się nawet, czy nie minęły się przypadkiem z powołaniem.

Cały ten bojowy zryw trochę mi zawadzał. Musiałam zdezerterować i zawiązać się do ula mojego szwagra i wszystkich jego milusich geeków w formacie 2.0, żeby mieć spokój i wymóżdżać swoją prozę. Ale dobra, przyznaję, że elektryka pozostawiała wiele do życzenia (mój komp mrugał, kiedy jednocześnie pracował piekarnik), wszystko się chwiało, a łazienka nie była zbyt praktyczna (wciąż trzeba było obchodzić stary bidet). Niczym nie musiałam się zajmować, więc kiedy bliźniaczki zaproponowały, żebyśmy zapłaciły za robociznę w gotówce, żeby nie płacić VAT-u (choć tyle!) i zyskać przychyłność P. Carvalho (wytypowanego budowlańca, spryciarza zarobionego do granic), nie kazałam się długo prosić.

Pod tym względem również nie bywam trudna.

Po co o tym wspominam? Bo bez delikatnego szantażu szanownego pana „oburzonego” kosztami pracy, bez niezapowiedzianej podwyżki podatku od wartości dodanej w budowlance i bez mojej i dziewczyn chciwości, ogólnie bez wspólnej chciwości nas wszystkich (to w końcu on na tym zyskiwał) – nie byłoby mnie tam, w tej deprymującej dzielnicy, i nie wpatrywałabym się we własną pustkę.

Było to tak:

5

Kawiarnia w pobliżu Łuku Triumfalnego. Siedziałam w głębi, po lewej, za barem. Nie czytałam, nie ruszałam się, nie sprawdzałam komórki; czekałam na Julie.

Moją współlokatorkę, tę, co robi w BNP (ona sama zawsze mówi: BNP Paribas) i która oblicza, jak dziecko przy tablicy, wszystko, co można między nas podzielić (czynsz, opłaty, media, abonamenty, napiwki, kapsułki do zmywarki, kalendarz od kominiarzy, rolki papieru toaletowego, żel pod prysznic, wycieraczkę, itede, itepe, i jeszcze bardziej dziwaczne pozycje).

Umówiliśmy się na spotkanie w ten piątek późnym popołudniem w pewnej knajpie niedaleko jej roboty.

Przemierzanie Paryża dla jej pięknych oczu trochę mnie zmuliło, ale wiedziałam, że śpieszy się na pociąg i że to jednak ja jestem tą najbardziej... hmm... najmniej zapracowaną ze wszystkich.

Miała przekazać mi dwie trzecie kasy przeznaczonej dla naszego ukochanego murarza krętacza, z którym byłam umówiona następnego dnia rano, czyli dość wypchaną kopertę, czyli dziesięć tysięcy euro w gotówce.

No tak... Cokolwiek by mówić... to miał być Wersal.

W ramach wagarów wykorzystałam to popołudnie na bieganie po sklepach – wtedy wciąż jeszcze byłam małą brunetką o jak najnormalniejszych cechach: głupiutka, wesolutka, próżna i rozrzutna – i czekałam na Julie, przytulając do siebie leżące obok mnie na kanapie z moleskinu torby pełne fatalaszków, galanterii, kosmetyków i kolejnych bezużytecznych par butów.

Złaziłam kilometry od jednej witryny sklepowej do drugiej, po czym wzięłam się do sączenia mojito, żeby dojść do siebie po tylu emocjach.

Byłam wykończona, spłukana, było mi wstyd i byłam bardzo szczęśliwa.

Dziewczyny rozumieją.

*

Ona – w swoim kostiumiku szarej myszki – dotarła punktualnie co do minuty. Nie miała czasu nic wypić, albo zresztą wodę niegazowaną poproszę. Poczekala, aż kelner odejdzie, rzuciła kilka nieufnych spojrzeń dookoła, wreszcie wyjęła z aktówki kopertę i powierzyła mi ją ze zboląłą miną, którą przybierają wszyscy bankowcy, kiedy sytuacja zmusza ich do przekazania człowiekowi pieniędzy.

– Nie wkładasz jej do torby? – zaniepokoiła się.

– Tak, tak. Oczywiście. Sorry.

– To jednak niezła suma...

Patrzyłam na mnie, jak mieszam w szklance liście mięty, jakoś jej nie uspokajało:

– Ale będziesz ostrożna?

Potwierdziłam z poważną miną (biedaczka, gdyby wiedziała, że to nie odrobina rumu z limonką tak mi zawróci w głowie...), po czym wsunęłam niemałą sumkę do torby na ramię, którą postanowiłam trzymać na kolanach, żeby uspokoić Julie.

– Same setki... Na początku włożyłam je do koperty bankowej, ale potem pomyślałam, że nie jest to zbyt dyskretne. Rozumiesz, z uwagi na logo... Więc zmieniłam.

– Dobrze zrobiłaś – pochwaliłam, kiwając głową.

– A poza tym, widziałaś, nie zakleiłam jej, tak żebyś mogła dodać swoją część...

– Doskonale!

A ponieważ wciąż była spięta, wydusiłam z siebie:

– Ej no, Julie... Wszystko będzie dobrze. – Jednocześnie przeciągnęłam sobie pasek torby nad głowę. Popatrz! Prawdziwy bernardyn! Wasz cwaniaczek Antonio dostanie swoją kasę. Dostanie, dostanie, nie martw się.

Zrobiła jakąś minkę ustami, uśmiech albo westchnienie, trudno powiedzieć, potem wzięła się do studiowania rachunku.

– Daj spokój, biorę to na siebie. No już, zmykaj, inaczej spóźnisz się na pociąg. Uściskaj ode mnie swoich rodziców i powiedz Pauline, że jej paczka dotarła w jednym kawałku.

Wstała, rzuciła ostatnie zaniepokojone spojrzenie w kierunku mojego starego wora, zawinęła się w trencz i pojechała, jakby z żalem, na weekend do domciu.

Dopiero potem, w kawiarni w pobliżu Łuku Triumfalnego, siedząc w głębi i tak dalej, zaczęłam szukać telefonu. Marion nagrała mi wiadomość, chciała wiedzieć, czy przemogłam się już w kwestii tej krótkiej niebieskiej sukienki, którą namierzyłyśmy razem w zeszłym tygodniu, na ile rzeczy starczy mi jeszcze debetu i czy mam już plany na wieczór.

Oddzwoniłam do niej i trochę się pochichrałyśmy. Opisałam jej szczegółowo swój łup – bez krótkiej sukienki, ale za to z parą powalających szpilek, cudnymi spinkami do włosów i prześliczną bielizną. No mówię ci, wiesz, staniczek jak ten Eres, wstążki takie typowe, no wiesz, i z ramiączkami też w takim stylu, no, majteczki odjechane, nie, nie, ej, w życiu, wcale niedrogie i naprawdę precudne, no mówię ci, wiesz, w rodzaju tych, co przykrywają ci cipkę pod lamówką i bla bla bla i tralala, i ojoj.

Następnie opowiedziałam jej o mega spiętej minie mojej współlokatorki, potem historię koperty bez logo i o tym, jak założyłam sobie pasek od torebki na szyję niczym stara harcerka, żeby ją uspokoić, i wtedy, jakżeby inaczej, chichrałyśmy się jeszcze głośniej.

W końcu zaczęłyśmy rozmawiać o poważnych sprawach, czyli organizacji wieczornego wyjścia, tego, kto na nim będzie i co na siebie włożymy. Nie zapomniłyśmy też o wstępnym przeglądzie wszystkich młodych samców, na których mogłybyśmy tam trafić. Przegląd ze szczegółowym profilem: przebieg, zużycie opon, sytuacja rodzinna, bilans kompetencji i wiarygodność firmy.

Zaschło mi w ustach od tego świergotania, zamówiłam więc kolejne mojito, żeby dotrzymać do końca.

A cóż ty tak chrupiesz? – zdziwiła się nagle moja przyjaciółka. – Kruszony lód – wyjaśniłam jej. – Ale jak możesz? – ciągnęła dalej porażona, po czym padła moja idiotyczna aluzja z mocno seksualną konotacją, o tym, jakie to plusy może mieć połączenie gryzienia z lodem w pewnych okolicznościach życiowych.

Oczywiście w ramach przechwałek. Czysta, ogłupiała próżność zapożyczona z jakiegoś taniego kryminału, żeby tylko usłyszeć głupiutkie rzenie dobrej kumpeli. Zdążyłam już o tym zapomnieć, ale powróci to z wykopem kilka dni później, żeby pogрузić mnie wówczas w koszmarne przerażenie.

Później dowiemy się dlaczego.

Marion ostatecznie się rozłączyła, a ja zostawiłam na stole dwa banknoty, zgarnęłam cały majdan i dopiero kiedy chciałam wyjąć klucze, żeby odpiąć rower, zaczęłam panikować.

Miałam wszystkie inne, miałam szpile, kremy przeciwzmarszczkowe i majteczki w groszki, ale brakowało mi jednej torby, jedynej, która była naprawdę cenna.

Fak, syknęłam, ale ze mnie idiotka... Wróciłam tą samą drogą galopem, nie ustając w wyzywaniu się od najgorszych.

Ależ się zaczęłam nagle pocić... I jak zimne były te drobne kropelki, które ściekały mi wzdłuż kręgosłupa... A moje nogi... Jakie były słabe... I jakże walczyły, by przemierzać ziemię, która się pod nimi rozstępowała.

Mimo wszystko próbowałam przywołać się do porządku.

Przywoływałam się do porządku, przechodząc w miejscach niedozwolonych przez ulice wśród trąbienia przestraszonych kierowców. Wmawiałam sobie: dobra, to było raptem kilka minut temu i ledwo kilkaset metrów stąd. Wciąż tam jest. Kelner ją zobaczył, zabrał, zgarniając swój hojny napiwek, odłożył na bok i odda mi ją za dwie minuty, wznosząc oczy do nieba: Ach, te dziewczyny...

Spokojnie, kochana, spokojnie.

O mało co nie dałam się rozjechać i wcale nie byłam spokojna.

Kanapa wciąż była trochę letnia, zagłębienie po moim tyłku wciąż widoczne, banknoty grzecznie leżały na stoliku, tylko torby nigdzie nie było.

Obsługa nie rozumiała. Szef nie rozumiał. Nie, niczego nie znaleźli, ale cóż, z uwagi na dzielnicę nie można się dziwić. Nie dalej jak tydzień temu zawinęli mu mydelniczki. Tak, dobrze pani słyszała: mydelniczki. Nie do pomyślenia, co? Ktoś je odkręcił. Co za świat, nie ma co. Nie mówiąc już o roślinach wokół tarasu, które teraz muszą spinać łańcuchem co wieczór. No? A sztucce? Wie pani, ile nas rocznie kosztuje to, co nam dmuchną? Tak, tak. Niech pani spróbuje zgadnąć.

Oczywiście nie docierał do mnie ten stek zażaleń. Miałam to gdzieś. Byłam totalnie spanikowana, a skoro według nich nikt nie wychodził, od kiedy ja się zwinęłam, to oznaczało, że ten nieuczciwy osobnik wciąż był w pobliżu.

Obeszłam dookoła salę i przetrzepałam taras, przyglądając się kanapom, krzesłom, kolonom, przestrzeni pod stołem i wieszakom na płaszcze. Przepychałam ludzi, przepraszałam, powstrzymywałam łązy, zesłam do toalety, damska, męska, zakaz wstępu, zapuściłam się do kuchni, pytałam, przepychałam się, kiedy ktoś mnie odpychał, błagałam, przyrzekałam, łamałam się, kłęłam, uśmiechałam się, żartowałam, opisywałam ze szczegółami, lustrowałam, robiłam zoom, nadzorowałam drzwi wejściowe i w końcu się poddałam: na horyzoncie nie ma ani torby, ani podejrzanego.

Okłamywali mnie. Albo postradałam rozum.

To możliwe. Zresztą chyba już do tego doszło. Przestałam myśleć, zaczęłam wałkować temat: czyżbym zgubiła ją w drodze po rower? Może to pasek puścił, żeby ukarać mnie za naśmiewanie się z grzecznych drużynowych? Czyżbym stała się ofiarą doświadczonego kieszonkowca z górnych rejonów Pól Elizejskich? Czy to moje jedyne wolne popołudnie, kiedy mam wychodne, a resztę dni tygodnia spędzam w miejscu odosobnienia?

Rozbita, wróciłam do deprymującego dźwięku ich okolicznościowego pocieszania:

Naprawdę nam przykro, panienko. Proszę nam zostawić swój numer w razie czego. I proszę sprawdzić wszystkie śmietniki w dzielnicy. Wie pani, ich interesują tylko pieniądze, reszty od razu się pozbywają. Lepiej chwilę poczekać ze zgłaszaniem na policję, mimo że dokumenty są w dzisiejszych czasach na wagę złota. Tak czy inaczej coś pani powiem: z tymi wszystkimi Romami, co się kręcą po Elizejskich od dwóch lat, to niczemu już nie można się dziwić.

Powodzenia!

Po wyjściu na zewnątrz się rozpłakałam.

Płakałam nad sobą. Nad swoją głupotą. Nad absurdalnymi torbami, które ledwo mogłam udźwignąć. Nad wszystkimi rzeczami, których nie potrzebowałam, które mi zwisały, były nic niewarte i które...

A moje amulety, mój pierdolnik, a zdjęcia... A telefon, prześliczna puderniczka, klucze i mój adres, i nasz adres obok tych kluczy, a zamki do wymiany i dziewczyny, które były daleko i które nie były zbyt wyrozumiałe w przypadku takich wygłupów... A karta kredytowa, portmonetka, którą tak lubiłam, i moja kasa, a ich kasa... Tak, ich kasa, do cholery! Dziesięć tysięcy euro! Dziesięć tysięcy euro, które muszę przekazać temu koleśowi jutro rano! No jak można być taką idiotką? No brawo, jak trzeba odgrywać lafiryndę przez telefon z Marion, to jestem mistrz, ale kiedy tylko ktoś powierza mi ważne zadanie – brak chętnych.

Co ja teraz zrobię? Co mam teraz robić? Jak się nazywam? Dlaczego jestem taka przybita? No dlaczego? I jak z tym wszystkim skończyć? Którędy nad Sekwanę? Mamusiu. Matko Boska. Panie Boże. Pomóżcie mi.

Panie Boże, spraw, żeby... Panie Boże, obiecuję ci, że... Jezusie, Maryjo, Józefie, może na to nie wyglądam, ale tak naprawdę myślę o was mega często, wiecie, no i... No i te jebane dziesięć tysięcy euro! No co ja mam w zasadzie zamiast mózgu? Jak można być tak zdebiłałym? Och... Święty Antoni... Święty Antoni Padewski, użyj całej swej mocy... Litości... Moje zdjęcia, telefon, wiadomości w archiwum, moje kontakty, pamiątki, moje życie, moi przyjaciele... A teraz jeszcze rower... Mój skrzepowany rower, który patrzył na mnie jak głupi i który też ktoś ukradnie! I nie miałam nawet czym zapłacić za taksówkę... A już na pewno nie mam jak oddać moim panienkom z Rochefort... Panie Boże, moja karta kredytowa, mój PIN, numer alarmowy na zastrzeżenie, moi przyjaciele, moja Nielimitowana karta do kina, filmik, na którym Louison stawia pierwsze kroczyki, maskara od Diora, szminka od Coco, kalendarz, klucze do agencji, zdjęcie z automatu, które tak lubiłam – ja i Philou w centrum handlowym w Plancoët – a mój notatnik, który uwielbiałam, i wszystkie pamiątki do niego wsunięte... a pilnik do paznokci... a dziesięć kafli... i... och...

I płakałam.

Bardzo.

O wiele za bardzo.

W niektórych przypadkach niektóre łzy służą temu, żeby zapoczątkować całą resztę. Płakałam długo. Wypłakiwałam z siebie wszystko. Wszystko, czego u siebie nie lubiłam, popełnione głupstwa, do których się nie przyznawałam, i wszystko, co straciłam po drodze, od wieku, w którym zaczyna się rozumieć, że pewne rzeczy tracimy na zawsze.

Płakałam od Place de l'Étoile aż do Place de Clichy.

Wypłakałam cały Paryż. Wypłakałam całe swoje życie.

8

Konsjerżka miała zapasowy zestaw kluczy. Uściskałam ją. Z rozpędu nawet pogłaskałam jej psa. Dorwałam się do telefonu stacjonarnego, zablokowałam kartę, pogrzebałam w teczce z napisem „Remont” i nagrałam wiadomość senhorowi Carvalho, żeby zyskać na czasie. Co za szczęście w nieszczęściu, że nadziałam się na jego pocztę głosową. Choć poważnie wątpię, że cokolwiek zakuma z mojej paplaniny o *odhobiño zamiesãnha*. Mniejsza z tym, teraz jestem poza zasięgiem. Zamknęłam zamek w drzwiach na dwa razy, wysłałam desperacki mail do Marion, wzięłam prysznic, przekopałam

rzeczy dziewczyn, zajmowałam im trochę leków nasennych, naciągnęłam kołdrę na biedny wrak, którym się stałam, i zamknęłam oczy, powtarzając sobie totalnie fajansiarską kwestię Scarlett O'Hary: „Jutro też jest dzień”.

Gadanie, małeńka, gadanie...

Jutro będzie o wiele gorzej...

Chciałam umrzeć. Wiem, że to głupie – dwie pigułki donormylu to jednak za mało, żeby oczekiwać cudów tego rodzaju, ale cóż, taką właśnie miałam tego wieczoru chęć: mamusia u wezgłowia, nucąca mi kołysankę, głaszcząca mnie po skroniach do końca świata.

Sama sobie cichutko podśpiewywałam. Żeby skończyć z tym uzalaniem się nad sobą, kiedy nie miałam już w sobie więcej łez, poszłam poszukać jakiejś flaszki albo dwóch, żeby zmontować sobie z nich nowe zapasy.

*

Tyle mnie już kosztowało, żeby pożyczyć od szwagra trzy tysiące euro na remont, że nie wyobrażałam sobie proszenia go jeszcze o dziesięć...

Zostałam już zaszczycona przez niego krótką przypowieścią o wiewiórkach, koniku polnym i mrówkach. Nic specjalnie złośliwego, nie, ale i tak bardzo nieprzyjemne. Odrobinę pobłażliwe. Odrobinę paternalistyczne.

Nie lubiłam, kiedy ktoś zwracał się do mnie jak do małej dziewczynki. Moja matka zmarła, gdy miałam siedemnaście lat, a Arthur Rimbaud upajał mnie swoim piwem i lemoniadą. W tym gównianym wieku można stać się bardzo poważnym. Byle tylko tego nie okazywać. Trzeba iść dalej z podartymi kieszeniami^[2], kupować mnóstwo pierdół w ramach rekompensaty, a co ma się najcenniejszego, zasadniczo trzeba zgubić. Dobra, OK, to smutne, ale ma się tego świadomość i można sobie z tym poradzić jak z całą resztą. Natomiast kazania odpadają. Nie ma innej opcji. Ludzi, którzy wiedzą i tłumaczą wam, na czym polega życie – takich wypalamy do gołej ziemi.

Siedziałam w ciemności na podłodze, opierając się plecami o piekarnik, i oddawałam się w opiekuńcze ręce pana Gordona i pani Smirnoff, którzy mieli mnie uspokoić i zabalsamować mój smutek. Nie dam się ponieść psychodelirce, ale kiedy matka zmarła, naprawdę musiałam zacisnąć zęby (czy miałam wybór?). Utrata torby, która do niej należała – ze wszystkimi więziami, świadectwami, wspomnieniami i całkiem małymi, słodkimi i niezastąpionymi rzeczami, które mieściła – pozwoliła mi w końcu opłakać utratę matki.

Śmiałam się, chodziłam, śmiałam się głośno. Wydobywałam z uss słowa, które rosspływały żę bess łątu i skłatu. Były jak laski dyma... znaczy żę dyna... no dy... które od... ryła-am... to od... niego... moje zapory...

Wybuchały jedna po drugiej.

Wszystkie.

Wszystkie.

Wszystkie.

Leżałam zwinięta w kulkę na podłodze w kuchni i przebiegałam wzrokiem kolejno po łączeniach kafli, licząc kłębki kurzu pod meblami. No proszę – mówiłam do siebie – znalazł się ten nożyk, o którym myślałyśmy, że trafił do śmieci razem z obierkami, znalazł się...

Jak długo tak leżałam? Wiele godzin. Wiele i jeszcze więcej. Słońce przeszło już do salonu. Do naszego pięknego, całkiem nowego i niespłaconego salonu.

Bosz... Jeszcze minutkę, panie Bajzel... Jeszcze minutkę czy dwie z nosem w kubie na śmieci i potem już idę na komisariat, obiecuję panu. Poinformuję moje najukochańsze współlokatorki i zadzwonię do szwagierskiego, żeby powiedzieć mu: „Hej, Jef, kochany, posłuchaj tego! Potrzebuję jeszcze dziesięciu tysięcy! No weź, bądźże tak miły... Będę dalej wypisywać debilne komentarze przez najbliższe sto pięćdziesiąt lat, żeby spłacić to, co ci jestem winna. Tak czy inaczej i tak do niczego innego się nie nadaję... Tylko do bycia byle kim i gadania byle czego”.

Byłam w ogrodzie Marevskich w Varenne. Matka tłumaczyła mi, dlaczego nie należy zrywać małych, białych cyklamenów, które zwijały się w kulki u stóp lipy:

– Chodzi o to, żeby się znów rozsiały, rozumiesz?

Mówiła mi już o tym setki razy, ale ja byłam tak poruszona ponownym spotkaniem z nią, że nie śmiałam jej przerywać. A potem usłyszałyśmy z oddali wielki hałas.

– Grzmot? – zmartwiła się matka.

– Nie – odpowiedziałam jej, śmiejąc się – nie, to jakieś roboty, wiesz, że rozwalają teraz wszystko w mieszkaniu.

A wtedy ona mnie...

Ktoś tłucze w drzwi. Cholera, która jest właściwie godzina? Dźwięk dzwonka, krzyki, piekielny łomot. Oooh, moja głooowa... Podniosłam się, miałam coś... coś mi się przykleiło do policzka... Okruszek chleba... 18.44... Szlag, spędziłam cały dzień, kimając pod zlewem i... aj... pieprzony syfon.

– Proszę otworzyć albo dzwonię na 112! – niósł się czyjś głos.

Konsjerżka. Cała skołowana. Wchodzi tu już trzeci raz. Próbowwała się ze mną skontaktować od samego rana. Moje współlokatorki też nie mogły się do mnie dodzwonić i męczyły ją w służbowym mieszkaniu na parterze.

– A ponieważ zapewniłam je, że jest pani tutaj, no cóż, zaniepokoiły się, rozumie pani? Myślałyśmy, że coś się pani stało. Och, mój Boże... tyle nerwów! Tyle nerwów nam pani narobiła!

Mój ojciec do nich zadzwonił. Mój ojciec, do którego nie odzywałam się od lat i który na liście adresów w moim telefonie wciąż figurował jako „Tata” przez czystą słabość i/lub pozostałość po dziecięcej pobożności. A kiedy P. Starovič zdała sobie sprawę, że jestem totalnie wcięta i nic nie łapię z tego, co do mnie nawija, wreszcie chwyciła mnie za rękę i delikatnie nią potrząsnęła:

– Ktoś znalazł pani torebkę...

Puściła mnie, wytrzeszczając oczy.

– No ale czemu pani płacze? No przecież nie trzeba tak płakać. Wszystko się w życiu układa!

Za bardzo ryczałam, żeby móc przyznać jej rację. Próbowалаm wziąć się w garść, uspokoić ją, ale dobrze widziałam, że bierze mnie za trzepniętą wariatkę. I kiedy tak się uśmiechałam do niej cała zasmarkana, słyszałam w mojej cholernej łepetynie, całej w strzępach, cichuteńki głos mówiący: „Och, dziękuję... Dziękuję, mamó”.

Zadzwoiłam jeszcze dalej niż na Północ. Miałam fuksa, że trafiłam na Pauline, inaczej mogłabym skończyć jako ofiara krwawej zemsty. Jej reakcja na moje słowa była dość bezbarwna: wzdychanie z ubolewaniem, krótkie, wybąkiwane zdania i informacje sączące się przez zaciśnięte wargi. Tak mnie to zirykowało, że ostatecznie zrewanżowałam się okrutną ściemą (wiem, wiem, jestem nic niewarta, ale taki mam zawód), żeby nie ryzykować, że się posra na całego. Odebrałam już swoją dawkę emocji tego dnia. Uściśliłam jej udręczonym tonem, że nie musi zwracać się do mnie jak do upośledzonej, że ich koperty nie było już w mojej torbie i że ich kasa jest cała i zdrowa. Wszystko gra. Koniec dramatu. Dajże spokój.

Haaaaa... Moje dziewczę od razu się rozluźniło... Jej głos stał o dziesięć stopni, a wyjaśnienia zrobiły się bardziej zrozumiałe. Jasne, słuchałam, co takiego ważnego ma mi do zakomunikowania, ale dokładnie w tym momencie dotarło do mnie, że oto kończą się nasze nużące lata serdecznego porozumienia i że jak najszybciej opuszczę rue Damrémont. Życie jest krótkie, wolałabym znów wynieść się na przedmieścia (aaaarrgh), niż mieszkać z ludźmi, którzy zaczynali się poczuwać do patrzenia na mnie z wyrzutem.

W dupie mam morały i moralizatorów. Sram na nich. A jeszcze bardziej, kiedy święty ogień, który napędza ich oraz ich homilie, ich kazania i szlachetne uniesienia, zeszmaca się pod postacią banknotów.

Dobra... no... nie ma to jak piękne, znakomite i szlachetne zdanie kryjące w zakamarkach wszystko, czego trzeba z Wujcia Hugo. Jednak pobrzmiało ono równie głucho jak echo w mojej biednej głowie: dziesięć tysięcy euro poszło w świat, a ja od dawna nie wierzyłam już w Świętego Mikołaja. Nawet jeżeli koleś, który zadzwonił do niejakiego „Taty” z mojej listy kontaktów, znalazł torebkę, to nie odda mi jej z całą zawartością.

No nie...

Wszystko zaczynało się znów układać, ale przejść od tego zdania prosto do powiedzenia, że życie jest piękne, byłoby co najmniej ryzykowne.

Skąd ja wezmę ten cholerny hajs? I tu hop – znów wpadłam w kołowrotek. Tylko że tym razem zadziałało. Tym razem robiliśmy w konkrety, a konkret można ogarnąć.

Taki konkret nie umiera w szpitalnym pokoju.

Jedyny szkopuł polegał na tym, że wspomniany koleś uprzedził mojego starego (który powtórzył to dwóm gadułom), że nie będzie go w Paryżu w nadchodzący długi weekend (poniedziałek był wolny) i spotka się ze mną w kawiarni, w której zostawiłam torbę, dopiero we wtorek koło piątej po południu.

W pierwszej chwili pomyślałam, że ma tupet i że mógłby mi równie dobrze zostawić zgubę u szefa lokalu. Potem przemyślałam sprawę, że to być może z powodu wspomnianej kasy nie chciał podejmować takiego ryzyka. Koniec końców, koperta była otwarta... I znów zaczęłam, biedaczka, wierzyć w Świętego Mikołaja.

Później poszłam do Marion trochę odetchnąć i razem świętowałyśmy moje zmartwychwstanie.

Godnie.

11

Następne trzy dni były dziwne. Dziewczęta zaklepały sobie urlop (tak, miały dwadzieścia osiem lat i zawsze ogarniały się tak, żeby długie weekendy spędzać ze swoimi rodzicami i grubaskiem Pieszczochem) i zostałam sama aż do wtorku wieczorem.

Kręciłam się w kółko. Czekałam. Na kogoś, na coś, na ulgę, na zawód.

Na jakąś historię.

Brałam się do czynności mało do mnie pasujących, takich jak porządkowanie, prace domowe, poczta

i prasowanie. Sortowałam ubrania, papiery, książki i płyty. Robiąc to, zawieszałam oko, na czym się dało. Nie odpalałam kompa. Zajmowałam ręce, żeby oszukać ducha. Odkopałam notatki z zajęć i przygotowania do magisterki i wpadłam na serię szkiców, które narysowałam w muzeum pojazdów w Compiègne.

To było wieki temu, w pewien piękny jesienny dzień... przypomina mi o nim łagodność mojej kreski.

Zastanowiło mnie, czemu odpuściłam. Te moje historie z wozami były sympatyczne, a poza tym oszczędzało mi to wstydu dorzucania własnego stosu głupot do całej reszty, którą sztuka już kiedyś zainspirowała. Czemu zamiast tego sprzedawałam jo-jo? Czemu nazywałam się Choubi_angel i wysławiałam w stylu gimbazy upstrzonymi durnymi emotikonami?

Czemu wciąż nie poszłam zwiedzić stajni pałacu Het Loo w Apeldoorn, żeby podziwiać wspaniałą, przenośną skrzynię z akwarelami królowej Wilhelminy i białego karawanu z jej pogrzebu? No? Dlaczego? :-/ :'-(

Uczyłam się życia bez dzwonienia, bez esemesów, bez wiadomości i bez skrzynki odbiorczej. Bez tej maskotki do miętoszenia z byle powodu...

Uczyłam się znosić apatię dnia codziennego i odnajdywać w tym pewną przyjemność. Kiedy pora na konfitury i tamborek do haftowania? Miałam rozrywkę, dywagowałam sobie, myślałam o tym... o mężczyźnie, który wyjechał na weekend z odrobiną mnie przewieszoną przez ramię. Zastanawiałam się, ile ma lat, czy jest dyskretny, dobrze wychowany, ciekawski? Czy próbował dzwonić pod inne numery, zanim trafił na telefon do mojego starego? Czy przeglądał moje zdjęcia, głaszcząc ekran telefonu? Czy przekartkował mój kalendarzyk? Czy przyjrzał się fryzurze, jaką miałam na zdjęciu w dokumentach, w moim prawie jazdy, gdzie wciąż paraduję ostrzyżona na zero (każdy nosi żałobę, jak umie), i temu na karcie do kina, na którym wyglądam, jakbym szła do komunii w kościele de la Madeleine? Czy dobrał się do moich prezerwatyw Hello Kitty, moich korektorów, mojej czterolistnej koniczynki, moich sekretów?...

Czy właśnie to wszystko sobie gdzieś tam analizował, podczas gdy ja o nim myślałam? A te dziesięć koła? Przeliczył je? Czy przy okazji odpalił sobie prowizję za dobrą i lojalną służbę? Będzie udawał zdziwionego? Ach? Mówi pani, że była koperta? Ja tam nie wiem, nic nie ruszałam... Tak, tego też się spodziewałam, bo jeżeli zabrał torbę zaraz po moim wyjściu, dlaczego nie dogonił mnie na ulicy? Nie szłam szybko. Miałam już dwa mojito na liczniku i całe życie przed sobą...

Dlaczego?

Był powolny? Rozkojarzony? Pokręcony? A gdzie siedział, zacznijmy od tego? Czemu go nie zauważyłam? Ja, która niczego nie lubiłam bardziej, niż przyglądać się otoczeniu i grzecznie się upadlać?

Długi, spokojny i rozgorączkowany weekend wielkanocny do spędzenia w mieszkaniu, które bardzo lubiłam, ale w którym nie chciałam już mieszkać, kilka godzin ciszy, pogodzenia się, uzależnionych od spotkania, które doprowadzało mnie do obsesji, jednocześnie pozostawiając mnie raczej niewzruszoną.

Po raz pierwszy od lat śniła mi się wtedy matka, widziałam ją, z włosami, słyszałam jej głos. Ten prezent zdecydowanie był wart dziesięć tysięcy euro i tyleż spazmów. Gdybym wiedziała, że taki będzie tego skutek, posiałabym gdzieś jej torbę dużo wcześniej...

12

Jasne, mając dystans, mogłabym zacząć sama się podjudzać, począwszy od... powiedzmy, od godziny 13.00 we wtorek, jasne.

Mogłabym się zastanowić, z naiwną czułością, po co spędziłam tyle czasu na robieniu się na bóstwo.

Po co ten peeling, kremowanie, szczotkowanie, strojenie się, po co zakładałam sukienkę, potem spodnie, potem znów sukienkę i po co miałam tego dnia gładką skórę, odkryte ramiona i wiśniowe usta.

No racja, Mathilde, po co?

Dyktat. Dyktat smutasów. Zrobiłam się na bóstwo, bo wypełniała mnie radość, a wypełniała mnie radość, bo byłam szczęśliwa. Mało mnie obchodziło, że mój anioł stróż był mężczyzną (z tego, co wiedziałam) („koleś – powtarzała Pauline – jakiś koleś znalazł twoją torbę w barze, w którym byliście”). Gdyby zapowiedziano mi spotkanie ze starą kobietą albo z najgorszym wyskrobkiem, przygotowałabym się tak samo starannie. To nie jego chciałam uhonorować, wychodząc na miasto lekka i skąpo ubrana, tylko życie.

Życie i jego jakże rzadkie dobrodziejstwa.

Życie, wiosnę i moje odnalezienie. Zrobiłam się na bóstwo z wdzięczności.

Mathilde...

Dobra, OK. Zrobiłam się na bóstwo r ó w n i e ż dlatego, że czekało mnie rendez-vous. Umówione przez telefon, w określonym celu, jasne, ale nieoczekiwane.

Rendez-vous, które spadło mi z nieba z istotą ludzką a priori przystępną, spotkanko w Paryżu, w pobliżu wielkiego mitomańskiego gmaszyska cesarza Napoleona Bonaparte, w porze herbaty i z przyzwoitego powodu.

Zrobiłam się na bóstwo, bo mimo wszystko miało to więcej stylu niż w przypadku spotkania z portalem randkowego, cholera jasna!

Proszę bardzo, teraz wszystko pan wie, panie doktorze...

Niedaleko parku Monceau kupiłam kwiaty.

Włożyłam je do koszyka i nadrobiłam spóźnienie, pedałując na całego.

Bukiet różowych piwonii dla nieznajomego, który postawił mnie na nogi.

13

Dobra, dobra, dobra, jeżeli wierzyć w głuchy telefon, to znaczy najbardziej pokrętne i najmniej wiarygodne źródło ziemskiej komunikacji, to on, ten koleś, nie powiedział „o piątej”, tylko „koło piątej” – próbowałam to sobie przypomnieć, dlatego że było już grubo po wpół do, a moje kwiaty zaczynały padać na pysk.

Nie poznawałam nikogo z obsługi i nie mogłam powstrzymać się przed surową rozkminką: nikt nigdy nie przyjdzie, to była podpucha, ktoś mnie wkręca, to zemsta jakiegoś zbrojeńca albo nowe upokorzenie autorstwa mojego ojca. Albo pierwsze represje ze strony Anastazji i Gryzeldy.

Ktoś się ze mnie nabija. Ktoś chce mnie ukarać za to, że byłam tak frywolna, a potem tak łatwowierna. Ktoś stłukł mój dzban z mlekiem i zniszczył zamki z piasku. Kolejny raz wszystko zostało ustawione. Na moim wallu ktoś zostawił niemiły komentarz. Otagowano mnie. Zapaskudżono mi moją stronę i fora. Jakiś troll palant zawinął mi torbę, papiery, pamiątki, hajs współlokatorek razem z moimi ostatnimi złudzeniami. Albo może ten ktoś... Próbowałam się uspokoić: może się po prostu spóźnia? Albo doszło do zbiorowego nieporozumienia. Spotkanie nie miało być we wtorek, tylko w środę. Albo we wtorek za tydzień.

A jednak usiadłam w tym samym miejscu co tamtego dnia i byłam bardzo grzeczna. Na początku

staralam zachowywać się naturalnie, że niby czytam sobie pasjonującą powieść w oczekiwaniu, aż jakiś natręt wytrąci mnie z zaczytania swoim zakłopotanym pokaszaniem „khm, khm...”. Ale później skończyłam już z tą wizją Śpiącej Królowny, nie mogłam usiedzieć na miejscu i desperacko wpatrywałam się w drzwi wejściowe w tak mega paskudny, mega sfotoszopowany sposób, że było to żałosne.

Podskakiwałam za każdym razem, gdy ktoś się pojawiał, i wzdychałam, gdy mijał mnie bez słowa. Jeszcze kwadrans i spróbuję zadzwonić do Pauline. Do ojca nie. Wolałabym raczej zdechnąć z otwartymi ustami, niż do niego dzwonić.

Jeden z kelnerów, bardziej uważny niż reszta, wreszcie zauważył mój taniec świętego Wita.

– Szuka pani toalety?

– Nn... nie – wyjąkałam – jestem umówiona z... ech... To znaczy czekam na kogoś, kto...

– Historia z torebką, tak?

No pocałowałam prosto w usta tego chłopięcego dryblasa. Musiał to wyczuć, bo wyglądał na trochę zbitego z tropu.

– Ale... chyba sobie jeszcze nie poszedł?

Chłopak oparł się o filar po mojej lewej, wychylił do przodu i rzucił w kierunku niewidzialnej kanapy skrytej po drugiej stronie:

– Hej, Romeo... Pobudka, twoja myszka tu jest.

Odwróciłam się bardzo powoli. Nie żebym była onieśmielona, raczej strasznie zażenowana. A nawet upokorzona, gdy zorientowałam się, jak blisko siedział i od jak dawna.

Ostatnim razem musiał siedzieć w tym samym miejscu, przyczajony, skulony w cieniu i... ech... to było... No, w sumie nie było to zbyt fair... Nie baw się z damą w chowanego, młody człowieku.

Odwróciłam się bardzo powoli, bo nagle przypomniało mi się wszystko, co mógł lub musiał usłyszeć. O schadzce ze współlokatorką, o jej „dyskretnej” kopercie, o jej lękach, o moim gadatliwym usposobieniu, o sposobie, w jaki uprzejmie ją uspokoiłam, i jak darłam z niej łacha dwie minuty później, naśladując ją przez telefon w rozmowie z Marion. I... Och... Hej... Telefon... Te wszystkie historie o podrywach, dymaniu, całe to rżenie nagrzanym dziewczeczek... I... i moje majteczki... I przechwałki na temat lodów i... Och... Pomocy.

Odwróciłam się, zagryzając zęby i szukając wzrokiem mysiej norki, w której mogłabym się schować, zanim on całkiem się obudzi.

Ale on spał. To znaczy nie, nie spał, bo się uśmiechał.

Uśmiechał się z zamkniętymi oczami. Jak kot. Jak wielki kocur zadowolony ze swojego numeru.

Kot z Cheshire i Mathilde w krainie fakapów.

– Sama pani widzi... Nie był tak daleko... No dobra, zostawiam was, co nie? – stwierdził kelner, po czym się zawinął.

Ups.

14

Po upływie kilku sekund, które wydawały się nieskończonością, ale podczas których miałam czas na pobranie danych – *damn*, znów pudło, facet jest brzydki, gruby, ma niesforny kosmyk włosów, ubrany jak wieśniak, ogolił się tuż przed przyjściem, zacinając się dwa razy, obgryza paznokcie, dziwnie pachnie i nie widzę mojej torby – on wreszcie otworzył oczy.

Popatrzył w bardzo dziwny sposób. Jakby trzymał mnie na muszce albo w tajemnicy rzucał mi wyzwanie. Dotknął swoich powiek, chwycił jedną rzęsę i zamknął je ponownie.

Litości, pomyślałam, nie tylko jest brzydki, ale w dodatku napruty. Albo dopiero co palił. Tak, to na pewno to, ten kretyn ma we krwi z pół Jamajki...

Delikatnie się wychyliłam, żeby zobaczyć, czy moja torba leży pod jego nogami. Gdyby tak było, chwyciłabym ją i spylała w try miga, pozostawiając go sam na sam z rozkoszami zielarza. Niestety, nie, była tam tylko para nikczemnych trepów. Rodzaj czarnych butów o okrągłych czubkach w stylu „pierwszy zestaw żandarma” i białe sportowe skarpetki z paskiem.

Och, dziewczyno...

Jak mogłaś upaść tak nisko?

Dobra, nie będę przecież tam siedzieć i patrzeć, jak on kima, licząc jego zacięcia. Odwróciłam się z powrotem i wzięłam swoją książkę w oczekiwaniu, aż inicjator tego spotkania... – jak to ujęłam? „nieoczekiwanego”? „które spadło z nieba”? – zechce sobie o mnie przypomnieć.

Minęło dziesięć minut, a ja nie posunęłam się dalej ani o krok.

Miałam zwidy. No, co też ja tam robię? I na k o g o czekam? K t o w taki sposób się ze mnie nabija?

Odłożyłam swoją historię i zabrałam przeznaczony dla niego bukiet; będę lecieć.

– Mathilde?

Potem bardziej uroczyście:

– Mathilde, Edmée, Renée, Françoise?

Nadstawiłam ucha i uniosłam pół brwi.

– Czy mogę paniom zaoferować coś do picia?

Dowcipniś się trafił.

Dobra, przynajmniej miał w rękach mój dowód osobisty, to już coś.

Ponieważ wahałam się, czy się do niego dosiąść, zaczął rozpinąć zamek błyskawiczny w swojej kurtce i dostrzegłam moją torebkę przewieszoną przez jego klatkę piersiową. Nie posunął się dalej, położył obydwie ręce płasko na stole, przyjrzał im się, po czym uniósł podbródek i popatrzył mi prosto w oczy:

– Przepraszam... Bardzo wczesnie wstałem. Przysiądzie się pani?

15

Usiadłam naprzeciwko niego.

Przez dłuższą chwilę pograliśmy w kto dłużej wytrzyma z nieruchomym wzrokiem, ale w końcu przegrałam. Spytałam go:

– Był pan tam wtedy, w piątek?

– Tak.

– Spał pan?

– Nie.

– Obudziłam pana?

– Te kwiaty to dla mnie? To miło.

Wziął bukiet z moich rąk i przekazał mi torbę w ramach wymiany.

Cała była ciepła. Przygarnęłam ją do siebie i... życie powróciło.

Wiedziona instynktem, oceniając po wadze, po jego brzydocie, uśmiechu, po zacięciu, które wyglądało jak brązowy przecinek pod prawym uchem, po jego humorze za dychę i po sposobie, w jaki uprzejmie chował się z ziewaniem za wielką dłoń, wiedziałam, że nic mi nie zajmował. I w chwili gdy to sobie uświadomiłam, zdałam sobie sprawę, że nie myślałam wcale o kopercie, ale o całej reszcie. O mnie. O mojej głębokiej naturze, o wierze w gatunek ludzki. O tych wszystkich ciosach, zebranych prosto w pysk w wieku, o którym mówi się „tkliwy”, a które nieźle mnie złomotały, owszem, ale którym nie udało się mnie zmasakrować...

– Czego się pani napije?

Kiedy już złożył zamówienie, znowu zaczęliśmy patrzeć na siebie jak porcelanowe pieski.

W kategorii „pierwsze spotkanie dwóch dziewiczych mormonów” było to upojne. Mimo wszystko po chwili zagaiłam trochę głupkowato:

– Naprawdę nazywa się pan Romeo?

– Nie.

– Ach?

– Nazywam się Jean-Baptiste.

– Ach...

– Jest pani zawiedziona?

– No... nie.

Mistrzostwo świata w retoryce...

Pomyślałam o znanych mi obrazach Jana Chrzciciela^[3], czy raczej obrazach jego głowy na srebrnych talerzach, i widziałam go przede mną. Jedyne, czego mu brakowało, to odrobiny pietruszki w dziurkach do nosa.

Prychając potajemnie, wracałam do formy, i to dziwnie późno. Rozgniewało mnie, że tak zwyczajny chłopak do tego stopnia wytrącił mnie z równowagi.

– To z odnalezienia torby tak się pani cieszy?

– Tak. – Uśmiechnęłam się.

Pojawiły się zamówione napoje, dla mnie herbata (dobre postanowienia), a dla niego podwójne espresso, do którego sumiennie wmieszał dwa czy trzy kawałki cukru. A może cztery.

– Musi pan nabrać sił?

– Tak.

Wypiliśmy w milczeniu.

Przyglądał mi się.

Przyglądał mi się tak bardzo, że stało się to kłopotliwe.

– Kogoś panu przypominam?

– Tak.

OK...

Ech, mozolnie nam to szło... Wcale nie miałam ochoty zabawiać go rozmową. Czułam się niezręcznie, miałam wrażenie, że uczy się mnie na pamięć, i ten rodzaj spaczony staranności nadawał jego twarzy idiotyczny wyraz. Do tego zresztą stopnia, że zaczęłam się zastanawiać, czy koleś nie jest troszkę zbyt zwięzły. W sensie opóźniony, niedorobiony. Miał szeroko uchylone usta, a ja czekałam na ten powalający

moment, kiedy wypłynię z nich strużka śliny.

Bóg mi świadkiem, że mimo wszystko próbowałam: powietrze jest dziś świeże, Paryż przeogromny, turystów całe mrowie, gołębie latają, no ogólnie kilka zagajen w tym stylu, dość efektownych, ale on mnie nie słuchał. Wrócił z powrotem do swojej nabożnej ekstazy, a ja poczułam się trochę jak grotą w Lourdes, minus dziewica Maryja i różaniec.

No rzeczywiście opłacało mi się zakładać w ten dzień po raz pierwszy nową, śliczną bieliznę...

Nie wiem, co wytrąciło go ze stuporu, ale w pewnej chwili parsknął, popatrzył na zegarek i zaczął szukać portfela.

– Muszę już iść.

Nic nie odpowiedziałam. Ulżyło mi. A poza tym śpieszyło mi się do zweryfikowania, czy się nie pomyliłam. Uwielbiam ludzkość, ale jednak zmuszam się do odrobiny nieufności. Musiał czytać mi w myślach, bo w tym momencie popatrzył na mnie inaczej, z czymś w rodzaju... ogromnego lekceważenia.

– Widzisz ten neseserek, o tu?

Nie, nie widziałam go, ale rzeczywiście, przy jego prawej nodze stała zgrabna walizeczka z jasnego drewna.

– Spójrz...

Pokazał mi łańcuszek, który łączył rączkę walizki z jedną ze szlufek w jego spodniach.

– Nie są tak cenne jak zawartość twojej torby, ale cóż... dla mnie to jednak kilka ładnych miesięcznych pensji...

Zamilknął. Myślałam, że gdzieś po drodze stracił watek, i chciałam powiedzieć jakieś głupstwo, żeby złagodzić jego przytkanie, ale on w końcu dodał całkiem cicho, bawiąc się ogniwkami łańcuszka:

– Wiesz, Mathilde... Jeżeli rzeczywiście zależy ci na czymś w życiu, no cóż, rób, co tylko możesz, żeby tego nie stracić.

No nie... Nie no, co też ja znów zgarnęłam z ulicy, no? Oświeconego? Syna kaznodziei? Świadka Jehowy przebranego za wsiura, z drewnianą skrzynką wypchaną, że aż trzeszczy, apokalipsami i durnymi modlitwami?

Oczywiście, aż się palę, by się dowiedzieć, co też takiego cennego ze sobą nosi, ale to byłoby nagłe nadanie mu zbyt dużego znaczenia, a... A tak w ogóle to czemu mówi mi na ty?

– Domyślasz się, co to jest?

Ratunku. Teraz z kolei wielka gra. Peleryna, akcesoria itepe, itede.

– Poduszka?

Nie rozśmieszyło go to. Albo raczej nie dał tego po sobie poznać. Postawił neseserek na stole, zmajstrował jakiś kod i obrócił skrzynkę do mnie, otwierając wieko.

I tego, przyznaję, się nie spodziewałam. Zamknął wieko i wstał.

Znaczy... uch... jak by to powiedzieć? Ten wielki bobas o niewyraźnie bydlęcej twarzy i w gruncie rzeczy ograniczonym słownictwie przechadza się z nieodłączną walizką pełną noży.

W rzeczywistości to był Rambo, tylko go nie rozpoznałam.

On był już wtedy przy barze i płacił rachunek.

A to ci dopiero historia... Cóż, no tak, ja też wstałam, a co.

Ślicznie nam poszło, ale chciałam policzyć swoją kasę!

Przytrzymał mi drzwi i zablokował je dokładnie w momencie, kiedy przechodziłam pod jego ramieniem. Niedługo, pół sekundy, ćwierć połowy sekundy, tyle, żeby udąć takiego, co to zaplątał się we własne sznurówki i stracił równowagę, i zniosło go na mój kark. Ledwo. Ledwo przez chwilę. Zanim to do mnie dotarło, byliśmy już na dworze. Ale poczułam czubek jego letniego nosa na małej kości, która wystaje tam z tyłu, na samym czubku kręgosłupa.

Za bardzo mi się spieszyło, żeby zakończyć spotkanie, bym miała robić mu wyrzuty, i zwinnie się uwolniłam.

Hola. Żadnych gier z takim tłukiem. Niech spadają, on i jego gówniane maczety.

Uciekaj do dżungli, Cheetah, uciekaj...

Tak czy inaczej nie chciałam zostawić po sobie złego wrażenia. Chociaż nigdy się o tym nie dowie, wiele mu zawdzięczałam.

Tak więc w górę serca, mała madonno frajerów całego świata, w górę serca. Uśmiechnij się ładnie do pana. Ostatnie miłe słówko na zakończenie, nie umrzesz od tego.

– Pana kurtka... – dodałam – dziwnie pachnie...

– To jeleni. Jest zrobiona ze skóry jelenia.

– Ach? Ach tak? Nie znałam takich. Dobra, cóż... będę się już żegnać i jeszcze raz wielkie dzięki.

Uścisnęłam mu dłoń. Problem w tym, że nie chciał jej puścić.

– W zasadzie – bąknął – uch... chciałbym... chciałbym cię... panią jeszcze kiedyś zobaczyć.

Zaśmiałam się bardzo głośno w celu spławienia go porządnie raz na zawsze, po czym dodałam:

– Niech pan posłucha, nie wiem czemu, ale mam wrażenie, że już ma pan na mnie namiary...

I w chwili gdy wymawiałam te słowa, zdałam sobie sprawę, że mój cwaniacki ton zabrzmiał mocno fałszywie.

– Nn... nie – wyjąkał, patrząc na moje ramię.

Ależ pobladł, w jednej chwili.

Był blady, poważny, rozbrojonny i smutny. Nagle zaczął wyglądać na dziesięć lat więcej. Podniósł wzrok i miałam wrażenie, że dopiero wtedy po raz pierwszy naprawdę mnie widzi.

– Miałem wszystko, oczywiście, ale teraz... teraz nie mam nic, bo wszystko ci... wszystko pani oddałem.

Uch... Zastanowiłam się, czy nie zaczyna mi tu czasem fałszować. Miał szczerzy wyraz twarzy, no ale właśnie trochę za dużo tego u niego było, nie?

Moje trybiki wpadły w szal: Ej, no nie dawaj mu swojego numeru. Przecież widzisz doskonale, że koleś jest totalnie pogięty. No raczej. Patrz. No popatrz na niego! Popatrz na jego twarz. Chciałoby się powiedzieć: daleki kuzyn z prowincji Kuby Rozpruwacza. W dodatku nie wiem, czy zauważyłaś, ale brakuje mu czubka palca. I to dużego kawałka. A poza tym, dobra, jest dzielny, nie ma co, ale no weź, jest naprawdę brzydki... Taki plan zakłada ściąganie na siebie czystej męki i dobrze o tym wiesz. Nieraz już z niego korzystałaś. No już, przekręć coś, Mathilde... Tak, tak... Tylko ostatnią cyfrę, dalej... To nie będzie ani pierwszy, ani ostatni raz.

Nie no, ale on jednak... miał klasę...

Co ty możesz o tym wiedzieć, idiotko? Nawet nie otworzyłaś tej cholerniej torby!

Może i nie, ale jak na razie ją mam, ot co. Zamiast opłakiwać w tej chwili matkę na komisariacie.

Zawsze mogę mu podać numer i nigdy nie odebrać telefonu...
Jak sobie chcesz, ale prawdę mówiąc, sama się prosisz, tak?

Rzeczywiście, miałam w ostatnim czasie sporo beznadziejnych przypadków. Nie wiem, czy chodziło o stary zatarg z Kupidynem, ale co też za strzały mu podsuwałam, temu zezowatemu grubaskowi... Dobra, mniejsza z tym, taka dygresja. Zamierzałam dać temu tutaj swój numer z jednego i jedyne go powodu, mianowicie bałam się, że zachował numer do mojego ojca i zadzwoni do niego w chwili desperacji.

Ten koleś może i był pocięty, ale wolałam się uwolnić od mojego starego.

– Czy w takim razie mógłby mnie pan na sekundę puścić?

Ścisnął moją dłoń tak mocno, że czerwień jego grubych palców odcisnęła się na moich.

Zapisałam swój numer na bilecie do metra.

Długo go studiował, jakby chciał się upewnić co do jego ważności, wsunął świstek do wnętrza swojego portfela, ten zaś do wewnętrznej kieszeni swojej kurtki, spojrzął na mnie po raz ostatni, kiwnął głową i poszedł w przeciwnym kierunku.

Uff...

Zrobiłam trzy kroki, po czym odwróciłam się, szczerze zmieszana nagromadzeniem u siebie tylu złych myśli:

– Hej... uch... Jean-Baptiste!

Teraz to on się odwrócił.

– Dziękuję!

Ostatnie spojrzenie, ostatni uśmiech, tym razem o wiele bardziej drętwy niż wszystkie poprzednie. Ostatnie wzruszenie ramion, które mogło oznaczać: „Nie ma za co”, „Stul pysk” albo „Goń się”, i znów obrócił się na pięcie.

Patrzyłam z daleka, jak przechodzi przez avenue de Friedland, na lekko przygarbione plecy jelenia, wielkie noże w jednej ręce i bukiet piwonii w drugiej i byłam... byłam zmieszana.

Za dowód niech posłuży to, że dopiero w domu otworzyłam torbę i wreszcie przeliczyłam forszę.

16

Była cała. I w mojej portmonetce też. Z niewiadomego mi powodu, który sprawiał mi przykrość, czułam się nieco zawiedziona.

Przebrałam się w dzinsy, dołożyłam moje pięć koła do feralnej koperty i położyłam ją na stole w kuchni z krótką notką, która wyraźnie mówiła: „Proszę bardzo, a teraz dajcie mi spokój ze swoim durnym remontem”, po czym się zmyłam.

Dziewczęta powinny wrócić z dalekiej Północy w każdej chwili, a to było ponad moje siły. Marion też. Wszystko. Wszystko stało się ponad moje siły.

Czułam, że wciąż jeszcze chce mi się płakać, więc poszłam do kina obejrzeć jakąś komedię romantyczną.

Akt drugi

1

Nie myślałam, że jeszcze to powiem, ale dobra, na tym etapie być może nie ma się już co silić na egzaltację: ledwo puścili listę płac, a ja już wysunęłam telefon z myślą o nim.

Z myślą dokładnie o nim. O wojowniczym Jean-Baptiste.

Oczywiście wtedy przysięgłabym na wszystkich świętych, że nie i że naprawdę to bzdura. Ale teraz zwracam się uczciwie do dużej nieuczciwej dziewczynki, która szła tamtej kwietniowej nocy w górę rue Caulaincourt, krzyżując na piersi przetartą starą budrysówkę, patrzę na nią i mówię wam – i może to pani zanotować, pani protokolantko – dziewczynka ta była zaaferowana filmem, który wyświetlali o 18.00.

To właśnie jego twarz zajmowała kadr, to ich dialogi (niezapomniane...) odtwarzała sobie w kółko i to jego kawałki cukru liczyła wciąż od nowa, miętoląc w kieszeni kawałek bezimiennego plastiku.

Wyciemnienie. Cięcie.

*

A potem? Potem życie wróciło na właściwe tory.

Tak to się mówi, prawda, kiedy nic się nie dzieje?

Kiedy zapomina się o dobrych postanowieniach, kiedy porzuca się sny o wolności (po co się wynosić, skoro mam świeżo odmalowany pokój?) i wielkości (po co wracać na uczelnię, skoro komputer służy mi za jednorękiego bandytę?). I kiedy wciąż wychodzi się na miasto i buja od lewa do prawa, wynajdując sobie całkiem nieromantyczne komedie.

Rozbierając Paula, żeby ubrać ponownie Pierre'a, żeby ostatecznie wylądować nago w ramionach Jacques'a.

Tak, tak to właśnie mówią.

Młodość...

Jest jak poczekalnia...

A mój urojony śpioch? Stał się gagem, anegdotą, zabawną historią do opowiadania przy kolacji. Miałam swoją chwilę sławy, wyobraźcie sobie... Za każdym razem ucinałam mu kolejny paliczek i dorzucałam o jeden nóż więcej. Na końcu był już jak *Pan życia i śmierci* wśród trędowatych z Kalkuty.

Na początku tak o tym myślałam. Były w nim rzeczy, które wciąż nie dawały mi spokoju. To bardzo autorytarne: „Przysiądzie się pani?”, drobiazgowość, z jaką zlustrował mnie od stóp do głów, jego bolesny wyraz twarzy, kiedy mówił o naszym kolejnym spotkaniu, i to, że najwyraźniej nie przetrzepał zbyt wiele moich rzeczy, inaczej sam znalazłby na mnie namiary. A potem przypominały mi się jego białe skarpetki i powracałam do moich webcomów dla wieśniaków z całkiem nową inspiracją.

Mój dzielny GPS miał rację: przede mną ślepa uliczka.

*

W przeciągu kolejnych dni trzy razy ktoś próbował się do mnie dodzwonić w środku nocy, nie zostawiając wiadomości. Za pierwszym razem pomyślałam, że to pomyłka. Za drugim miałam wątpliwości. Za ostatnim wiedziałam, że to on: rozpoznałam jego milczenie.

Chociaż była już druga w nocy, jeszcze nie spałam i próbowałam do niego oddzwonić, ale to był numer stacjonarny i moje telefony gubiły się gdzieś w oddali.

I wtedy coś zaczęło we mnie szwankować. Wyrzekłam się jednej z nielicznych zasad (zarówno moralnej, jak i zdrowotnej, że się tak wyrażę) i zaczęłam sypiać z włączonym telefonem przy poduszce. Mniejsza o fale, mniejsza o raka i mniejsza o moją dumę i odpoczynek: musiałam mieć absolutną

pewność. Kto taki próbuje mnie złapać tak znienacka, zapewniając sobie wszelkie szanse, że nie zastanie mnie pod telefonem? Kto? A jeśli to on, to czemu tak robi? Czego właściwie ode mnie chce? W tamtej chwili w ogóle nie zdawałam sobie sprawy z rozmiarów... no nie wiem czego... powagi takiego działania, a jednak... jak lepiej wkraść się w czyjąś intymność, niż pozbawiając kogoś snu?

Od tej pory co wieczór ustawiałam dzwonek na full i dzieliłam łóżko z duchem.

Mniej imprezowałam. Tak, dobija mnie przyznawanie się do tego i miałam wtedy tysiąc gotowych wyjaśnień dla każdego, kto chciałby mnie podrażnić w tym temacie, ale takie są fakty: mniej imprezowałam. Dziesięć dni, czy raczej dziesięć nocy minęło bez zakłóceń i postanowiłam z powrotem wyciszyć telefon, bo źle spałam. Budziłam się od czasu do czasu, by sprawdzić, czy nie mruga cichy sygnał połączenia albo czy telefon nie zapodział się pod kołdrą.

I miałam do niego żal. Do siebie też. Tak, miałam ogromny żal do siebie za to, że stałam się tak krucha. Miałam żal do nas obojga, że tego wieczora, dobrze to pamiętam, położyłam się spać z postanowieniem, że to już ostatni raz. To jego ostatnia szansa na to, żeby mnie znów nawiedzić.

Niech idzie do diabła ze swoimi łańcuszkami, nożami i potajemnymi telefonami, jestem już zmęczona tym całym szajsem.

Telefony, esemesy, komunikatory, czaty i e-maile – nie chciałam już tych wyimaginowanych granic na mapie mojego życia emocjonalnego.

Dałam już z siebie wszystko, wycierpiałam się, zapłaciłam rachunek za wszystkie te spartaczone, absurdalne i chimeryczne plany, które narzuca nam miłość w czasach cyfryzacji.

Tak, byłam zmęczona. Nawet gorzej – czułam się ograbiona, opustoszała, odrealniona przez to, że tak często kochałam bez miłości. Teraz chciałam prawdziwych historii z prawdziwymi ludźmi o prawdziwej powłoce cielesnej, w przeciwnym razie wolałam dalej opuszczać kolejkę.

A ponieważ ma swoją masę i w temacie powłoki cielesnej stanął na wysokości zadania, właśnie tamtej nocy do mnie zadzwonił.

2

Musiał dzwonić wcześniej niż poprzednio, bo spałam głęboko i nie od razu zrozumiałam, czy to we śnie, czy w prawdziwym życiu wyciągam rękę, żeby poczuć jakiś twardy i letni przedmiot wsunięty pod poduszkę.

Nic się nie działo. To był sen. Totalnie zmulona wymamrotałam wreszcie:

– Jean-Baptiste?

– ...

– To pan?

– Tak.

– Poprzednio też?

– ...

– Czemu to robisz? Czemu nic nie mówisz?

– ...

Skuliłam się w pozycji embrionalnej. Trwało to długo. Trwało to o wiele za długo. Zasnęłam w oczekiwaniu na odpowiedź.

Nie wiem, ile minut to trwało. Nad ranem moja lista połączeń podpowie mi, że nasza rozmowa trwała dwie godziny trzydzieści cztery minuty. Domyślam się, że musiałam źle się rozłączyć. W pewnej chwili usłyszałam:

– Chabyndlabiesośugotować.

W tej chwili otworzyłam oczy i tym razem to ja zaniemówiłam.

Zaniepokoił się:

– Jest tam pani?

– Tak.

– Wiesz, ja... jestem kucharzem.

– ...

– ...i chciałbym coś dla ciebie ugotować.

Ach, przepraszam. Wcześniej zrozumiałam, że mam się na coś przygotować. Ale... uch... w którym jesteśmy teraz wymiarze? Zahukany kucharz, stuknięty kucharz cierpiący na bezsenność dzwoni do mnie kwadrans po północy, żeby przeczytać mi menu... Śpijcie spokojnie, przyjaciele! Śpijcie spokojnie! Wszystko jest pod kontrolą. I buziaki znad morza!

– Chciałabyś?

– Teraz?!

– Nie. – Jego głos poweselał. – No przecież muszę się przygotować!

– Kiedy?

– Dam ci znać. Muszę się zorganizować. Możesz zapisać numer i oddzwonić do mnie jutro wieczorem o tej samej porze?

Cóż, niech pomyślę, to była całkiem praktyczna godzina.

– Słucham cię.

Chwyciłam na chybił trafił jakąś książkę z nocnego stolika. Wciąż zaspana, przyświecając sobie ekranem telefonu, zapisałam pod jego dyktando serię cyfr. Nie wiem, co było potem. Usłyszałam swoje imię jeszcze raz czy dwa razy, ale nigdy się nie dowiem, czy to był jego głos, czy moje urojenia.

3

Nad ranem zorientowałam się, że to nie był sen, bo na stronie przedtytułowej do – jak na ironię – *Stracha na wróble* Michaela Connelly'ego był nabazgrany jakiś numer telefonu.

Problem w tym, że musiałam być wtedy totalnie nieprzytomna, bo nie umiałam go teraz rozczytać. Ta cyfra tutaj to 7 czy 3, albo może 1? A tu? To 2, 3 czy 5?

OK. Wypróbuję wszystkie.

Byłam beznadziejna z matmy i jeszcze gorsza z rachunku prawdopodobieństwa, ale już przeczuwałam, że ta pierdółka obudzi mnie na dobre.

Inna kwestia, że ze względu na przyzwoitość nie mogłam czekać do północy z klepaniem serii potencjalnie niepoprawnych numerów. Ryzykowałam, że obudzę kupę uczciwych ludzi i zostanę po drodze zlinczowana. Wzięłam się więc do pracy koło dziesiątej i dobrze zrobiłam, bo dwie godziny później wciąż nie miałam wróbla w garści.

Odpowiadające mi głosy były coraz mniej uprzejme i zaczynałam się gubić w moich kombinacjach. Nie pamiętałam już, które wypróbowałam, nieustająco pytałam o Jean-Baptiste'a i odpowiadałam swoje „och, przepraszam”, uprzejmie przepraszałam. Robiłam zamęt we wszystkich gospodarstwach domowych regionu Île-de-France, których numery telefonu zaczynały się na 0142, 0143 albo 0145 albo jeszcze... och, w sumie niech to szlag, kończę z tym.

Miałam już tego dosyć. On na pewno oddzwoni...

Tacy maniacy nigdy nie odpuszczają.

Byłam tak podenerwowana, jak to tylko możliwe, mój znakomity kryminał był cały podziurawiony od skreśleń, a telefon – na skraju implozji.

Wysłałam.

Posłałam zaczerpnąć powietrza z innymi, bardziej elokwentnymi ofiarami bezsenności.

No serio! Powoli zaczął już przeginać pałę ten artysta! W dupie niech sobie gotuje! Niech pitrasi dla dziewczyn w swoim typie. Poza tym ja nie jestem smakoszem! Mam wylane na francuską gastronomię, tak samo jak miałam na swój pierwszy śliniak. Ze mną jest prosta sprawa, dasz mi byle grzanek i jestem zadowolona!

Ach, jakaż byłam zła... Ten palant mnie przekarmił, zanim jeszcze zdążył wrzucić cokolwiek na ruszt... Miałam nerwy w strzępach i aż we mnie kipiało. Powinnam była się rozłączyć, wyciągnąć kabel, zapomnieć o tych głupotach i wsiąść na mojego Jeannota.

Tak, trzeba mi pójść potańczyć, wypić i o nim zapomnieć.

No i pedałowałam, i pedałowałam, i pedałowałam, wciąż wszystko kwestionując.

Zwracałam się prosto do gwiazd.

Mówiłam im:

– Czemu takie głupoty spadają zawsze na mnie, co? No hej, dziadku tam w górze, do pana mówię! Czemu właściwie wysyłasz mi tu samą patologię? Kurwa, może się pan przyłoży, cholera jasna! Dobrze już. Jużes mnie pan dobrze obsłużył, z tego, co się orientuję. Panie Boże... Panie Boże, proszę cię: opuść mnie.

4

Już nigdy więcej do mnie nie zadzwonił.

Ani tego wieczoru, ani w kolejne.

Czekałam żałośnie jeszcze kilka następnych nocy, zarzucając wyciszenie mojego pieprzonego telefonu, ale nie. Pomyliłam się co do niego. Nie był aż tak pokręcony.

Albo właśnie dużo bardziej. Albo był dużo mniej zmotywowany, niż myślałam.

Krótko mówiąc, tak czy inaczej dostałabym przez tego grubasa niezłego pierdolca.

A życie, jak już wspominałam, „wróciło na właściwe tory”.

I już.

Tyle.

Niech to szlag.

5

Jasne, wysłałam z tego. Jak to się powściągliwie mówi, miewało się w życiu gorsze chwile. Była wiosna, wiosna w Paryżu, wiosna Cole’a Portera i Elli Fitzgerald. Przybywało ogródków kawiarnianych i obietnic, a dni robiły się coraz dłuższe. Żyłam i czułam się dobrze, miałam inne asy w rękawie i niejedną karcianą sztuczkę w torbie, uwolniłam się od niego.

Poważnie. Zapomniałam o nim. A potem pewnego ranka, no właśnie, opróżniłam swoją torbę. Bo chciałam się przepakować do nowej. Miałam iść na ślub i potrzebowałam czegoś bardziej gustownego. I właśnie tego dnia niespodzianka szefa kuchni: bomba lodowa i kurczak po diabelsku.

Mój kucharz powrócił znienacka i tym razem... Tym razem dałam się trafić prosto w żołądek.

Uwaga, bo idzie gorące!

na stronie

1.

Gdybym miała największemu wrogowi życzyć najgorszych, najpowolniejszych, najokrutniejszych i najbardziej druzgocących męczarni, to życzyłabym mu, żeby znalazł się w ramionach pisarza. Dopilnowałabym, żeby zapalał do niego miłością czystą, i patrzyłabym sobie, jak cierpi, przeglądając od niechcienia jakiś bardzo stary numer „Paris Match”.

Miałam raptem dziewiętnaście lat, kiedy spadło na mnie takie nieszczęście. Dziewiętnaście lat... Dziecko... W dodatku sierota... Aj, lubisz to, ty łobuzie. Piskłę o wielkich smutnych oczach i łysej czaszce, które wypadło z gniazda. O bardzo delikatnym cielem... Ciele delikatnym w sam raz na powieść... Na debiut... Nie dość, że ładna rzecz, to jeszcze w chuj dobry temat, nie?

Dobra. Stop. Od tamtej pory on wyrobił sobie nazwisko. Przyniosłam mu szczęście, czy może raczej mój przypadek przyniósł mu szczęście i już nie potrzebuje dodatkowej reklamy. Sam doskonale sobie z tym radzi. Kiedy będę już stara, być może pewnego dnia ktoś przyjdzie zapytać mnie o jedną czy dwie rzeczy do przypisu u dołu strony, ale jak na razie wolę się zamknąć.

Pokój.

Pokój artystom.

Miejsce dla mitów.

Tak więc ostatnia rzecz... Jedynym prawdziwym celem, jaki miało przewinięcie się tego chłopaka, tego mężczyzny, tego łupieżcy przez moje życie, było przypomnienie mi i upewnienie mnie w przekonaniu, którym długa choroba i agonია mojej matki natchnęły mnie kilka lat wcześniej, że wyrażenie: „Co cię nie zabije, to cię wzmocni” jest totalnie kretyńskie. Co cię nie zabije, to cię nie zabije, kropka.

(Dość skomplikowane i zapewne dyskusyjne pod względem składni zdanie, które mogłabym równie dobrze uprosić, podsumowując rzecz następująco: ten gnój totalnie mnie zmasakrował).

Mea culpa, Szanowna Rado Języka.

*

Moja pierwsza miłość. Nie był to pierwszy raz, kiedy sypiałam z chłopakiem, ale po raz pierwszy uprawiałam miłość i to było czymś... Dobra, powiedziałam „stop” i tego się trzymajmy. To nie ja jestem pisarką. Nie mam potrzeby brandzlowania się przeszłością, wkładania emocji do próbek i eksploatacji swoich najczystszych przeżyć w celu robienia hajsu, tak że streszczaj się, Mathilde, streszczaj. Nie niszczyć jeszcze bardziej tej resztki własnej godności, którą on oszczędził w tobie przez delikatność lub nieuwagę, bardzo cię proszę.

Zgoda, zgoda, no to niech będzie elipsa. (No hej, tymczasem nauczył mnie jednak dwóch czy trzech rzeczy...) Sprecyzujmy w prosty sposób i na użytek historii, którą zajmujemy się teraz, że ten kochaś napisał do mnie mnóstwo listów miłosnych (pysniłam się wówczas), literackich wprawek (zmuszona jestem teraz dodać), które ostatecznie pewnego wieczoru wyrzuciłam do kosza, żeby się od niego

wyzwolić.

Tak, postanowiłam utopić te listy pod kupą petów, pustych butelek, odprysków po fusach z kawy i zapaskudzonych płatków kosmetycznych.

Alleluja. Wreszcie udało mi się ich pozbyć.

Poza jednym.

Ach tak? A dlaczego?

Dlaczego akurat tym jednym?

Bo ten był ostatni. Bo należał do mnie bardziej niż wszystkie pozostałe. Bo miałam i wciąż mam słabość do myśli, że ten jeden był szczery, i nawet gdyby stało się tak przez przypadek, było to już bez znaczenia. Że jestem wystarczająco uczciwa, by umieć odróżnić piękno od prawdy i optować za pięknem, kiedy samo się narzuca. Kwestia dociekania bowiem, czy to dzieło sztuki, czy zwykłe świntuszenie, nigdy nie wydawała mi się interesująca. Bo ten list przypomina mi, że kochał mnie utalentowany chłopak, dla którego byłam natchnieniem i pomijając wszystko inne, miałam szczęście.

I ponieważ ten jest piękny.

I ja też taka byłam...

Ponieważ z tym listem dorastałam. Ponieważ ten towarzyszył mojemu dorastaniu. Najzwyklejsze kartki A4, ale całe pokryte małymi literkami pisanymi czarnym atramentem i ułożonymi w takim porządku, jedno za drugim, że najpierw koszmarnie mnie zawstydziły, potem mi pochlebiły, nastawiły mnie sceptycznie, rozwały, wypełniły smutkiem i zgięły w pół nad koszem na śmieci i ostatecznie... odmieniły.

Odmieniły. Uczyniły fatalistką. Kustoszem. Strażniczką. Zwykłą strażniczką małej świątyni czegoś, co zastępowało mi życie, zanim skończyło w...

...w mojej torebce.

Z uwagi na dyskrecję. Żeby nie wpadło w ręce moich współtowarzyszy ani nikogo innego. Nigdy.

Schowałam list w małej kieszonce w środku torby. Jedynej, która zamykała się na zamek błyskawiczny. Cienka, dyskretna, niebudząca podejrzeń kogoś, kto nie szukałby akurat jej.

Wciąż tam był, tylko że nie w kopercie, tak jak na pewno go kiedyś skitrałam, lecz owinięty wokół wspomnianej koperty. Nałożony. Nałożony na moje nazwisko i ówczesny adres, w sposób mający wyraźnie dać mi do zrozumienia, jak się domyślam, że koniecznie mam się zorientować, że został był przeczytany...

(Och! przeklęty język! Nie! Nie tu! Nie teraz! Nie w tym akurat momencie opowieści! I śmieję się. I śmieję się całkiem sama i na cały głos z zastosowania tak wytwornego czasu gramatycznego).

...że koniecznie mam się zorientować, że ktoś go wcześniej przeczytał.

Proszę. Mniej wysublimowane, ale też ujdzie.

—

Tak jak widzisz, poprosiłem pewnego nieznanego, żeby zaadresował kopertę w moim imieniu... To dość prymitywny fortel, przyznaję, ale nie odsyłaj mi go. Nie ten list. Jest cenniejszy ode mnie samego, obiecuję Ci.

Jeżeli nie chcesz czytać go teraz, poczekaj. Poczekaj dwa miesiące, dwa lata, może dziesięć lat. Poczekaj, aż będzie Ci to obojętne.

Dziesięć lat, ależ jestem pretensjonalny.

Poczekaj, ile trzeba, ale pewnego dnia, proszę Cię, otwórz go. Proszę Cię.

Nasza ostatnia rozmowa, czy raczej nasze ostateczne starcie, nie daje mi spokoju od tygodni. Zarzuciłaś mi egoizm, podłość, wyrachowanie. Zarzucałaś mi, że Cię wykorzystałem, wysssałem jak wampir, że zakochałem się w inspiracji, jaką we mnie wzbudzałaś, bardziej niż w osobie, którą byłaś.

Zarzucałaś mi, że nigdy Cię nie kochałem.

Czujesz się zdradzona. Rzuciłaś mi prosto w twarz, że nigdy w życiu nie przeczytasz już ani jednej książki. Że nienawidzisz słów tak samo jak nienawidzisz mnie, a nawet bardziej, o ile taka odraza jest w ogóle dla człowieka możliwa. Że słowa są żalosną bronią w służbie takich żalonych osobników jak ja. Że są nic niewarte, że nic nie mówią, że kłamią. Że pogrążają wszystko, czego się dotkną i że zraziłem Cię do nich na zawsze.

Teraz, tego wieczora, po dwóch miesiącach albo dwóch latach, przeczytasz poniższe słowa i dowiesz się, Kochanie, że nie zawsze miałaś rację.

—

Twoje zamknięte powieki, kiedy oddawałaś się w me ramiona, Mathilde, przypominały wnętrze łupinek liczi. Ten sam opalizujący cekin, ten sam róż, nieoczekiwany i przejmujący. Śliczne płatki Twoich uszu były jak dwa grzebienie tłustawych kapłonów – miniaturowe placuszki z porcelany, rozmiękczone, skruszone, topiące się od tak długiego duszenia się w sosie ze śliny twoich nieustannie podkradanych pocałunków – a meandry ich chrząstek, cóż za umizgi, ostatekowe faworki, gulasz z ptasimi łebkami.

Nasada Twoich włosów, ten zapach, tam, na Twoim karku, tuż nad tą deltą, tajemnym i oprószonym meszkiem wyłomem, nad tym lejkiem stworzonym do pieszczot, miał ostrą gorycz mięszu prawdziwego chleba na zakwasie, a Twoje paznokcie dla tego, kto ssał je długo, były jak migdały wyłuskane nieco zbyt wcześnie przed końcem lata.

W zagłębieniu Twoich obojczyków perlił się octowy sok, który szczypał w język, a z wypukłości Twojego ramienia nadchodziło dla niego zbawienie: świeży, delikatnie ziarnisty, rozplływający się mięsz krągłej gruszki faworytki ssanej w uprzęży pólcienia...

U spojenia Twych warg mikroskopijne bąbelki śliny syczały jak kropelki różowego szampana, kiedy wybuchałaś śmiechem, a czubek Twojego języka, mój uwielbiony, miał ziarnistość i odcień granatu, nieznaczną i delikatną cierpkość poziomek. Tak jak one ukryty, godny uwielbienia świętoszek, tajemniczy, płochliwy i szalenie, szalenie słodki.

Czubki Twoich piersi? Dwa ziarna prowansalskiego bobu, świeżynki, te, które zbiera się w lutym i na które trzeba sobie zasłużyć, bo łuska się je na surowo, podczas gdy ich krągłości, pod moją ręką, miały bursztynową, gładką i wesołą aksamitność pachnącą wiosennym masłem.

Dolinki prowadzące do Twojego pępka, gdy tylko wiedziało się, jak sprawić, byś była wilgotna z rozkoszy, przypominały rodzaj słodkawej kwaskowości śliwek lubaszek, zrywanych w opuszczonych sadach, i szczęśliwie pobudzały usta otumanione po takiej dawce mazistości.

Twoje biodra ugniatały dwie krągłości maślanych bułek, a dołki na twoich lędźwiach miały, wciąż mają, jak mniemam, nie, jak pamiętam, słodycz kwiatów akacji. Odurzająca i władcza woń, którą przedłużały krągłości Twoich pośladków, wydzielając ją aż do tych misternych rowków wykutych w załamaniu Twoich ud. Kołnierzyki z miękkiego ciała, gładkie i wypolerowane, które często więziły zbyt zuchwałe palce...

Sklepienie Twoich stóp było piżmowe, dołeczki kostek gorzkie, łuki łydek owocowe, wewnętrzna strona kolan słona, wewnętrzna strona ud mineralna, a to, co pochodziło z ich wnętrza, a to, co nadchodziło potem, a to, co perliło się u kresu, było uproszczeniem wszystkiego, co mnie tam zaprowadziło. Sedno. Sedno Ciebie i całego wszechświata.

Bo tym smakiem, smakiem Twojej istoty, współczesnej księżniczki, rozkosznej, niesfornej i wytatuowanej, którą bym się wówczas posłużył i której bym nadużywał, no cóż, do delektowania się nim pozostały mi już tylko słowa.

Niestety, te nędzne narzędzia, o czym sama mi przypomniałaś, nie mają żadnej wartości. Nic nie wiedzą, nie tworzą niczego nowego i niczego nie przekazują przychodząc na myśl, one oddają.

Bardziej niż Twoja skóra, włosy, paznokcie albo Twój zapach, to właśnie Twój ekstrakt, Twoja ciecz, zawiesina z Twojego łona, Twoje pektyny, wydzielina, Twój sok, ten posłaniec, windziarz, zdrajca Twojego głodu, pragnienia i zawrotów, ministrant Twoich żądz, sprawia, że jeszcze tej nocy ślina nabiega mi do ust.

Jaki smak miała Twoja ukochana? – wypytuje mnie 26 liter jedyne alfabetu, którego kiedykolwiek mnie nauczono. – I w jakiej kolejności byś nas ułożył, gdybyś chciał postawić nas przed wyzwaniem opowiedzenia jej tego?

Gniazdo jaskółki. Letnia figa. Przejrzała morela. Malutka malina wyszana pod zgęstniałą mżawką.

Czasami bruzda. Czasami draśnięcia przyływu, upustu krwi z duszy i krwistego księżycy. Albo rybi mlecz. Albo mleczny sok. Młodziwo Afrodyty.

Przerażająca mieszanka matczyne mleka i nosacizny zwierzęcia w rui.

Trufla w sakiewce. Bukiet przybrany wargami i fałdami z mięsa gotowanego na dużym ogniu. Wypatroszona pręga. Różowe mięso na ościach. Wywar z małży. Sok przesiąknięty przez skorupki. Koronowa zawiesina z jeżowca. Atrament wyszany z kałamarnic złowionych na haczyk. Zmięta miętówka. Plaster słodkiej galaretki kłujący w otępiały język. Muszelka kruchej ciasta wypełniona ambrozją. Cytron. Czerwony cytron o jodowanej skórce. Wi...

Och, Mathilde,

Poddaję się.

Kochałem Cię.

Kochałem Cię bardziej, niż umiałbym to powiedzieć.

I o wiele bardziej nieudolnie.

2

Ręce mi się trzęsły. Coś, nie wiem dokładnie co, może pozostałości wstydu, skromności, wybebeszonych, zdeflorowanych sekretów, podeszły mi do gardła, zabierając po drodze serce.

Nie rozumiałam, co się ze mną dzieje. Ej – irytowałam się – spokój mi tu, no, matka, spokój mi tu. To nic nie znaczy, to nic nie z n a c z y ł o, byle brandzelek mądrali, który opowiadał to sobie, pogryzając skuwkę.

Poza tym jest taka opcja, że z kolei tamten dyplomowany technik nożownictwa-masarstwa nawet nie umiał czytać...

Mniejsza z tym, czym prędzej spaliłam list w zlewie.

Dostałam dreszczy, pociłam się, mdliło mnie i mordowałam się z wpychaniem łajna z poczeriałego papieru do odpływu, jedną ręką kneblując sobie usta.

Spieszyło mi się, byłam przyszykowana, spóźniona, zimny pot szczypał mnie w twarz i czułam, jak cały mój makijaż spływa w p...

Porzygałam się.

3

Wyczyściłam wnętrze zlewu domestosem, po czym zaczęłam splukiwać szerokim strumieniem. Długo. Długo. Tak długo, aż cała ta żałość zniknęła w odmetach ścieków Paryża.

– Wszystko w porządku?

Głos Pauline.

Nie słyszałam, jak weszła. Nie martwiła się moim zdrowiem, tylko marnowaniem wody.

– Źle się czujesz?

Kiedy się odwracałam, żeby ją uspokoić, zrozumiałam, że i tak by mi nie uwierzyła.

– Och, mój Boże... No i co ci się znowu stało? Za dużo wczoraj wypijaś, tak?

Ależ mam reputację...

– Ach nie! – zaterkotałam głupkowato, poprawiając sobie palcami wskazującymi maskarę. – Dziś wieczór jest wielki wieczór! Spójrz, jaka jestem szykowna... idę na ślub swojej przyjaciółki Charlotte...

Nie rozchmurzyło jej to.

– Mathilde?

– Tak.

– Nie rozumiem życia, które prowadzisz...

– No ja też nie! – Zaśmiałam się, wycierając sobie nos palcami.

Wzruszyła ramionami, po czym udała się po swój ukochany imbryczek.

Czułam się głupio. Rzadko się zdarzało, żeby tak się mną interesowała. Chciałam się zrewanżować. A poza tym miałam potrzebę się komuś zwierzyć.

– Pamiętasz... Ten koleś, który znalazł moją torbę...

– Ten pocięty, tak?

– Tak.

– Masz od niego jakieś wiadomości? Wciąż ci się naprzykrza? Och, jejciu, herbata się prawie skończyła...

– Nie.

– Muszę powiedzieć Julie, żeby kupiła...

– Jest kucharzem.

Popatrzyła na mnie dziwnie.

– Ach tak? No i? Po co mi o tym mówisz?

– Tak po prostu... Dobra, pójdę już, inaczej znowu wszystko popsuję.

– Kiedy wracasz?

– Nie wiem.

Odprowadziła mnie aż do drzwi.

– Mathilde?

– Yes?

Poprawiła mi kołnierzyk.

– Pięknie wyglądasz.

Uśmiechnęłam się do niej, pochylając skromnie głowę.

Niech sobie wyobraża, że to urocze zakłopotanie, gdy tymczasem walczyłam ze łzami.

4

Dalej nic. Dalej to znaczy teraz. I nie mam już nic więcej do opowiadania. A poza tym nie mam ochoty. Nawet jeżeli nie widać tego gołym okiem, leżę teraz skulona na brzegu życia i czekam, aż minie.

„Depresja larwalna” – nie wiem już, kiedy wcześniej korzystałam z tego z dupy wziętego wytrychu, ale z chęcią posłużyłam się nim znowu. Pasował do mnie. Ta część o larwie, jak mniemam. Proszę, oto przez lata podaje się mnie jako przykład, wkręca mi się, jaka to nie jestem... silna, radosna, odważna i... No cóż, za łatwo wam to szło, bando patałachów. Zdecydowanie za łatwo. To prawda, że starałam się was chronić i trzymałam się tak długo, jak tylko mogłam, ale dłużej już nie dam rady.

Zajechałam się.

Bo tak było bardziej stylowo, drodzy przyjaciele... Tak, wszystko... Wszystko było stylowe... Wiedziałam, że moja matka wypełniała te swoje formularze byle jak, że stawiała krzyżyki, gdzie było trzeba, i celowo pozwalała, żeby się walały, bo chciała mnie uspokoić. Wiedziała, że te wszystkie dobre nowiny, o których głośno opowiadała godzinami mojej babci przez telefon, były nic niewarte. Wiedziałam, że obydwie mnie okłamywały. Wiedziałam, że mój ojciec pojedzie dymać swoją dziwkę tuż po tym, jak odstawi matkę do szpitala na chemię, i wiedziałam, że ona też o tym wie.

Wiedziałam, że on zawinie się z domu, zanim jeszcze ona zdąży ostygnąć. Że skończę u starszej siostry, że ogolę sobie głowę i brwi, że zawalę maturę i że będę pilnować dzieciaków siostry w ramach rekompensaty. Wiedziałam, że rozegram to pozytywnie, nie budząc podejrzeń, z klasą, jak ciotka klotka, która skacze po łózkach i bezbłędnie potrafi ułożyć karty z Pokemonami i Bella Sara. Wiedziałam, że pozwolę włosom odrosnąć, że nadgonię stracony czas, że będę mieć gościnne łono i nie będę wylewać za kołnierz. Że wyrobię sobie reputację niezłej imprezowiczki, walecznego serca, zawsze chętnej. Żeby zaszufladkowano mnie, jak trzeba, i żeby pozostawiono mnie w tej właśnie szufladce raz na zawsze.

Wiedziałam, że mój szwagier zatrudni mnie, żeby połechtać swojego wewnętrznego Mickeya Corleone, że rodzina jest święta i blabląbla, ale gdybym to nie ja naganiała mu przyszłych jeleni, równie dobrze ktoś inny mógłby brać za to kasę. Tak, w i e d z i a ł a m o tym wszystkim i jeżeli nic wam o tym nie powiedziałam, to z uwagi na swoją wielkoduszność.

Jedyna rzecz, którą uznałam za piękną przez te wszystkie lata spędzone na froncie, jedyny raz, kiedy nie skłamałam – pewien palant przerobił na książkę. Tak to jest – wypada być wesołym, jak to ktoś kiedyś powiedział, ale mnie dzisiaj nie interesuje już, co wypada.

Dzisiaj jestem jak larwa, podnoszę środkowy palec i się wyłączam.

Niestety, nie da się walczyć z własną naturą, więc jako dobra dziewczynka zmuszę się i dociągnę do końca tej historii, ale uprzedzam was: możecie wielokrotnie naciskać guzik „przewijanie” i nic wielkiego nie straciec...

Akt trzeci

1

Pewnego dnia, zdarzyło się kiedyś, zostawiłam torebkę w kawiarni niedaleko Łuku Triumfalnego. W torbie była niezaklejona koperta zawierająca sto banknotów po sto euro. Sto zielonych banknotów prosto z banku. Ślicznych, apetycznych, dobrze wyprasowanych i czystych jak po praniu.

W środku torby był też dobrze schowany pewien list relacjonujący życie mojej cipki i moich cycków w 3D. Dobra, podejrzewam, że takie rzeczy się zdarzają... Może nie aż tak soczyste listy, ale zdjęcia, filmiki, kompromitujące esemesy, niedyskretne załączniki, alfonsowate, obrzydliwe i niepochlebne piksele i cały ten donosicielski pierwiastek, cały zestaw narcyzmu i bezwstydnosci, w który wszyscy bardzo starannie żeśmy się dziś wyposażyli, to zdarza się, owszem, nic tylko załamać ręce, co nie?

Och tak, tak... na pewno opłakiwano to na salach sądowych, a sól sypała się na serca w strzępach... No więc czemu ja tak bardzo to odchorowywałam? Dlaczego nagle zaczęłam zgrywać spłoszoną dziewicę? Co mi tam, że jakiś koleś, którego nigdy więcej nie zobaczę, miałby przedsmak mnie samej, hm? No bardzo przepraszam. Nie trzymało się kupy to moje krakanie. Od kiedy to stałam się taka delikatna? Co za porażka, no chyba jednak bym się zorientowała!

Nic się już nie trzymało kupy. A ja przede wszystkim.

Poszłam na ten ślub z dwiema tabletkami spafonu pod językiem i z przekonaniem, że skończę złomotana.

Może i wyglądałam pięknie, ale to nie miało trwać długo. W tej kwestii mogłam sobie zaufać.

2

Dotarłam na miejsce zasapana. Słynne wywrotne szpilki zobowiązują, więc skreśliłam sobie kostkę, atakując w pełnym pędzie schody merostwa XX dzielnicy.

Krzywiąc się z bólu, zaczęłam jakiegoś gościa równie odstrzelonego co ja, ale któremu najwyraźniej mniej się spieszyło.

– Przepraszam, nie wie... ech... no, szukam sali ślubów, nie wie... Nie wie pan, gdzie to jest?

Podał mi ramię, na którym uwiesiłam się na czas wsuwania z powrotem szklanego pantofelka, a potem bardzo uprzejmie poinformował:

– Kuźnia rogaczy? Tamtędy! Może pani na mnie liczyć! Mam na myśli również ceremonię... Proszę się więc mocno chwycić, młoda, niestabilna damo, jako ostatni będziemy się mniej rzucać w oczy.

Bingo, znalazłam sobie odpowiedniego łobuza i to prawdopodobnie właśnie on powierzył mnie jakiemuś taksówkarzowi mocno po północy, kiedy już od dłuższego czasu jechałam na autopilocie.

Nowożeńcy nigdy do mnie nie oddzwonili ani nie podziękowali za prezent. Nie bardzo pamiętam, w jakim byłam stanie, a jeszcze mniej, co też takiego mogłam naopowiadać ich gościom, ale musiało to być mało weselne.

3

Tymczasem to było moje ostatnie łojenie.

A ponieważ te trzy krótkie cnotliwe słowa ustawione gęsiego wyglądają tak niepozornie: „moja ostatnia najebka”, to nie wzbudziły moich podejrzeń.

Myliłam się.

To był bardzo zły znak.

Bo co pozostaje ludziom, którzy przestali pić, jeśli dotąd oddawali się temu przez grzeczność lub z rozpacz?

Rozpacz.

To było zagmatwane. Rozpacz była zagmatwana. Szczególnie w przypadku takiego gracza w trzy karty jak ja, który sprawnie kiwał wszystkich przez całe lata.

Z trudem przychodziło mi odróżnienie uprzejmości od prawdziwego cierpienia, a ponieważ jestem zbyt bojaźliwa, żeby podnieść swój wielki kamień i zrozumieć choć trochę z tego, co się pod nim dzieje, trzymałam się symptomów, zewnętrznych oznak rozpacz. Jasne, skończyłam z pić, ale też przestałam jeść i w dodatku nie śpię. Musicie przyznać, że jak na zwykłą uprzejmość to mamy tu do czynienia ze sporą dawką przykrości.

Ktoś inny, odważniejszy, bardziej kumaty albo mniej skąpy poszedłby na konsultację. Może nie prosto do psychiatry, ale przynajmniej do lekarza. Dobrego lekarza rodzinnego, chociaż rodziny już nie miał. W sumie do byle jakiego internisty w okolicy, po czym nie wnikając w szczegóły, powiedziałby mu wszystko prosto z mostu: „Dzień dobry, panie doktorze, wszystko dobrze, wszystko naprawdę bardzo dobrze, zapewniam, ale proszę mnie zrozumieć, muszę zacząć spać, no. Muszę zacząć spać c h o ć b y t r o c h ę , inaczej padnę, jak tu stoję. Och! Apetyt to nic takiego! Wie pan, mam biodra krągłe jak bułki maślane, a poza tym, proszę spojrzeć... Doszłam do prawie dwóch paczek Marlboro dziennie, mogę na tym jechać jeszcze długo. Ale noce... te noce, wszystkie, zawsze, zawsze wszystkie białe. Na dłuższą metę się od tego umiera, nie?”.

To właśnie sobie roztrząsałam w czasie, kiedy ta historia dopiero się zaczynała, a ja włóczyłam się od Place de l'Étoile aż do cmentarza Montmartre w samym środku nocy, gładząc w kieszeni siódmy wtopiony rachunek.

No tak... Żadna ze mnie spryciara... Wszystko to, żeby wrócić tam: do punktu wyjścia.

Słucham?

Siedem?!

No nie, Mathilde... No nie, właśnie odkryłaś wszystkie trzy karty naraz, ej! Masz przewalone, dziewczyno! Przegrałaś! Wiesz, jak Anglicy nazywają taką grę w trzy karty? *Find the Lady*. Znajdź damę. No więc? To o to chodzi? To właśnie kryła twoja dama kier? To ten gruby spaślak wprawia cię w takie stany?

...

W swoich lakierkach, frotowych skarpetach wzmacnianych na czubku i pięcie?

...

Ten z brakującym palcem? I spiczastymi nożami przymocowanymi do sztanów?

...

Ten w kurtce śmierdzącej kozą?

...

Ten od nocnych zachcianek?

...

Ej, zaznaczam ci tylko, że on go wciąż ma, wciąż ma twój numer... OK, byłaś zbyt niezdarna, żeby przepisać jego numer poprawnie, ale on, gdyby chciał, zadzwoniłby do ciebie już dawno...

....

Ach, czekaj, może nie... Może mając dziewięć palców, nie daje rady...

...

Hej, Mathilde! Mogłabyś odpowiedzieć, jak się do ciebie mówi!

Morda. Kpijcie sobie, drwijcie, obgadujcie, ile wam się tylko podoba, ale nie próbujcie mnie pouczać. Nie dawajcie mi wykładu. Dobrze wiecie, jak bardzo tego nienawidzę. Jeżeli ten ton się nie zmieni, zaraz straciecie mnie na dobre. A poza tym... A poza tym co właściwie chcielibyście ode mnie usłyszeć?

Wszystko, kochana.

Wszystko.

Rozbieraj się do naga i karty na stół!

4

No to... ech... od czego mam zacząć? I na czym właściwie skończyłam?

Boulevard de Courcelles. Dobra. Niech będzie. Mam czas.

Żałowałam spalenia tego listu. Żałowałam, że nie przeczytałam go po raz ostatni przed spaleniem. Nie pamiętałam już dobrze, co takiego wychwalał, i to rozdarcie we mnie fałszowało kolejne rozdanie. Ubolewałam, że nie posmakowałam go po raz ostatni, tak żeby ocenić mniej więcej, co też takiego rozkminiał, i przypomnieć sobie, jaki jest stan moich zapasów amunicji.

Startowałam na niekorzystnych warunkach. Chciałabym tyle o nim wiedzieć. Chociaż... aż tyle to nie, ale więcej, niż wiem. Więcej niż małe zacięcia przy gołeniu, kosmyk, brakujący paliczek, nieruchomy wzrok i maniery cwaniakowatego handlarza.

Czułam, że brakuje mi kawałków, i czułam się tym pokrzywdzona.

Chciałam zrozumieć, jak to możliwe, że dzisiaj, w naszym świecie, w tym, co uczyniliśmy z naszego świata, w tej ogromnej szulerni, gdzie tak bezwstydnie funkcjonowałam na co dzień, ktoś oddaje nieznanemu dziesięć tysięcy euro w gotówce, robiąc do tego aluzję jedynie przez uprzejme ostrzeżenie, że ważne, by nie zgubić szczęśliwego losu, po czym jeszcze na końcu płaci rachunek.

Chciałam zrozumieć, jak to możliwe, że można być tak niedelikatnym i grzebać w damskiej torebce, po czym dawać to właścicielce do zrozumienia, podrzucając jej kilka tropów. Wkraczać siłą w jej prywatność, czuć się z tego powodu zmieszanym, potem ponownie się z nią spoufalać przez poddawanie jej przez ponad pół godziny, spokojnie i w milczeniu, mozolnej radiografii w głębi sali kawiarnianej. Następnie powąchać ją w progu drzwi, po czym przyssać się do jej ręki. Jednocześnie być wystarczająco ciulowatym, żeby oddać jej rzeczy, i nie wpaść wcześniej na to, żeby spiratować jej namiary, po czym się o nie dopraszać. Dzwonić potajemnie o nieludzkich godzinach, jakby chodziło o zbrodnię obrazy majestatu. Mieć jednak wizję, potrzebę, chęć, żeby nakarmić osobę odpowiedzialną za tak wielkie zamieszanie i w ten sposób zwrócić jej apetyt, który straciła i wyostrzyła sobie bez jego wiedzy. Być gotów znieść następnego wieczoru afront w postaci porządnej, grubej kurteczki z królika (o tym też, niestety, nie wiedział, ale skąd mógł wiedzieć?) i n a w e t nie zadać sobie trudu wykręcenia raz jeszcze numeru tej skisłej niewdzięcznicy, tej zasranej kłamczuchy, tej cholernej kokietki podsycającej atmosferę, żeby w ramach rewanzu samemu rozniecić w niej ogień.

Krótko mówiąc, chciałam się dowiedzieć, z jakiej planety pochodził ten przedziwny chłopak i – jeżeli chodziło o naszą planetę – dotknąć wreszcie palcem tego uosobienia człowieczeństwa.

Chciałam głodzić się dalej aż do śmierci, żeby mnie zabrał i schował w tym samym miejscu, w którym ukrył torebkę mojej mamy, a w niej miałąk degustację pewnego palanta oraz mój mały życiowy bajzel: pod swoją kurtką.

Tak, chciałam tego i niczego więcej. Żeby zapiął zamek błyskawiczny do samej góry i dał mi

wreszcie odpocząć na swojej masywnej piersi.

...

Ach! Zatkano was, co? Mówicie sobie: no, ależ co ona nam tu znów bredzi, ta nasza dziewczeczka?

Po poecie sławiącym jej tyłek i jego kosmicznym talencie, po całej tej klice patałachów i przed biednym zuchem, któremu wreszcie uda się ją upolować i zafundować jej trzy dzieciaki w minivanie, ona musi jeszcze zaliczyć fantazję o obwoźnym rzeźniku z porządnymi wielkimi chochlami, w spodniach w drobną pepitkę i buciorach z blaszanymi czubami, tak?

Groteskowe.

Groteskowe, groteskowe, groteskowe.

No dalej. Plujcie jadem.

Plujcie jadem, gady.

Plujcie jadem na białą gołębicę...

A Facebook to nie fantazja?

A portale randkowe? I cała reszta stron z durnymi anonsami? Te wszystkie nędzne kotły, w których świetnie przemieszają waszą samotność między dwoma klipami reklamowymi, te wszystkie „Lubię to” klikane bez namysłu, te wszystkie sieci wyimaginowanych znajomych, nadzorowanych wspólnot, stadnych, opłacalnych i zubożałych braterstw podłączonych do arcywspaniałych serwerów, to niby co?

I to całe rozgorączkowanie... Ten stan permanentnego braku, ta dziura w boku, telefony, które wciąż was dręczą, ekrany, które wciąż musicie odblokowywać, życia, które kupujecie, żeby móc grać dalej, ta rana, wentyl bezpieczeństwa, ten ucisk w waszej kieszeni? Sposób, w jaki wszyscy zawsze, nieustannie sprawdzacie, czy ktoś nie napisał wam kilku słów, jakiejś wiadomości, znaku, odpowiedzi, jakiegoś powiadomienia, reklamy... jakiejś b z d u r y.

I ten tryb bezosobowy, który może określić każdego i wszystko, również dlatego że zwraca się do was, pociesza was, przypomina wam, że wciąż żyjecie, że wciąż istniejecie, że wciąż się l i c z y c i e i że ponieważ nie da się was poznać inaczej, można spróbować opchnąć wam po drodze jeszcze jakiś ostatni szajsik.

Ten cały zbytek, zamęt, te wszystkie linijki kodu, które pieścicie w metrze i które wyrzucają was jak stary śmieć, kiedy tylko „to coś” przestaje was rozumieć. Te wszystkie rozrywki, które odrywają was od samych siebie, przez które straciliście zwyczaj myślenia o sobie, marzenia, paplania z bazą, uczenia się, poznawania samych siebie albo doceniania się, patrzenia na innych, uśmiechania się do nieznanym, gapienia się, flirtowania, uwodzenia, nawet pieprzenia! One dają wam złudzenie, że to wszystko robicie i że ogarniacie cały świat...

Te wszystkie zakodowane uczucia, przyjaźnie, które trzymają się na jednym kabelku, trzeba je doładowywać co wieczór, a i tak n i c by z nich nie zostało, gdyby wywaliło korki, to może nie jest fantazja?

I wiem, o czym mówię.

Sama też krwawię.

Miałam gdzieś, czy jest kucharzem, zamiataczem, czy maklerem. Mimo że aby wybrać ten nędzny zawód, który polega na karmieniu dzień po dniu podobnych do siebie, trzeba być fundamentalnie dobrym. Tak myślę.

Nie wiem, jak można by to było inaczej wytrzymać.

Być może wśród noszących kucharskie bluzy istnieli źli ludzie, ale... Żeby wstawać tak wcześnie i kłaść się tak późno, żeby co rano marznąć przy odbieraniu towarów, potem przegrzewać się nad kuchnią, żeby być tak bardzo pod presją w chwilach boju, że zasypia się w pierwszym lepszym bistro w porze przerwy, żeby zadawać sobie trud i wrzucać ugotowane warzywa do miski z lodem w celu zachowania ich pięknych kolorów i w ten sposób na zawsze zapewnić sobie samemu ziemistą cerę, żeby czuć się wyczerpanym podczas dni wolnych, ale mieć jeszcze energię na wiązanie fartucha i karmienie przyjaciół, rodziny, przyjaciół swoich przyjaciół, wszystkich tych ludzi przeszczęśliwych, że mają pod ręką kucharza, i czerpać z tego szczęście – może się mylę, ale wydaje mi się, że do tego wszystkiego trzeba być dobrym. Przynajmniej wielkodusznym. Odważnym, obowiązkowo. Bo cała kwestia sytości jest bardzo niewdzięczna. Bardzo, bardzo niewdzięczna... Zawsze trzeba zaczynać od nowa.

I przyjmując, że dryfuję teraz w totalnej fantazji i że na jedno czyste serce przypada dziesięciu gastrokratów, dziesięciu skrobaczy ziemniaków, dziesięciu zgryźliwych, dziesięciu totalnie niezdolnych i kopniętych w dupę w kierunku gastronomiki dla zdobycia papierów, dziesięciu takich, co nie mieli nic innego do roboty, dziesięciu życiowych leserów, którzy to wszyscy resztę życia spędzą na odliczaniu godzin, liczeniu poparzeń i obierek – zrezygnowani, zgorzkniali i tak deprymujący oraz zdeprymowani, jak to tylko możliwe w tego typu robocie – przyjmując to wszystko, no cóż, wiecie, co zrobiłaby w takim wypadku moja fantazja? Zajumałaby mi te dziesięć kafli.

No tak.

Tak, tak.

Czy to błąd, że sprowadzam wszystko do pieniędzy? Nie, oczywiście, że nie, to punkt odniesienia, doskonale o tym wiecie...

I przyjmując jeszcze, że musiałam chyba upaść na głowę, żeby iść w ten rodzaj truizmów i przyznawać trzy gwiazdki pierwszemu lepszemu garkotłukowi, który wpadł na kiepski pomysł, żeby zdrzemnąć się za moimi plecami, tak, przyjmując również to (a niech to! ależ mnie bierze na myślenie, kiedy nie mam roweru, a wszystkie butiki są pozamykane!), no cóż, raz jeszcze przyznaję, naprawdę wykazał się chłopak, jak przystało na biednego, uczciwego patałacha, tyle wam powiem.

Bo miał w swojej myśliwskiej sakwie odpowiedni śrut, żeby uprzykrzyć mi życie... Wiem to, bo sama mu go dostarczyłam...

Kasa zniknęła czy nie, torba trafiła do kogoś jeszcze czy nie, on miał na stanie wszystkie informacje potrzebne, żeby się nieźle zabawić. Żeby mnie namierzyć i dalej budzić mnie w nocy, pytając się, hau! hau! czy to prawda, że jestem tak dobra, czy wciąż jeszcze lubię, ho! ho! pogryzać kruszony lód, czy wciąż mam tłuściutko czym oddychać i czy mój tyłek, no weeeeż, rzeczywiście pachnie jak kwiat w wywarze z małży.

Taka wizytówka w torbie jakiejś dziewczyny to iście królewski gest.

Zamiast tego on wołał pobladnąć, wyjawiając mi spłoszony, że „wszystko mi oddał”.

I tyle. Skończyłam.

Boulevard des Batignolles.

Litości, w ogóle dziś nie spałam...

Ale dobra, nie jest źle. Powoli można dostrzec kawałek mojego Sacré-Cœur w oddali.

...

Ach! To wy teraz siedzicie tak cicho w kącie, co?

Powiedziałam coś, co was zaniepokoiło?

...

No więc?! Teraz wy odpowiadajcie, jak się was pyta!

Znaczy się... Byliśmy daleko od takich wyobrażeń, wiesz...

Jakich: takich?

No, że aż tak daleko to zaszło...

Niby dokąd?

No, że jesteś tak bardzo wygłodniała... Z daleka w ogóle tego nie widać.

Z daleko w ogóle nic nie widać.

...

Możecie mi wierzyć. W końcu jestem ekspertem w tej dziedzinie. Wszyscy... Wszyscy, jak tu jesteśmy, przemy do przodu, spędzając najjaśniejsze lata naszego życia na nielegalu. Z daleka, z bliska, od frontu, z profilu albo po skosie – nic nigdy nie widać.

...

Ej, no powiedzcie coś! Litości. Mówcie coś jeszcze do mnie. Właśnie przeskakuję przez kilkanaście torów kolejowych i wpędza mnie to w niezły dół, kiedy tak obserwuję te wszystkie potencjalne niemożliwe odjazdy. Wzdychajcie sobie, nie ma sprawy, ale potowarzyszcie mi jeszcze przez kawałek drogi. Bardzo proszę.

A ten twój słynny GPS to co?

Pogubił się, tak samo jak ja.

No cóż... No cóż, jeżeli to wszystko, z czego się nam zwierzyłaś, jest prawdą, to musisz go odnaleźć. Nie ma innej opcji.

Łatwo powiedzieć...

Pierwszy kelner, ten, co go nazwał Romeo, on pewnie go zna...

Nie. Pytałam się go, ale nic więcej nie wie i nie widział go już od tego czasu.

Fak, niech to. W takim razie musisz wziąć kompas, rozciągnąć krąg wokół miejsca waszego spotkania i nawiedzić wszystkie restauracje, które się w nim mieszczą.

Wszystkie?!

Masz jakiś inny pomysł? Może zawieszisz jego portret pamięciowy na Łuku Triumfalnym?

Ale to mi zajmie wariacką ilość czasu!

Całkiem możliwe, ale nie masz wyjścia.

Dlaczego?

Dlaczego? No przecież inaczej się tu zanudzimy! Dostyc już mamy wysłuchiwanie twoich monologów w ciemności! Twoje porywy duszy są śmiechu warte! Śmiechu warte... Wszyscy je miewają, wiesz! Wszyscy! A my akurat chcemy historii! W końcu po to tu przyszliśmy!

Ufff...

Co: uff? Co z tobą? Czemu się tak krzywisz?

Boję się dalszych cierpień...

Ależ Mathilde... To wspaniała sprawa tak cierpieć, kiedy jest się w doskonałym zdrowiu. To przywilej! Tylko martwi dłużej nie cierpią. Rozchmurz się, kochana! Idź, biegnij, leć, rozmarz się, usatkuj, krwaw lub ucztuj, ale żyj! Pożyj trochę! Twój niezłe wypolerowany tyłek i piźmowe nogi tutti frutti, no... rusz-że-tu-nimi dla nas, żebyśmy się mogli przyjrzeć. Bo pod płaszczykiem tych wielkich arii moralizujesz tak samo jak my, chciałbym tylko zauważyć. Dlatego weź to na klatę, mała rewolucjonistko z dobrej dzielnicy, no weź. Chociaż raz idź do końca za swoimi przekonaniem. Zostaw kompa, zostaw wygody, Kopciuszkę, zostaw swoje złe siostry, o których mówisz tak negatywnie, a pod których kuratelą

tak dobrze odgrywa ci się rolę małej dziewczynki. Tak, zostaw flaszki, swój cynizm za dychę i matkę, która już nigdy nie wróci, i... Ej! A ty dokąd?

Nie wierzę... Mój rower... No tak! Przecież to on! Przecież to mój najdroższy Jeannot! Och, co za szczęście! Och, wciąż tu jest. Och, wciąż tu jesteś, moje złotko. Och, dziękuję. Och, brawo. Och, ale numer. Dobra, lecimy, pośpieszmy się, bo musimy nabrać sił.

No, moja kupo złomu, mam dla ciebie robotę.

5

„Wiesz, Mathilde... Jeżeli rzeczywiście zależy ci na czymś w życiu, no cóż, rób, co tylko możesz, żeby tego nie stracić”.

Nie bój nic, święty Jean-Baptiste, nie bój nic. Nie widziałeś tego pod plisami mojej sukienki, ale ja też miałam bardzo ładny łańcuszek...

Akt czwarty

1

Słońce łaskotało kariatydy budynku naprzeciwko, wyciskarka do soku burczała, czajnik śpiewał, piekarnik wskazywał 7.42, a Michel Delpech (albo Fugain) (albo Polnareff) (albo Berger) (albo Jonasz) (albo Sardou^[4]) (albo co kto woli) meczał z samego rana.

Julie sprawdzała daty przydatności do spożycia jogurtów z mleka sojowego *fair trade* z bio sliwkami, a Pauline się niepokoiła:

– Widziałaś Mathilde?

– Nie. Już jej nie było, kiedy wstałam.

– Znowu?! No co też ona kombinuje tak wcześnie?

– Drugi lipca... Musimy się pospieszyć...

– Słucham?

– Jogurty... Chcesz jeden?

– Nie, dziękuję.

– Czeka, no przecież właśnie przeterminowuje nam się kupa rzeczy, ej... To też przez nią! Przestała w ogóle jeść!

– Po co ona właściwie wstaje teraz tak wcześnie? Znalazła jakąś robotę?

– Nie mam pojęcia...

– A widziałaś te plany w jej pokoju? Z małymi szpileczkami powtykanymi to tu, to tam?

– Tak.

– Ale co ona w sumie majstruje?

– Nie mam pojęcia...

– Chce się przeprowadzić?

Julie nie wiedziała, a Daniel Guichard śpiewał w kółko: *le gitan le gitan le gitan le gitan le gitan le gitan le gitan le gitan le gitan le gi...*

Ratunku.

2

W promieniu dobrych piętnastu minut piechotą wokół kawiarni, w której się spotkali (wyobrażała sobie, że może wyszedł zaczerpnąć świeżego powietrza albo rozprostować nogi między zamówieniami), Mathilde namierzyła dwieście dwadzieścia osiem restauracji i barów.

I nie tylko... Wykreśliła z listy pizzerie, naleśnikarnie, herbaciarnie, restauracje arabskie i indyjskie, afgańskie, tybetańskie, makrobiotyczne i wegetariańskie. Wykalkulowała, że jadłodajnie tego typu nie potrzebują tak wielkich noży.

228.

Dwieście dwadzieścia osiem.

Sto + sto + dwadzieścia + osiem.

Wymagało to trochę organizacji: skserowała w powiększeniu i przypięła nad swoim biurkiem kawałki XVIII, XVI i XVII dzielnicy, po czym zaczęła je pokrywać małymi czerwonymi szpileczkami – zamierzała je obskoczyć w rozsądny sposób. (Napoleon by tego lepiej nie wymyślił).

Zaczęła od dzwonienia, ale szybko zdała sobie sprawę, że tak łatwo nie pójdzie. Nie wiedziała, jak on się nazywa, nie potrafiła go opisać, wskazać jego wieku, określić, od jak dawna miałby tam pracować, nie umiała też podać powodów, dla których go poszukuje. Nie, nie, wcale nie zbiera danych dla inspekcji pracy ani nie chce zarezerwować stolika. Nadziewała się na mówiące przez nos automatyczne sekretarki, zarobionych szefów sali albo szefów pogrążonych w rachunkach, którzy to, bez

wyjątku, ostatecznie zawsze posyłali ją do diabła.

Krótko mówiąc, czuć już było odwrotem z Moskwy, bez stąpania wcześniej po alejach Wagram czy Jeny.

Trzeba było przejść do ofensywy.

Zaatakować. Chodzić. Chodzić za nim.

Pokazywać się, uśmiechać, żartować, udawać starą znajomą, która akurat tamtędy przechodziła, młodszą siostrę z prowincji porzuconą w paryskich okolicach albo która pojechała na wycieczkę bez misia w teczce, lub totalnie rozlażłą lasencję – zależnie od tego, z kim miała do czynienia.

A przede wszystkim wcześniej wstawać.

Na sali bowiem nie było czego szukać. Szefowie sali, dekoratorzy stołów, kelnerzy zmęczeni jeszcze przed włożeniem swoich kamizelek, marni, ale wyniośli, w ząbek czesani managerowie sektorów, wszyscy ci ludzie, którzy są innymi osobami w pracy i poza nią. Są przyjaźni, kiedy włożą strój dzienny i polują na napiwki, ale będą gryźć was po łydkach, kiedy, wciąż jeszcze w dresach, odkurzają lokal.

Trzeba było wcześniej wstawać i szukać tylnego wejścia. Wejścia dla artystów i dostawców. Z jednostronną klamką, niepozornego, które zaimprovizowany klin – skrzynka, pusty kubek po śmietanie albo ogromny baniak oliwy – przytrzymuje uchylone i przez które Pakistańczycy, Lankijczycy, Kongijczycy, Iworyjczycy, Filipińczycy i inni obywatele United Colors of Gówno Nie Życie wychodzili, pryskając przed sobą wodą z mopa i gdzie można było też dostrzec, od czasu do czasu, zombie o krągłych policzkach i jaśniejszej skórze.

Członkowie tej grupy przecierali twarz, byli wystarczająco przy kasie, żeby pozwolić sobie na fabrycznie skręcone papierosy, które palili oparci stopą o ścianę, sami albo w grupie, coraz ciszej i ciszej im bliżej było do końca dnia.

Świeżutcy jak pączki róży podczas przerwy o ósmej rano, spokojniejsi podczas tej o dziesiątej, nieźle zgrzani podczas tej o piętnastej i, paradoksalnie, kompletnie przywróceni do życia tuż po zamknięciu, kiedy to znów, od nowa, zaczęła się paplanina.

Zamiast wracać wreszcie do domu, gada się, śmieje, odtwarza się raz jeszcze wydarzenia ze zmiany, wyzywa ją na żarty, żeby odreagować jak trzeba i pozwolić stresowi rozpląnąć się w nocy.

Mathilde dowiedziała się tego wszystkiego po kilku dniach swojej kampanii – raczej poszukiwawczej niż wojennej (nie zgrywała już takiej cwaniaczki).

Całkiem osobny świat...

Zrozumiała również, że samo imię daleko jej nie zawiedzie, że większość tych koleżków znała tylko swoje nazwiska i że za każdym razem, kiedy pytała o niejakiego Jean-Baptiste'a, patrzono na nią z przykrością, jak gdyby prosiła o swoją przytulankę surowego pana, który właśnie zamknął jej bramę do szkoły. Jean-Ba, ewentualnie, ale Jean-Baptiste – nie. To było zbyt długie.

Kiedy trafiała na pomywacza i przeczuwała, że jej angielski, bengalski, syngaleski, tamilski albo nawet-nie-wiedziała-jaki nie będzie na poziomie rozmówcy, pokazywała na kuchnię, potem na swoją lewą rękę, przykurczając dwa pierwsze paliczki z obojętnie którego palca (nie pamiętała dokładnie, którego jemu brakowało), drugą ręką kreśliła coś na kształt wielkiego brzucha, a czasami nawet pokazywała też kosmyk na czubku jego głowy.

Nieliczni, którzy nie brali jej za wariatkę, kręcili brodą, rozkładając ręce.

Oddalając się, słyszała, jak szepczą między sobą:

– *Avaluku ina thevai pattudhu?* (Czego chciała?)

– *Nan... seriya kandupidikalai aval Spiderman parkirala aladhu Elvis Presley parkirala endru...*

(No... Nie zrozumiałem za bardzo, czy szuka Spidermana, czy Elvisa Presleya...)

– *Aanal ninga ina pesuringal? Ina solringa, ungaluku onunum puriyaliya! Ungal Amma Alliance Française Pondicherry la velai saidargal enru ninaithen!* (Ej, no co ty znowu wymyślasz? Chcesz mi powiedzieć, że nic nie skumałeś, tak! Zdawało mi się, że twoja matka pracowała dla Alliance Française w Pondichéry!)

– *Nan apojudhu... orou chinna kujandai...* (Wielkie mi halo... Byłem wtedy mały, co nie...)

Raz czy dwa ktoś wskazywał jej Jean-Baptiste'a, który nie był jej Jean-Baptiste'em, a jeszcze innego ranka pokazywano jej rzeczywiście przycięte ręce, tylko że one też nie należały do niego.

Wiadomości w Radiu Rondel krążyły szybko i po kilkunastu dniach nierzadko trafiała na takie przyjęcie:

– Niech zgadnę. To pani szuka jednorękiego kucharza, tak? Nooo nie, tutaj go nie ma...

Stała się czymś w rodzaju atrakcji. Poranną przerwą na kitkat. Wariatką na rowerze, która skreślała coś w swoim notesie i targowała się, albo nawet częstowała po drodze fajkami.

Koniec końców, dobrze się bawiła. Bardzo lubiła tych młodych ludzi – zawsze w pośpiechu i niespecjalnie rozmownych, ale walecznych. Zawsze walecznych. Szczególnie fascynowali ją ci najmłodszy. Czy zdawali sobie sprawę z przepaści, jaka tworzyła się w tym dokładnie momencie ich życia między nimi a ich towarzyszami z cywila?

*

Ustawiała sobie budzik na piątą, brała prysznic, lejąc jak najmniej wody, żeby nie przeszkadzać dziewczynom, wsuwała swoje plany do sakwy i przemierzała Paryż o świcie u progu lata.

Różowy, śpiący Paryż dostawców, straganiarzy i piekarzy.

Odkrywała na nowo widoki, bulwary i aleje, które zdarzało jej się dotychczas przemierzać o tej porze, ale w stanie totalnego odklejenia i na autopilocie, zygzakiem, potykając się o własne nogi, opierając się albo wisząc na rączkach kierownicy, która służyła jej wówczas do łapania równowagi.

Podziwiała rozciągające się mgły, ordynarną markotność, półprzymkniętą i już nęcącą gnuśność miasta. Jej biedne, małe oczy eksplodujące ze zmęczenia, od alkoholu i myksomatozy, oczy anonimowych melancholików nie widziały tego wszystkiego już od dawna, a przecież to było nieustająco, choćby nie wiem co, po prostu przepiękne.

Jakież to wszystko było malownicze... Czuła się jak turystka, jak flaner, jak na wycieczce po swoim własnym życiu. Zapyłała na całego, pogrywała sobie z kierowcami autobusów, slalomowała między krowiastymi rowerami miejskimi, jeździła śladami barona Haussmanna, zostawiała za sobą plebs (czy raczej to, co z niego zostało) z Place de Clichy, jechała wzdłuż coraz to bardziej zamożnych kamienic, pozdrawiała prześliczną rotundę w parku Monceau, każdego ranka zastanawiając się, kto właściwie mieszka w tych wyjątkowych, szalonych, miejskich posiadłościach i czy ci półbogowie zdawali sobie sprawę ze szczęścia, jakie mieli. Jadała śniadanie w różnych lokalach, patrzyła, jak ceny pną się w górę, w miarę jak numery dzielnic maleją. Przyglądała się ludziom, przerzucała „Le Parisien”, odwracała plecy od ekranów telewizyjnych, przysłuchiwała się dyskusjom przy barze, zgłębiała rozliczane w żywej lub nieżywej gotówce samochwalcze, chybione prognozy wyników wyścigów konnych i ligowych rozgrywek piłkarskich. Włączała się do dyskusji, kiedy miała zapał, i pedałowowała żwawo, żeby nadgonić

opóźnienie.

Miała gęsią skórę przy zjazdach i fale gorąca przy podjazdach...

Wierzyła w to.

Wiarą twardą jak stal.

Wymyśliła sobie przeznaczenie, pogrywała ze swoją samotnością, robiła z tego kino, uważała się za Mathilde z *Bardzo długich zaręczyn*, szukała całkiem brzydkiego chłopaka, dla którego miała się na coś przygotować, jak jej to wyszeptał na ucho pewnej nocy. I nawet jeżeli nie mogła go znaleźć, nawet jeżeli wszystko to miało być tylko jeszcze jedną zgrywą w krainie Noddy'ego, to nic się nie stało, nic się nie stanie, bo on już podarował jej wspinały prezent w postaci tego doświadczenia: jak to jest stanąć prosto, być zdecydowaną, żywiołową i wcześniej wstawać. I to już... to już było wiele.

Tak długo, jak będzie trwał ten haust świeżych poranków, świat, przynajmniej świat będzie należał do niej.

3

Należał?

Do innych!

Oto mijają prawie trzy tygodnie, odkąd zaczęła latać za jednym facetem, wstaje o świcie, nie zaniedbuje pracy, kładzie się spać z kurami, ledwo coś skubnie i zasypia zawiedziona. To było... deprymujące.

Mathilde wzdychała.

No co też ona sobie znów wyobraża?

I cóż to znowu za wstrętą breję serwuje jej tym razem Kupidyn?

Hej, panie dupiasty, tam na górze?

Co to znów za numer z tym do reszty skisłym żarłem?

Wszystkie miejsca, o których myślała albo które przyszyły jej na myśl, wszystkie rady, wszystkie sugestie, te wszystkie dźwięki tam-tamów wysyłane od jednych drzwi na zapleczu do drugich, wszystkie „Powodzenia” albo „Mówisz, że ostrza miały taką jakby poświęcę? To japońska rzecz... na twoim miejscu zacząłbym od japończyków”, tak, wszystkie te dobre cynki i fałszywe nadzieje, oszczędne opisy i niebываłe pytania („Przepraszam pana... szukam kucharza, no i... ech... nie mam pojęcia, jak się nazywa, ale jest taki trochę... ech... przy sobie... mówi to panu coś?”), wytrzeszczone oczy, kiwania czepkiem z przykrością, zwieszona ręce, przyjacielskie sprowadzanie na ziemię albo złośliwe splawianie, całe to życie na opak, pobudki o nieludzkiej godzinie i nieustanne porażki, wszystko to, wszystko, wszystko było na próżno.

Mathilde się wahała.

No gdzie on się właściwie chowa, do jasnej cholery? Czy rzeczywiście pracuje w tej dzielnicy? Może gotuje tylko dorywczo? Albo pracuje na stołówce? Albo w cateringu? Albo jest niebezpiecznym mitomanem obwieszonym nożami? Albo miłym marzycielem o słomianym zapale?

A w zasadzie dlaczego nigdy już do niej nie zadzwonił? Bo był zawiedziony? Urażony? Zawzięty? Stracił pamięć?

Bo nie umiał czytać?

Bo nie była w jego guście albo myślał, że ona wciąż się buja ze swoim wierszokletą?

Mathilde zaczynała wątpić.

A w ogóle... czy on istnieje? Czy on w ogóle istnieje?

Może sama wszystko zmontowała. Być może list nie był już w kopercie od lat. Być może ktoś inny, on lub ona, przeczytał go dużo wcześniej. Być może...

Być może jeszcze raz dała się wydymać słowom...

No właśnie, à propos słów... to przecież na tej właśnie ulicy, lata temu – zapomniała o tym, ale nagle to do niej wróciło – jej niedoszły pisarz zbladł pewnego zimowego wieczoru.

Zbladł i zaniemówił, bo rozpoznał, z daleka, sylwetkę jakiegoś starego lowelasa, który zniknął w drzwiach obrotowych hotelu naprzeciwko. Poblądł, chwycił ją za ramię i zamilknął na dłuższą chwilę, po czym zaczął powtarzać w kółko i we wszystkich możliwych tonach ekstazy: „Bernard Frank? To był Bernard Frank? A niech mnie... Bernard Frank... Zdajesz sobie sprawę? To był Bernard Frank!”.

Nie, nie zdawała sobie sprawy, było jej zimno i chciała iść na metro, ale poczucie, że on jest równie przejęty, jak ona zziębnięta, poruszyło ją:

– Chcesz, żebyśmy tam poszli? Chcesz się z nim przywitać?

– Nie byłbym w stanie. A poza tym to jest prawdziwy pałac, wiesz... Nie mógłbym postawić ci nawet oliwki...

I zanudzał ją tym przez całą drogę powrotną: jego umysłem, kulturą, wspaniałymi książkami, które napisał, jego stylem, flegmą, elegancją itepe, itede.

Wzruszenia, bełkot, szczebiotanie i słowotok egzaltowanej pisarzyny, akt II, scena 3.

Słuchała jego paplania nieuważnym uchem, kalkulując liczbę stacji, które im jeszcze zostały, a potem w pewnej chwili on dodał, że ta sylwetka w białym szaliku to był najlepszy przyjaciel Françoise Sagan, że byli razem piękni, młodzi i bogaci, że razem czytali, pisali, tańczyli, grali w kasynie i hulali – i wtedy, to Mathilde pamiętała, wtedy bardzo się rozmarzyła.

W podziemnym tunelu, pewnego mroźnego listopadowego wieczoru, przykleiła nos do szyby, żeby uciec od swojego bezbarwnego odbicia, i pomyślała sobie, jak to musiało być, tak sobie imprezować z Saganką...

Tak, to akurat do niej przemawiało i żałowała teraz, że wówczas nie ośmieliła się wejść za nim do tego luksusowego kokonu. On... przyjaciel Gatsbych...

Trzymając się w ciszy za ręce, wylewali tamtego wieczoru swoje wątpliwości, marzenia i żale w tunelu linii nr 9.

A Bernard Frank zmarł następnego dnia.

Witaj, smutku.

Mathilde zahamowała.

Pałace... Zapomniała o pałacach...

Ależ była durna.

Stała, podpierając się nogą, i przyjrzała się baletowi konsjerżów, którzy tłoczyli się wokół smukłych limuzyn z rejestracjami z rajów podatkowych, oparła się łokciami o kierownicę i raz jeszcze, oszołomiona, ukloniła się przed przebiegłością i wszechmocnością życia.

Bo on tam był...

Oczywiście, że tam był.

Za tą wielką fasadą z kamiennych bloków, w tym niedostępnym hotelu, przy dawnym Faubourg Saint-Honoré, cudotwórcy i patrona smakoszy.

On tam był i słowa, nie dało się temu zaprzeczyć, cały czas prowadziły w tym tańcu. To one przedstawiły ich sobie nawzajem, one ich od siebie oddaliły i one z powrotem ich połączą.

Czyli jednak to była prawda: literatura wymiatała, a Mathilde nie zawsze miała rację.

Przyznała się do swoich błędów z poczuciem ulgi i wreszcie poczuła się uniewinniona z miłości do tego, który zniszczył jej młodość: nieważne, że służył słowom z większą dozą czułości, niż miał miłości dla niej, ale dotrzymał obietnicy.

*

Prawie dziewiętnasta. Kiepska pora na spotkanie w kuchni...

Phi... Wróci tu.

Oddalała się pocieszona i z łokciami opartymi na kierownicy starego Jeannota podziwiała swój uśmiech we wszystkich witrynach przedmieścia aż do rogu rue Royale.

Jasne, to było poza jej zasięgiem cenowym, nie zawsze w najlepszym guście i często niełatwe w noszeniu, ale trudno... dla niej był piękny.

4

Nawet zbyt piękny...

Zdecydowanie zbyt piękny, żeby mógł być prawdziwy!

Uwierziliście w to? Poważnie? No i na co liczyliście? Że następnego dnia Mathilde przybędzie tam w podskokach, zawoła go, a on, szabadabada, szabadabada, pojawi się z rozmytą aureolą, po czym podbiegnie do niej w zwolnionym tempie wśród wznoszących się do lotu gołębi, podczas gdy wokół nich będzie krążyć kamera?

No już, no już, zgrajo prostackich sentymentalistów, przecież takie rzeczy to tylko w filmach. Albo w książkach, których jej eks tak nienawidził. A my pechowo mamy tu prawdziwe życie i nasza rozmarzona bohaterka słono za to zapłaci: wstęp był wzbroniony, drzwi zamknięte, a monitoring – wizyjny.

Dobra. Zaczynało się już robić grubo... W ogóle nie bawiła jej ta historia i Mathilde Salmon, powiedzmy to sobie otwarcie, miała już powyżej uszu biegania za jakimś chłopakiem.

Role obsadzone wbrew warunkom są dobre na dwie minuty.

Dlatego usiadła na masce jakiegoś samochodu, zmieniła buty, wyciągnęła kosmetyczkę, związała włosy, przypudrowała policzki, podkręciła rzęsy, podkreśliła usta, uperfumowała kark, zwinęła kurtkę i upchnęła ją na bagażniku, po czym przeszła przez ulicę rozkołysanym krokiem.

Piękna i seksowna, szła w pośpiechu i cała ociekała forszą – mogła sobie pozwolić na zignorowanie uwag konsjerżów, gońców, recepcjonistów, bagażowych, pokojówek i klientów.

Z drogi.

Z drogi, nędzny planktonie, który stajesz jej na drodze.

Deptwała po wykładzinie grubej jak jej tupet, przemierzała korytarze, nie zwracając uwagi na pytania

i inne uwagi po rosyjsku albo po angielsku, adresowane do niej po drodze, ułożyła sobie na ramionach niewidzialne boa, znalazła salę restauracyjną, obeszła odkurzacza, uśmiechając się przeprasząco, namierzyła kuchnię, popchnęła drzwi i wyhaczyła pierwszego z brzegu:

– Muszę się natychmiast zobaczyć z Jean-Baptiste’em. Bardzo proszę, niech go ktoś zawoła.

5

– Kogo? Vincenta?

– Nie (pogardliwym tonem), Jean-Baptiste’a. Tak jak powiedziałam. Tego z japońskimi nożami.

– Tak, no cóż, JotBe (parszywym tonem) już tu nie pracuje.

I w jedną sekundę Mathilde przestała być piękna.

I bogata, i seksowna, i dumna, i w ogóle żadna.

Zamknęła oczy i czekała, aż wywalą ją za drzwi kopniakami. Jakiś wielki facet o dość surowym wyrazie twarzy już zbliżał się do niej, wycierając ręce:

– Zgubiła się panienska?

Odpowiedziała mu, że tak, a on wskazał jej wyjście.

Widać było jak na oklapniętej dłoni, że naprawdę była w kiepskim stanie, a w dodatku brzydka i żalosna, facet więc dodał:

– Zna go panienska? Proszę się strzec... Mnie też się zdawało, że go znam, a potem... A potem i tak dałem się wyrolować... To był jednak dobry drugi kucharz... Mówiłem mu zresztą, mówiłem... Ale nie wiem, co znów za mucha go ugryzła... Bo nie był to przystępny okaz, co nie? Oj, nie był... Ani trochę... Od kilku tygodni totalnie obniżył poziom, robił mi numer za numerem, a później wyjechał.

– Nie wie pan, gdzie mogłabym go znaleźć?

– Nie mam pojęcia... I nie chcę mieć, tyle paniencie powiem. Wykręcił nam tu paskudny numer... żeby tak w samym środku sezonu... Ach tak, teraz sobie przypominam... Pewnego ranka przylazł jakiś nieswój. Nic go nie interesowało. Ten osioł nie odróżniał nawet arbuza od ślimaka. Najpierw musiał wziąć zwolnienie, bo się poparzył, a potem jeszcze lepiej, musieliśmy go wysłać na pogotowie, a kiedy wrócił, nie był sobą. Nie potrafił się skoncentrować. „Straciłem smak”, to wszystko, co miał mi do powiedzenia... Opróżnił swoją szafkę i rozliczył się z księgowością. I pani też polecam teraz wyjście tymi drzwiami. A jeżeli spotka go pani pewnego dnia, proszę mu powiedzieć, żeby oddał mi mojego Grimoda^[5]. Będzie wiedział, o co chodzi.

Wychodząc, Mathilde mijala ochroniarzy przy wejściu i czuła, że jest niemile widziana. Że powinna przyspieszyć kroku. Że wstęp tutaj, z tego, co pamięta, był wzbroniony wszelkim ankieterom, komiwojażerom, kolporterom i innym intruzom obcym dla sytego świata.

Myk, myk.

Kierowała się już w stronę swojego pięknego astona martina z zepsutym dynamem, kiedy jakiś młody facet, ten, który pierwszy ją pokierował, dotknął jej łokcia:

– To pani?

– Słucham?

– Dziewczyna spod Łuku Triumfalnego to ty?

Po bólu, jaki wywołał u niej uśmiech, zrozumiała, że wcześniej przygryzła sobie wargę aż do krwi.

– Tak myślałem. On jest na prowincji... Zatrudnił się u swojego wujka... w Périgueux.

Słodki Jezu. Périgueux. A czemu nie w Australii, skoro już przy tym jesteśmy?

– Ma jakiś numer?

– Nie znam go. Masz coś do pisania? Zapiszę ci nazwę lokalu. Tam jest zupełnie inaczej niż tutaj, sama zobaczysz. Łatwiej będzie go znaleźć.

Mathilde przyswoiła starannie jego wskazówki, po czym podniosła głowę, żeby mu podziękować.

– Czemu mi się tak przyglądasz? – zdziwiła się.

– Tak po prostu.

Obrócił się na pięcie i zrobił kilka kroków, po czym zmienił zdanie:

– Ej!

– Tak?

– Co było dokładnie w tej torbie?

– Atlas.

– Ach tak?

Wyglądał na zawiedzionego.

6

Mathilde zamierzała wpaść po drodze do domu, żeby zabrać kompa i szczoteczkę do zęb... och, a w sumie to nie. Stracili już wystarczająco dużo czasu.

Zawahała się na pierwszym czerwonym świetle: cholera, żeby jechać do Périgueux, który to w sumie dworzec? Montparnasse czy Austerlitz?

No dobra, jedziemy, mały cesarzu, ponieważ od początku robisz mi za przyzwoitkę, to zaufam ci aż do koronacji. Mówi się, że pod względem taktycznym to było twoje najpiękniejsze zwycięstwo, a ja pod względem taktycznym jestem trochę w plecy, wiesz? Tak że niech będzie Austerlitz...

Ej, chyba mnie nie wystawisz, co?

Przypięła swój rower do poręczy i podeszła do kas.

– Bilet? – spytała ją pewna dobrodusznia Clémence w fioletowej kamizelce. – Zwykły czy tam i z powrotem?

Bosz. Zwykły. I tak już to wszystko było wystarczająco niezwykle.

Od teraz już tylko zwykłe, bardzo proszę.

I gdyby się dało, chociaż raz poproszę zgodnie z kierunkiem jazdy.

Ostatni akt

1

To były bardzo długie oczekiwania. Najpierw na tym dworcu, potem na dworcu w Limoges i wreszcie na ulicach starego Périgueux.

Mimo że nigdy tam wcześniej nie była, to miejsce przywoływało w niej całą masę wspomnień. Wszędzie był tam d'Artagnan, wciskał się do tawerny, drąc się: „Hejże, gałganie! Hejże, karczmarzu od siedmiu boleści! Najlepszego wina!”. Nawet jeżeli było tam mnóstwo butelek oliwy z orzecha, przetworów, różnorakie *confit*, faszerowane szyjki i te same sieciówki odzieżowe co wszędzie indziej na całym świecie.

Kwiat lilii na spince stracił na wartości. Trzeba przyznać, że w Chinach wyszywali je o wiele taniej.

Ba... Taki był nasz świat... Trzeba go było lubić... A poza tym te stare kamienie, które snuły człowiekowi opowieści płaszczą i szpady, no, w Chinach się tego nie da zrobić.

Mathilde się szwędała, bo postanowiła poczekać do ostatniego klienta. Objawić się w półmroku. Nie żeby tak było romantyczniej, po prostu miała stracha.

Tak, zgrywała tu przed nami filozofującego gapia na prowincji, ale tak naprawdę nasza młoda przyjaciółka miała niezłego stresa. Wzburzenie spławionego mistrza kuchni ją porażało. Być może rzeczony osobnik rzeczywiście był zraniony do żywego. Być może Mathilde zamierza rzucić się prosto w paszczę lwa... albo gorzej – jakiegoś dzikusa. Albo takiego, co mu lata koło ptaka jakaś mała, wylaszczona paryżanka z Pól Elizejskich i jej fałszywe obietnice i słowa – kto by o tym pamiętał...

Albo jeszcze, nawet jeszcze gorzej: kogoś, kto powie jej za kilka godzin, wskazując na zegar:

– Przykro mi... Już zamykamy.

Tak, być może miała właśnie za chwilę stracić kolejne życie w tej idiotycznej grze, którą sama sobie wymyśliła dla zabicia czasu.

Litości...

Hejże, karczmarzu! Zimniutką colę na przetrzymanie nerwów dla tej ślicznotki!

Na placu targowym stanęła na palcach i sfotografowała ślicznego pielgrzyma wykutego w kamieniu na drodze do Santiago de Compostela.

Pstryk. Pamiątka z wakacji.

W najgorszym wypadku, jeżeli sprawy przybiorą naprawdę zły obrót, ustawi sobie to zdjęcie jako tapetę.

Coś w rodzaju samoprzylepnej karteczki na patyku, żeby na zawsze pamiętać, jak ryzykownie jest kochać bliźniego swego i na dodatek w to wierzyć.

2

Kwadrans przed północą. Minęły dobre dwie godziny, odkąd zaczęła wyczekiwać na murku naprzeciwko karczmy wujaszka.

Lokal był wytworny, pełen belek, miedzianych naczyń, śmiechów i brzękania. D'Artagnanowi i jego drużynie na pewno by się tam spodobało.

Ostatni ślamazarni chrząkali, by dostać rachunek, a coca-cola przestawała działać. Mathilde gładziła się po brzuchu, prosząc go o dobre zachowanie jeszcze przez kilka chwil.

Gładziła też swoje dłonie.

Dłonie, które się pociły.

*

Teraz nie było już żadnych klientów, ale na sali wciąż panował ruch. Jakaś pani wniosła do środka czarny stół stojący przed wejściem, jakiś młody chłopak z kaskiem motocyklowym pod pachą pomachał jej na pożegnanie, po czym odpalił papierosa i się zawiął, jeszcze ktoś inny nakrywał ponownie stoły, które dopiero co zostały zwolnione, podczas gdy gruby wąsaty pan w fartuchu winiarza (wujek?) uwijał się za ladą.

Więcej nic.

W Mathilde się gotowało.

Kipiące w jej wnętrzu przekleństwa zdołały się wreszcie precyzyjnie przemieszać między zębami, mimo wszystko mocno zaciśniętymi.

Brzęczenie wśród nocy:

– Kurwa, no co też oni tam jeszcze odpierdalają? Ruchy, kluchy... Wypad mi stąd, bando patalachów. No wypad. A ty? Kiedy wreszcie wyjdiesz? Nie skończyłeś jeszcze? No weź, skończ już nadziewać te kupry i wychyl się na chwilę z tej pieprzonej speluny...

Po kilkunastu minutach kobieta i chłopak wreszcie pojawili się na zewnątrz, ucałowali się na do widzenia tuż przed nią i oddalili się każde w przeciwnym kierunku, po czym wszystkie światła pogasły.

– No ej! – krzyknęła, zeskakując z murku, a następnie przebiegła przez ulicę. – No ej, przecież nie będę tu nocować!

Wpadała na stoły, zrzuciła jakieś krzesło, syknęła bluzgiem i jak zjawa skierowała się do jedyne go źródła światła, które wciąż jeszcze mogło ją pokierować: impost, bulaj w drzwiach do kuchni.

Pchnęła je powoli, wstrzymując oddech, dumę, dzwoniące zębami i resztę ciała.

Jakiś mężczyzna w białej koszuli skupiał się na swoich rękach.

Na stojąco, zaaferowany, majstrował przy czymś leżącym przed nim na roboczym blacie z nierdzewki.

– Możesz iść, ja zamknę. Tylko zostaw mi swoje klucze, bo znów zapomniałem moich! – powiedział, nie odrywając wzroku od swojego dzieła.

Mathilde podskoczyła.

Poznała go dopiero po głosie, tak schudł.

– A właśnie, uprzedziłeś Pierrota o grasicy?

A ponieważ pech chciał, że nie uprzedziła Pierrota, wreszcie podniósł na nią wzrok.

3

Jego twarz nie wyrażała ani zaskoczenia, ani radości, ani zdziwienia.

Nul.

Patrzył na nią.

Patrzył na nią przez... trudno powiedzieć. W tym akurat przypadku trudno właściwie mówić o sekundach, jest ich mało i liczą się potrójnie. Przyjmijmy, że przez wieczność.

A ona milczała. Przede wszystkim była wyczerpana, a poza tym dobrze jej tam było. Odwaliła swoją część roboty.

Nie kiwnie już palcem. Teraz jego kolej. Jego kolej na wzięcie ich historii w swoje ręce. Na powiedzenie jakiejś głupoty, która wszystko zepsuje, albo na powiedzenie... Nie wiedziała – czegoś, co pozwoli jej wreszcie usiąść i odetchnąć.

Wyczuł to wszystko. Widać było po jego sylwetce, że walczy ze słowami. Ze słowami, ze zmęczeniem, ze wspomnieniami. Że szuka. Że ma już coś na końcu języka, a potem się w niego gryzie. Że się boi i że jest równie zaplątany jak ona.

Opuścił ponownie głowę i wrócił do swojego zajęcia. Żeby zyskać na czasie oraz dlatego, że był inteligentniejszy z zajętymi rękami.

Leżał przed nim długi, prostokątny niebieski kamień: ostrzył na nim swoje noże.

Przyglądała mu się.

Zaczął grać na ich nerwach, a ten spokojny, regularny świst uspokajał ich oboje. Zawsze to kilka minut przewagi nad ewentualną totalną porażką – tak sobie pewnie mówili.

Sprawdzał ostrze, oceniał jego ostrość, pozwalając, by zjechało jak smyczek po paznokciu lewego kciuka, potem obracał nóż i powracał do szlifowania.

Kamień zaczął pokrywać się czymś w rodzaju ciemnego osadu. On wyrysowywał na nim pętle, ósemki i spirale, przyciskając całym ciężarem swojego ciała trzy palce, które prowadziły stal.

Mathilde, zafascynowana, przyglądała się szczegółowo tym krótkim paznokciom, bielejącym od wysiłku, zwieńczonym stwardniałą i pociętą miazgą oraz schowanemu pod hebanowym trzonkiem, słynnemu małemu palcowi bez czubka.

Właśnie tego niepokojącego, delikatnego i bladego palca chciała dotknąć.

On, nie rzucając na nią ani jednego spojrzenia, przyciągnął do siebie miseczkę z wodą i jeszcze raz pogładził kamień, żeby go nawilżyć.

Odgłosy trącego ostrza, krótkie gniewne uderzenia ich zbyt długo zamkniętych serc, burczenie chłodni z oddali kołysały ich jeszcze przez chwilę, a potem słychać było kroki w pomieszczeniu obok, następnie jakieś „KLIK!” wyłącznika prądu, odgłos spuszcanych rolet i drzwi zamykanych kluczem na jeden, nie, na dwa zamki.

Znaleźli się pogrążeni w mroku i dopiero wtedy Mathilde zobaczyła, że on się uśmiecha: dołeczki zrobiły mu się na głosie.

– A to... szkoda... bo jak ci już przed chwilą mówiłem, zapomniałem kluczy...

On już się delektował, a ona wciąż milczała. Szukając po omacku za sobą, znalazła taboret, który przyciągnęła i usiadła naprzeciwko niego.

Trochę hałasu, a potem znów cisza.

– Co za przyjemność... – wymruczał.

Mathilde znów się znęcała nad dolną wargą, rozdzierając sobie ranę. Czy teraz jej kolej, żeby coś powiedzieć? Litości, nie, jeszcze nie teraz. Była zbyt zmęczona. Dotarła aż do niego, bo jej nie okradł, niech idzie za ciosem.

Żeby zyskać jeszcze kilku sekund odroczenia, bawiła się swoją zmaltretowaną wargą.

Gryzła ją tam, gdzie najbardziej bolało, i ssała swoją krew.

– Schudłaś – odezwał się ponownie.

– Ty też.

– Tak. Ja też. Ja bardziej niż ty. Mogłabyś powiedzieć, że miałem więcej zapasu...

Uśmiechnęła się w ciemności.

Zabujał się jeszcze bardziej do przodu, jakby chciał się wryć, zetrzeć, wydrążyć kamień.

Po jakiejś minucie, może dwóch albo trzech, albo tysiącu, dodał równie cicho:

– Myślałem, że ty... że ja... Nie... Nic...

Skrrricz. Jakaś mucha spaliła się żywcem w niebieskawej aureoli pułapki postawionej obok wyciągu.

– Jesteś głodna? – zapytał wreszcie, patrząc na nią pierwszy raz w życiu.

– Tak.

– Ja też.

Bolało ją, kiedy się uśmiechała, a kiedy ją bolało, oblizywała sobie obwisłą wargę.

Obśliniała wargę, żeby ją kauteryzować, podczas gdy on wycierał starannie swój wielki nóż.

– Rozbierz się.

Yann

jeden, jaja

W tym tygodniu to ja zamykam. Potwierdzam ostatnie zamówienia, gaszę kompy i sprawdzam, czy szuflady i wszystkie wystawki na pewno są zamknięte na klucz.

Przyznaję – to mnie właśnie najbardziej drażni. Czuję się jak mały, prowincjonalny jubiler, który każdego wieczoru niewzruszenie chowa swoje łańcuszki i bransoletki z blaszkami. Erikowi, koledze z piątego, miesiąc temu buchnęli sprzętu za ponad trzy kafle i wiem, że ta sprawa nie jest jeszcze zamknięta.

No nie, nie powiedzieli mu, że to kwestia złodzieja – dano mu to do zrozumienia.

– Wiesz, czasem sobie myślę, że to najlepsze, co mogłoby mnie spotkać: gdybym został zmuszony oddać im identyfikator i przytemperować marzenia mojej dziewczyny o kredycie... I nie musiał dłużej jeździć kolejką... Ani zaczynać już więcej każdego dnia w ten upokarzający sposób. Ledwo co się obudzili, a już się upychają, gniotą, miażdżą... Kupa mięsa z przedmiejskich blokowisk, zbłąkana i zrezygnowana tak jak ty, czytająca te same głupoty w tych samych darmowych gazetkach co ty i dokładnie w tym samym czasie co ty... Powaga, to mnie najbardziej deprymuje, wiesz... – powiedział mi, wdychając, kiedy siedzieliśmy razem na całodniowym szkoleniu z nowej aplikacji sprzedażowej. – Taaa... szkoda tylko, że wciąż kocham swoją dziewczynę.

Uśmiechnęliśmy się do siebie porozumiewawczo, a potem przyszła jakaś kolejna trenerka i musieliśmy się przymknąć.

(Jak wypadniemy przed nią źle, to powie o tym naszemu szefowi i stracimy premię za Business, Care & Involvement).

(Lizusy z nas).

No i tyle. Wszystko zamknięte.

Następnie gasną światła w showroomie, a ja wychodzę przez rampę, po czym sunę kilometrowymi korytarzami oświetlonymi tylko światełkami awaryjnymi.

Muszę szybko zasuwać z uwagi na alarm.

W szatni szukam swojej szafki, wklepuję kod (jeszcze jeden, chyba z dziesiąty tego dnia) i przebieram kamizelkę z napisem: „Yann, czym mogę służyć?” na starą zatęchłą bosmankę, po której wystarczająco dobrze widać, że biedny mały Yann w niczym już nikomu nie usłuży. Znów biegnę z powodu k o l e j n e g o alarmu i wychodzę na ślepą uliczkę na tyłach bulwaru Haussmanna, gdzie mijam dwa szeregi śmietników i ochroniarza, który właśnie robi obchód z psem.

Kiedy dyżur ma akurat grubas z dobermanem, wypalamy po fajce, gadając o pogodzie, tuningu i Paris Saint-Germain (w sumie to on nawija, a ja podejmuję temat). A gdy trafiam na drugiego, tego z rottweilerem, czekam z dojściem na koniec uliczki, żeby się rozluźnić.

Nie boję się jego narzędzia pracy. To wzrok tego faceta mnie przeraża.

Człowiek zawsze się zastanawia, kto właściwie czyta magazyn „Detektyw”. No więc on na przykład, on...

Facet, którego jara wielki nagłówek typu „Trzyletnia Lili pobita na śmierć, zgwałcona, torturowana i spalona żywcem”. Tak mówi – jara go to na całego.

Dziś wieczór dyżuruje ten miły i to ja pierwszy wyciągnąłem paczkę. Facet się martwi, bo szczeniak jego suki, nie tej tutaj, tylko innej, z którą robi tylko na parkingach (?), ma niezastąpione jaja.

O mało co nie uznałem, że to wspaniale, ale jakimś fuksem powstrzymałem się na czas.

Nie było w tym nic śmiesznego. To wręcz dramat. Bez jaj nie ma certyfikatu rasy, a bez certyfikatu nie

ma siana.

– No ale chyba w końcu mu zstąpią, nie?

Nie wyglądał na przekonanego:

– Hmm... Być może... Może tak, może nie. Inszallah, jak Bóg da...

Biedny Allah, myślałem sobie, oddalając się. Mam nadzieję, że ma jakiegoś gościa, który prowadzi mu biuro próśb i załatwia za niego pierwszą selekcję, zanim puści to wszystko do realizacji.

dwa, robał

Laska eskulapa amerykańskiej apteki informuje mnie, że jest już 22.10, a temperatura na dworze wynosi minus pięć stopni Celsjusza.

Nikt na mnie nie czeka, Mélanie znów zawinęła się na jedno ze swoich seminariów i jest za późno, żeby pójść do kina.

Idę do najbliższej stacji metra, a potem zmieniam zdanie. Nie mogę dać się znów zamknąć w budzie, bo zdechnę.

Muszę się przejść. Wrócić na piechotę i przemierzyć Paryż, poklepując w dłonie i zdejmując raz na jakiś czas kominiarkę, żeby zdusić robala. Tego mi trzeba. Żebym to z siebie wycharkał, żebym zmarł, zgłodniał i skorzystał z tego, że w końcu jestem sam, a na koniec padł martwy do łóżka.

Od miesięcy źle sypiam. Nie lubię swojej budy, nie lubię swojego planu, nie lubię nauczycieli, zapachu szatni, stołówki i durniów, którzy mnie otaczają. W wieku dwudziestu sześciu lat męczy mnie taka sama bezsenność jak wtedy, gdy byłem dwunastolatkiem. Tyle że w wieku dwudziestu sześciu lat jest to tysiąc razy gorsze, bo ja sam wpuściłem się w ten kanał. Ja s a m. Nie mogę mieć pretensji do rodziców i nie mam już nawet wakacji...

Za jakie grzechy?

No?

Za jakie grzechy, pytasz?

Racja! Cóżes znów nawyprawiał, patałachu ty mój?!

Przeklinam się z góry na dół, wzdłuż i wszerz, bo ciepły obłoczek, który wypuszczam ze złości, ogrzewa mi czubek nosa.

Kloszardzi kończą się bunkrować, niektórzy właśnie chleją, żeby jakoś przetrzymać, ci nie przeżyją do jutra, a Sekwana jest całkiem czarna, powolna i posępna. Wirując między filarami Pont Neuf, wytwarza bez najmniejszego hałasu ciąg powietrza. Poluje. Namierza poważne zmartwienia, zwolnionych z pracy, rozrachunki chłopaczków pozbawionych talentu i pytania stawiane nocą. Wyczekuje na brak równowagi i śliskie murki. „Chodźcie – mruczy – chodźcie... To tylko ja... Zapraszam... Znamy się od tak dawna...”

Wyobrażam sobie jej zimny dotyk; ubrania, które najpierw pęcznieją, żeby po chwili pociągnąć na dno. Szok, krzyk, jaki się z człowieka wydobywa, osłupienie... Wszyscy to sobie wyobrażamy, prawda?

Prawda. Oczywiście, że tak. Każdy, kto ma w swoim najbliższym otoczeniu rzekę, przeżywa ten rodzaj zamętu.

To pocieszające.

Przerywnik:

Wiadomość od Mélanie: „Padam na p, bd sie klasc, pogoda do d buziak”. Z małym dowodem na buziaka na końcu (żółte, mrugające coś z wielkimi ustami). (Nazywają to emotikonem).

Emotikon. Nazwa jest równie prostacka jak samo zjawisko. Nienawidzę tego objawu lenistwa. Zamiast wyrazić uczucie, wysyła się jego postać. Wystarczy nacisnąć klawisz i wszystkie uśmiechy świata stają się identyczne. Radości, wątpliwości, smutek, złość – wszystko ma tę samą gębę. Wszystkie porywy serca zostają sprowadzone do pięciu owalnych brzydactw.

Kurwa, co za postęp...

„Dobrej nocy – odpowiadam. – Całuję”.

Niewiele lepiej, co nie?

No nie. Niewiele. Chociaż to jednak pocałunek w trzech sylabach... Poza tym ogonek w „ę” na końcu jest uroczy.

Niewiele zostało już w dzisiejszych czasach chłopaków, którzy zadają sobie trud, żeby używać wszystkich znaków alfabetu. Czy to ci sami, którzy wyobrażają sobie utonięcie?

Mam poważne obawy, że tak.

Mój Boże, niezbyt wesoły jestem dziś wieczorem.

Przepraszam.

To coś męczy mnie już od pewnego czasu. Zrezygnowanie, liryczno-niezdolne odloty, potrzeba mierzenia się z innymi, ze wszystkimi innymi, żeby zagadać prawdziwy problem. Mélanie utrzymuje, że to kwestia pogody (końcówka zimy, brak światła, depresja sezonowa) i marazm zawodowy (żadnych nowości w temacie obietnic, które mi składano, brak ambicji, rozczarowania). Dobra. Może i tak.

Mélanie ma szczęście, należy do kategorii istot ludzkich, które zawsze mają na wszystko odpowiedź: roztocza, prawa wyborcze dla imigrantów, zamknięcie drogerii przy rue Daguerre, kurczajki jej ojca i moja melancholia. W pewnym sensie jej zazdroszczę. Chciałbym być tak ogarnięty.

Chciałbym, żeby w mojej głowie wszystko było równie proste, równie łatwe, równie...
m a t e r i a l i z o w a l n e.

Nie mieć wątpliwości. Zawsze znajdować podejrzanych, zawodzących, winnych. Rzucić się na głęboką wodę, kuć żelazo póki gorące, podsumowywać, osądzać, skreślać, poświęcać i mieć pewność, że moje humory przegiętego egzystencjalisty osłabną na początku wiosny, żeby zniknąć całkowicie razem z dodatkowymi dwustoma euro na moim odcinku wypłaty...

Niestety, ja nie wierzę w to ani trochę.

W czerwcu będę miał dwadzieścia siedem lat i nie potrafię sprecyzować, czy jestem jeszcze młody, czy już stary. Nie potrafię znaleźć swojego miejsca wśród tych dekoracji. Cała ta sprawa jest bardzo niewyraźna. Z daleka powiedziałoby się: młódzież, z bliska – stary palant. Stary palant przebrany za licealistę: ta sama fałszywa dobroduszość, te same conversy, te same dzinsy, ta sama fryzura i te same powieści Chucka Palahniuka, w tym samym ścioranym plecaku.

Schizol. Outsider. Młody człowiek na początku XXI wieku. Urodzony w bogatym kraju i wychowany przez kochających rodziców. Mały chłopiec, który miał wszystkiego pod dostatkiem: buziaków, pieszczot, przyjęć urodzinowych, padów do gry, gościnnych mediatek, monet od Wróżki Zębuszki, kolejnych tomów *Harry’ego Pottera*, kart z Pokemonami, Yu-Gi-Oh i Magic, chomików, zapasowych chomików, nieograniczony limit na komórce, wycieczki do Anglii, modne bluzy i całą resztę, ale nie tylko.

Nie tylko...

Mały chłopiec, urodzony pod koniec XX wieku, któremu powtarza się, od kiedy tylko osiągnął wiek wyrzucania papierków po cukierkach do kosza, że natura cierpi przez niego, że lasy znikają w oleju palmowym zużywanym na pieczenie jego łakoci, że lodowiec topnieje, kiedy mamusia odpala silnik ich samochodu, że niedługo wszystkie dzikie zwierzęta wydychają i że jeśli nie będzie zakręcał kranu za każdym razem, kiedy myje zęby, no cóż, wszystko to zniknie po części z jego powodu.

Potem dociekliwy i niekonfliktowy uczeń, któremu podręczniki do historii ostatecznie obrzydziły to, że urodził się białym i chciwym tchórzem, donosicielem i kolonizatorem, podczas gdy te od geografii

nieustająco – rok po roku – wałkowały alarmujące liczby globalnego przeludnienia, industrializacji, pustynnienia, braku powietrza, wody, paliw kopalnianych i terenów uprawnych. Nie mówiąc już o podręcznikach do francuskiego, które koniec końców zawsze obrzydzą człowieka czytanie przez zohydzenie wszystkiego przymusowymi zadaniami w stylu: „Wypisz i uporządkuj pole leksykalne zmysłowości w poniższym wierszu Baudelaire’a” – bum, finito, wszystkim mięką rury – a także podręcznikach do języków obcych, które przypominają rok w rok, *how much you were bhille vyelgchahnym Scheise*, i wreszcie podręcznikach do filozofii, które roszczą sobie pretensje do bycia wielką kondensacją wszystkich poprzednio wymienionych, tylko w o wiele bardziej nieprzejdany sposób:

„Ej, ty, pocieszny mały białasie z miękką fają, który bawisz wszystkich swoim skisłym akcentem, znajdź i uporządkuj pole leksykalne porażki twojej cywilizacji, z łaski swojej. Masz cztery godziny”.

(Hejże ho, hejże ha, twój brudnopis... do kosza i na makulaturę).

A kiedy już wreszcie przyswoisz, przetrawisz, pojmiesz, powtórzysz w kopiach na egzaminie i potwierdzisz w statystykach wyników z matury cały niemożliwie traumatyczny bagaż, chodź no tu, dorzucę ci na plecy kilka lat studiów, żebyś za szybko nie utknął we wrotach do przeszłości.

A ty, patałachu, rób wszystko, co trzeba: powtórki, egzaminy, dyplomy, staże.

Staż bezpłatne, staże niepłatne, staże nieuwzględniające wynagrodzenia, staże honorowe i staże ku chwale. CV-ki. CV-ki z dobrym zdjęciem. CV-ki w wersji papierowej, w wersji elektronicznej, w wersji rzeźbionej, w wersji tysiąc pięćset, w wersji sto dziewięćset, w wersji byle jakiej. Listy motywacyjne. Maile motywacyjne. Motywacyjne wideo. Motywacyjne... Cała ta debilna, cwaniacka bajera, której nie potrafisz już nawet bardziej podkreślić, brakuje ci wiary, rozwala cię to, że musisz tak ciężko i tak wcześnie walczyć o prawo do płacenia składek jak inni.

Ale się nie poddajesz. Uparcie walczysz: portale z ofertami pracy, portale pracy, targi pracy, łowcy głów, ogłoszenia drobne, job alerty, platformy rekrutujące, hasła do konta „szukam pracy”, rejestracja na newslettery, fałszywe nadzieje, z góry przegrane rozmowy kwalifikacyjne, o które nikt nie założyłby się na Fejsie nawet w snach, szwagier twojego chrzestnego, który szepnie słówko swoim przyjaciołom na spotkaniu Lionsów, znany kiedyś z widzenia kolega, wiesz, w zasadzie wciąż mam cię troszkę głęboko, ale czy twój ojciec nie miał czasem jakiejś fabryki? Agencje pracy tymczasowej, masz dobre plecy, jednak nie, masz gówniane plecy, strony z ogłoszeniami, które robią się coraz bardziej płatne, i asystentki ds. HR, robiące się coraz mniej łaskawe, i... Tak, zawsze byłeś poważny, nigdy w życiu nie rzuciłeś ani jednego papierka na ziemię, nigdy nie kładłeś nóg na siedzenie naprzeciwko, nawet późno w nocy, nawet na bani, nawet kiedy byłeś sam w przedziale, i dorobiłeś się dyplomu, nikomu nie wadząc, tyle że... widzisz, masz pecha. Nie ma dla ciebie pracy.

Cóż, no nie, nie ma. Na pewno nikt ci nic nie mówił, jesteś pewien? To dziwne... Powinieneś pogadać jeszcze z koleżanką po lewej...

Halo, chłopaku! Pobudka! Mamy kryzys!

No i co? Posłuchaj dziennika w radiu, zamiast uczyć się zawodu, stracisz mniej czasu!

Że co? Nie kumasz? Poczekaj, nie ruszaj się nigdzie, koteczku, streścimy ci tu zaraz sytuację:

Jesteś młodym, uprzejmym Europejczykiem?

No cóż, to kij ci w oko, przyjacielu!

Na wszystkich częstotliwościach utwierdzają cię w przekonaniu, że dług twojego państwa sięga stu tysięcy miliardów miliardów dolarów, że twoja waluta niedługo nie będzie nic warta, że jeżeli nie

mówisz po chińsku, to szkoda w ogóle próbować, że Katar niedługo nas wszystkich wykupi, że Europa się skończyła, że Zachód ma przegwizdane, że nasza planeta jest stracona.

Proszę bardzo. Tak to wygląda.

Panem et circenses. Otóż to. Do tego doszło.

Uwierz mi, mały, jedyne, co ci pozostało, to oglądać piłkę w oczekiwaniu na apokalipsę...

No już. Pozamiatane, sam słyszałeś. Fly Emirates i się zamknij.

I przestańże wreszcie się tak miotać. Bądź tak dobry i skończ z tym klikaniem, dzwonieniem, bieganiem wszędzie z podaniami. To źle wpływa na dziurę ozonową.

*

Nie czuję już nóg. Na górze Boulevard Saint-Michel, zaraz za szklarniami Ogrodów Luksemburskich, gliniarze z suszarką właśnie czyhają na rozkojarzonych i zmęczonych kierowców.

Przechodzę obok nich ze spuszczoną głową i z nosem zakopanym w szalik. Słyszę, jak proszą o dokumenty młodą kobietę w niebieskiej puchówce. Nie wiem, czy to wynik chłodu, czy stanu punktów karnych, ale zatrzymana jest osłupiała. Nerwowo szuka dokumentów w torebce, wypada jej pęk kluczy. Na tylnym siedzeniu, w foteliku śpi niemowlę. Nie mogła jechać znów tak szybko, to stare MINI. Dawny model. Ten zaprojektowany przez Sir Aleca Issigonisa. Istne cudo.

Słyszę, jak babka mówi:

– Ale zaraz, nie... Przecież ogrzewanie...

– Bardzo proszę – odpowiada jej aspirant – niech pani natychmiast zgasi silnik. To nie potrwa długo.

Zdezorientowany idę dalej w swoją stronę.

Co to ma być za kraj?

Czy w tym demokratycznym pierdlu siły porządkowe nie mają nic lepszego do roboty, tylko nieustająco zastawiać pułapki na swoich co mniej wygadanych współobywateli? Co to ma właściwie znaczyć?

Czy w kasie naprawdę jest aż tak pusto?

Co za kolesie zajmują się tą robotą? Kto bierze kasę za trucie dupy kobiecie w pewien lutowy wtorek o północy pod pretekstem, że pewnie nie działa jej jedno światło albo odstaje tablica rejestracyjna? No? Co to ma być? A kiedy nalegają, żeby zgasiła silnik przy sześciostopniowym mrozie, podczas gdy w środku drzemie sobie dzieciaczek, to co mają wtedy w głowach?

To na tym polegają korzyści z pracy w budżetówce?

A ty to w sumie co? Co z tobą? Mały urażony gówniarzu, nieustająco zapodajesz nam tu wielkie moralizatorskie przemowy, a nie jesteś w stanie nawet stanąć w obronie uroczej mamusi. Dziewczyny, która w dodatku jeździ samochodem MINI 100. No, powiedzże coś: co to za leszcz?

Tobie też nie zstąpiły jaja?

A nie, pewnie ci je zmroziło...

Przerywnik:

Issigonis, zanim zaprojektował model MINI, miał już na koncie Morrisa Minora i Austina 1100.

Nieźle...

Kiedy William Morris, big boss, zobaczył Minora po raz pierwszy, był przerażony. *Holy God – he said – a poached egg.* Jajko w koszulce.

Minor osiągnął znaczący sukces.

A przecież Issi był przekonany, że nigdy nie zdobędzie swojego *f***ing* dyplomu z inżynierii mechanicznej, którego obronę oblewał trzy razy pod rząd z powodu matematyki. Uratował go rysunek. W temacie rysunku był księciem. Zasady, postulaty, prawa fizyki i matematyki go zamulały, nawet gorzej, uważał je za *the enemy of every truly creative man*, wielkiego wroga każdego naprawdę twórczego człowieka. Równie totalnie olewał całą politykę sprzedażową, prognozy, biznesplany, badania rynku i wszystko to, co będzie się później składać na współczesny marketing. Miał trudny charakter.

Utrzymywał, że pierwszą zasadą przy projektowaniu nowego samochodu jest odcięcie się od konkurencji. Był niezależny, wolny i uparty i nie darzył specjalną sympatią rzeczy wynikających z burzliwych seansów brainstormingu w biurach projektowych. To jemu zawdzięczamy to genialne zdanie: *A camel is a horse designed by a committee*, wielbłąd to koń zaprojektowany zespołowo.

Wiem to wszystko, bo kiedyś w ramach zajęć (w szkole wyższej, która skradła mi serce, a moim rodzicom skromne oszczędności) (i która w momencie, w którym do was mówię, absolutnie do niczego mi nie służy) zwiedziłem londyńskie Design Museum.

Wow, such a nice souvenir...

Dobra... Już prawie jestem... Jest tak zimno, że lew z Place Denfert-Rochereau wydaje się kulić na cokole. Wielki zniesmaczony kocur.

Zdecydowałem się na ten kierunek, bo sam też dobrze rysowałem i nie ujmując niczego Sir Alecowi, byłem dobry z matematyki. Chociaż... no nie przesadzajmy... mimo wszystko nie aż tak, żeby pchać się na elitarne uczelnie. Poza tym byłem ciekaw. Ciekawiły mnie sztuka, historia, historia sztuki, sztuki dekoracyjne, technologia, świat przemysłu, techniki przemysłowe, ergonomia, morfologia rzeczy, ludzi, mebli, mody, tekstyliów, typografii, grafiki użytkowej i... wszystko tak naprawdę. Wszystko, cały czas i ze wszystkich epok. Jedyne szkopułem w tym, że brakuje mi talentu. Nie, nie, to prawda. Tego też się dowiedziałem. Brakuje mi talentu i absolutnie nie zostałem stworzony do poczucia pychy lub geniuszu, potrzebnych do stworzenia *c z e g o ś i n n e g o*. Przynajmniej do tego posłużyła mi szkoła: żeby poznać sam siebie i ocenił dystans, jaki dzieli mnie od takiego na przykład Gio Pontiego albo Jonathana Ive'a.

(Wiem, wiem, to takie niemodne zachwycać się projektantem Apple'a, ale jeżeli mam być uznany za niemodnego przez przyznawanie się pobożnie i skromnie do całego szacunku, jaki we mnie wzbudza, to proszę bardzo).

Powinienem zamiast tego zrobić dyplom archiwisty i złożyć papiery do biblioteki w którejś z paryskich politechnik albo na wydziale projektowania przemysłowego, byłbym bardzo zadowolony. Jedyne talenty, jakie posiadam, to rozpoznawanie talentu innych.

To zresztą słabość, którą zdiagnozowano mi kiedyś przy okazji jednej z niezliczonych rozmów o pracę:

– W gruncie rzeczy, młody człowieku, jest pan dyletantem.

Cholera.

Czy to poważne?

Oczywiście powinienem był się zdecydować na mniej bezlitosny kierunek (bo umówmy się: w świecie dizajnu albo jesteś wizjonerem, albo jesteś kompletnie bezużyteczny) (straciłbym w bitwie wszystkie swoje złudzenia, ale nie ideały), mniej bezlitosny, powiedziałbym, i lepiej dopasowany do mojego dyletanctwa, niestety, tutaj nastąpiła prawdziwa wtopa: bałem się, że jeżeli wtedy będę podążał za naturalnymi skłonnościami, to nie znajdę roboty.

Ha! Ha! Ha ! Nasz mały Yann... Jakżesz on sobie genialnie ułożył swój lajf.

Z daleka, zdawałoby się, wielbłąd.

Początek rue Boulard. Zgrzałem się. Tym lepiej, bo smarki zaczynały mi już zamarzać w stalaktyty...

Na czym właściwie skończyłem? Ach tak... Mój los.

No więc, jak na razie i w dużym skrócie, zrobiłem dyplom szkoły dizajnu i pracuję jako... uch... jak by to ująć... demonstrator, tak, właśnie tak, demonstrator małych koreańskich robotów przeznaczonych do użytku domowego, ludycznego i porządkowego dla przedstawicieli ludycznej, domowej i porządkowej klasy średniej.

Mały odkurzacz jamnik, który sam wraca do swojej bazy, kiedy już zliże cały kurz, świecące membrany do głośników, które zmieniają rodzaj światła zależnie od puszczonej muzyki, słuchawka prysznicowa, która robi też za cyfrowe, intergalaktyczne radio, i inteligentna lodówka, która za każdym razem, kiedy rozpozna dźwięk twojego głosu, przypomni ci, co ma w bandziochu: stan zapasów, daty ważności, liczbę kalorii produktów, które przechowuje, możliwe połączenia tych produktów, artystyczne przepisy na potrawy z resztek itepe, itede.

No, cudenka, nieprawdaż?

Gio Ponti padłby z wrażenia.

Dostałem umowę na czas nieokreślony (tak, stały etat, Jedyne Pierścienie, Czarny Lotos, Graal, Święty Graal) (*Hanenim Kamsahamnida*) („dzięki ci, Boże” po koreańsku) w rodzaju hi-tech budy, która oferuje swoje niewyobrażalne cudenka oszołomionej starej Europie.

Krótko mówiąc, jestem przedstawicielem handlowym w Dartyyongg.

Ale, uwaga, tylko tymczasowo, co nie?

No tak, dokładnie tak...

Dobra... Kładź się już spać, maleńki...

Nie tylko nie zdusiłem robala, ale można by wręcz powiedzieć, że go podrażniłem.

Co za dureń.

Po wstukaniu ostatniego kodu tego dnia wsuwam kawałek tektury w szparę drzwi od bramy, żeby się nie zatrzasnęły, po czym tak samo robię z drzwiami na klatkę schodową.

Gdyby tylko – wzdycham – gdyby tylko ostatni kloszard w dzielnicy, którego jeszcze nie złomotało o tej godzinie, miał na tyle dobrego smaku i wyczucia, żeby przyjść i ogrzać się dzięki mojej małej sztuczce, przyznaję, dobrze by mi to zrobiło na morale.

Pokonuję dwa piętra szybkim krokiem, żeby nie zostawić ani palca u nóg na schodach, obieram banana, po czym maczam go w reszcie wódki, opróżniam cały bojler i wreszcie umieram.

trzy, markizy

Dziś kończę wcześniej niż zwykle, ale wciąż jestem sam. Mélanie wraca dopiero w czwartek.

Przed chwilą rozmawiałem z nią przez telefon: hotel jest gorszy, niż przewidywała, spa nieczynne, a jej team beznadziejny.

Cóż...

Mélanie pracuje jako przedstawicielka medyczna i jej firma farmaceutyczna organizuje regularnie seminaria remotywuujące, żeby im pomóc, kiedy zbiorą się już wszyscy razem, w poradzeniu sobie z wielką traumą leków generycznych.

– Zajmiesz się zakupami, tak?

Jasne. Jasne, że się zajmę zakupami...

Od dwóch lat się nimi zajmuję, nie zamierzam wywracać naszego wspólnego życia do góry nogami tego wieczoru...

– I nie zapomnij wziąć karty lojalnościowej. Ostatnim razem, według moich obliczeń, straciliśmy przez ciebie co najmniej z sześćdziesiąt punktów.

Mélanie jest świadomą konsumentką.

Sześćdziesiąt punktów, poważna sprawa.

– Nie, nie. Nie zapomnę. Dobra, będę kończył, mam tu jednego hau-hau do wyprowadzenia...

– Że co?

– Mój mały odkurzacz.

– Ach...

Zastanawiam się, co tak naprawdę myśli, kiedy mówi to swoje: „Ach...”. Jest przygnębiona? Opowiada o mnie swoim znajomym? Mówi im: „A mój facet to sprzedaje hau-hau we wszystkich kolorach”?

Wątpię. Myślała, że spotkała nowego Philippe’a Starcka, a ląduje z kasjerem z mediamarkt, kiepska sprawa. W dodatku, jak podejrzewam, Mélanie myśli, że spędzam całe dni na bawieniu się gadżetami. Gdyby wiedziała... Łatwiej jest opchnąć antykoagulant niż lodówkę, która truje ci dupsko za każdym razem, kiedy zaglądasz do kuchni... No nic. Mniejsza z tym. Kończę wcześniej, ale nie będę zbaczał do marketu, bo chodzę na retrospektywę Sidneya Lumeta w kinie Grand Actions, a *Stracone lata* lecą tylko dziś wieczór o dziewiątej.

Dzięki ci, życie.

Widziałem ten film z moim kuzynem (prawdopodobnie w tym samym miejscu), kiedy miałem piętnaście lat, prawie tyle co River Phoenix w roli Danny’ego Pope’a. Byłem tak poruszony, że wychodząc z kina, wszedłem pod przejeżdżający autobus. Powaga. Pogruchotało mi cztery z dziesięciu palców u stóp.

Tak więc perspektywa obejrzenia ponownie tego dzieła przyprawia mnie o szybsze bicie serca, ja też bowiem (i jest to sekret, o którym Mélanie nic nie wie), na swój sposób, gromadzę punkty lojalnościowe.

Postanawiam zejść do domu, żeby się przebrać i coś zjeść, zanim wyruszę na poszukiwanie jakiegoś wolnego roweru miejskiego.

(Rower dobrze robi, kiedy wychodzi się z wielkiego filmu: przednia lampka działa wtedy jak projektor i najpiękniejsze sceny wyświetlają się człowiekowi w nocy).

Kiedy docieram na swoje piętro z niedojedzoną bagietką w jednej ręce i nieistotną pocztą w drugiej, staję nagle twarzą w twarz z jakimś meblem. Coś w rodzaju szafy pokrytej niebieskim laminatem. Ponieważ stoi po skosie, blokuje mi przejście, a nie jestem kaleką, kładę więc na niej szpargały, żeby przesunąć ją tak z metr. Kiedy się do tego zabieram, dociera do mnie piskliwy głosik:

– Mamusiu! Mamusiu! Jakiś pan się zablokował!

Potem normalny głos:

– Słyszysz, Isaac? Słyszysz, co mówi twoja córka? No przecież zróbże coś!

I wreszcie donośny głos Taty Niedźwiedzia:

– ACH! SZELMY! ACH! ŁAJDACZKI! CHCECIE MOJEJ ŚMIERCI, O TO CHODZI? CHCECIE, ŻEBYM POLEGL POD CIĘŻAREM TEGO STRASZYDŁA, ŻEBY DOBRAĆ SIĘ DO SPADKU? NIGDY! NIGDY, SŁYSZYCIE MNIE? NIGDY NIE ZOSTAWIĘ WAM KURIOZÓW DZIADUNIA!

(Potem spokojniejszym głosem, przeznaczonym dla mnie). Przepraszam, sąsiedzie, przepraszam... Poradzi pan sobie?

Unoszę głowę i dostrzegam nad łukowatą poręczą na czwartym piętrze rumianą twarz okoloną krzaczastą brodą i – między barierkami – dwie małe Złotowłose przyglądające mi się poważnie.

– Nie ma sprawy – odpowiadam.

Macha do mnie, a ja odchodzę, przekręcając klucz najdelikatniej, jak to możliwe, żeby móc dosłyszeć koniec tej sceny.

– No już, no już, myszki... Bo się zaziębicie.

Tymczasem Mama Miś oczekuje czego innego:

– A co z Hansem?

– Hans to palant. Poróżniliśmy się na pierwszym i wystawił mnie z twoim gównem na drugim. Proszę bardzo, skoro musisz wszystko wiedzieć, proszę bardzo! HANS-TO-PA-LANT. (Dokładnie dzieląc na sylaby i wystarczająco głośno, żeby słyszała go cała kamienica). No już, dziewczynki, a teraz zmykajcie albo zamknę was w tym cholerstwie, za które wasza matka zapłaciła pewnemu bandycie dwieście euro. Vintage, vintage, już ja ci pokażę ten vintage... No szybciej, głuptaski! Wasz pan jest głodny!

– No to teraz, przyjacielu, wyjaśnijmy sobie coś: dopóki mój śliczny kredensik będzie stał na schodach, nie masz co liczyć na kolację.

– DOSKONALE, MOJA PANI! DOSKONALE! SKORO TAK, TO SCHRUPIĘ PANI DZIECI!

Mężczyzna drze się jak ogr, a seria dziecięcych przenikliwych pisków roznosi się po całej klatce schodowej.

Odwracam się oczarowany: iskierka zimnego ognia...

Ich drzwi trzaskają i, wyobraźcie sobie, nie mam już w ogóle ochoty wracać do siebie.

Pójdę na kebab.

*

Schodzę z powrotem zamyślony.

Ją minąłem dwa czy trzy razy rano, kiedy odprowadzała dziewczynki do przedszkola. Zawsze rozczochrana, zawsze w biegu i zawsze uprzejma. Mélanie marudzi, bo nasza sąsiadka stawia wózek na klatce byle jak. Wózek pełen zabawek, wiaderka, piasku i okruchów. Kiedy na dole przy schodach stoją zgrzewki wody albo mleka, zanoszę je po drodze i odstawiam na pierwszych schodkach powyżej naszego piętra, dzięki temu trochę ponad połowę drogi pokonują całkiem same.

Mélanie wznosi oczy do nieba: nie dość, że demonstrator, to jeszcze tragarz, co za kumulacja.

Pewnego dnia, kiedy mama, ta z czwartego, dziękowała mi w locie i bardzo żywiołowo za tę skromną pomoc, uspokoilem ją wyjaśnieniem, że zdarzało mi się podbierać jej za fatygę jedną czy dwie markizy zapomniane na dole wózka. Usłyszałem z daleka jej śmiech, a następnego dnia znalazłem na wycieracze całą paczkę.

Nie powiedziałem o tym Mélanie.

Tatę Niedźwiedzia z kolei nie kojarzyłem wcześniej z twarzy, ale wydaje mi się, że słyszałem czasem jego kroki późno wieczorem.

Wiem, że prenumeruje „La Gazette Drouot”^[6], bo czasopisma wystają z ich skrzynki na listy, i że jeździ mercedesem kombi, bo te same gazety walają się po desce rozdzielczej.

Pewnego ranka widziałem go, jak wyjmuje z za wycieraczki mandat, po czym używa go do zebrania psiej kupy i wyrzuca wszystko razem do rynsztoka.

To wszystko, co o nich wiem. Ale nie mieszkamy tu długo...

Kurioza Dziadunia... Uśmiechnąłem się zadowolony.

Smakowita był ta ich scenka. W rzeczywistości zwracali się do siebie wyniośle jak czołowi komicy bulwarowych teatrów. Czy raczej operetki. Tak, operetki. On bardziej pohukiwał, niż wrzeszczał: „Łajdaczki! Vintage! Vintage!”. (Brzmiało jak wintaż). „Doskonale, moja pani!”. Jego kwestie z libretta wciąż pobrzmiwały mi w uszach.

Uśmiechałem się, trzymając się poręczy.

Uśmiechałem się w ciemności, bo tak zdecydował wyłącznik czasowy, i było mi z tym dobrze; odtwarzałem sobie w kółko w tej ciemności prezent, który spadł mi z nieba: odrobinę paryskiego życia w stylu Offenbacha.

Nie wystawiłem jeszcze nawet rzęsy na zewnątrz, kiedy mroźny podmuch przywrócił mnie do pionu. Boże, mam refleks szachisty. Obróciłem się na pięcie i wbiegłem z powrotem na górę.

cztery, markiza

– Przeszkadza panu, tak?

Nie podśpiewywał już. Był prawie tak szeroki jak rama drzwi, miał na sobie kamizelkę w romby, pasiastą koszulę, muszkę w grochy – wszystkie kolory tęczy dzieliły tu między siebie kawałek lnu, bawełny i jedwabiu. Nie wiem, czy to z powodu niskiego wzrostu, wzorzystej kamizelki, czy brody, ale przypominał mi jowialnego Garetha z filmu *Cztery wesela i pogrzeb*. Córeczki sąsiada już przybiegły i zwracały ku mnie te same zalęknione twarze co przed chwilą. Ale to była zgrywa. Można było wyczuć, że dziewczynki mają wycucie dramatyizmu i że ich powierzchowna powaga stanowiła część spektaklu: chciały to ciągnąć dalej.

– Nie, nie, w ogóle! Ale pomyślałem sobie, że mógłbym panu pomóc wnieść szafę aż do pa...

Nie pozostawił mi czasu na dokończenie, odwrócił się i zaryczał:

– Alice! Wreszcie poznałem pani kochanka! Okazuje się, że to bardzo ładny chłopiec... Jestem z pani dumny, moja miłości!

– Ale... właściwie... którego masz na myśli? – zaświergotała Niewierna.

I zjawiła się Alice.

I objawiła się Alice.

Nie wiem, które z tych dwóch wyrażen lepiej odda efekt, który chcę przekazać. Sąsiadka z góry, mama z wózkiem, siewczynie okruchów i zgrzewek mleka zbliżyła się. Rozpoznała mnie i uśmiechnęła się. Gdyby w tym samym momencie, w którym uśmiechnęła się do mnie w ten sposób, patrząc mi prosto w oczy, nie oparła się łokciem na ramieniu swojego męża (była od niego dużo wyższa) i nie zawiesiła niedbale ręki wokół szyi tego mężczyzny, z miejsca bym się w niej zakochał. Tu i teraz, natychmiast i na całe życie. Niestety, istniał ten detal, to „niedbalstwo”, które torpedowało naszą szansę na wielkie szczęście. Bo to właśnie ten element czynił ją tak piękną i tak seksowną. Chodziło o ten spokój, zaufanie, instynkt, które sprawiły, że do niego przylgnęła, nawet tu, nawet na progu ich drzwi, nawet ze ścierką na ręce i bez powodu. Żeby zobaczyć, co się dzieje... A ponieważ uwielbiała swojego małego pana kabotyna (to się czuło), który też ją uwielbiał (to było widać) i z pewnością dawał jej dużo miłości, mogła sobie pozwolić na wdzięczanie się do mnie za pomocą tak nachalnej prostoduszności.

Hop, hop, hop, mamuśko... Ależ to było gorące.

Wtedy oczywiście byłem zbyt zmieszany, żeby analizować wszystko to, co akurat przyswajałem, więc zadowolilem się wybąkaniem znowu propozycji pomocy.

– Och, dziękuję! To miło! – ucieszyła się ona i od razu zabrała się do zdejmowania marynarki ze swojego męża, jakby to była atlasowa peleryna.

Nie zaniebdywała przy tym koniecznego ceremoniału, tylko popychała go nieznacznie w tyłek.

Bardzo w stylu Mary Poppins i Rocky’ego Balboa.

On przeklął, odpiął od mankietów spinki, które powierzył jednej z córek, oddał swoją muszkę drugiej córce, następnie podwinął rękawy koszuli (która była uszyta z bardzo cienkiej bawełny i sprawiała, że aż chciało się ją pomacać) i odwrócił się do mnie.

Był całkiem okrągły, jak mały korek albo jak miś Misza, i podczas gdy on schodził po schodach, trzymając dziewczynki za ręce, ja przeprowadzałem w głowie małe ćwiczenie praktyczne z fizyki, żeby ustalić, czy lepiej, żeby stanął przed meblem, czy za nim.

Przed.

Szafa nie była znów aż tak ciężka, ale oczywiście on udawał, że waży co najmniej z tonę, i jego groupies były w siódmym niebie.

Po każdym schodku wydawał z siebie niesamowite przekleństwo: „Na święte cyce z mej dupy! Podły losie! Na tysiąc milionów kwiecistych fiutów! Niech to tchórzliwa lafirynda! Bidet markizy de Maintenon! Kadzielnica do okadzania rogaczy! Niebiański pierdolnik! Kurewstwo Belzebuba z laminatem z mych jajec!”. Pomijam już te bardziej zwydziwiane...

Po każdym bluzgu dziewczynki łąjały go jeszcze bardziej, wznosząc ręce do nieba:

– TATO!

Ja natomiast wyprowadziłem sztandar i rozsmakowywałem się w sytuacji, biorąc całą robotę na siebie.

Co pozostanie im na później po takim dzieciństwie? – zastanawiałem się. Życie pełne nudy czy pociąg do ceremonii? Permanentny rozstrój żołądka czy diabelski tupet?

Bóg mi świadkiem, że kochałem swoich rodziców, tych statecznych, spokojnych i dyskretnych ludzi, ale jakżebym docenił, gdyby zdradzili mi jeszcze ten jeden sekret poza poświęcaniem mi swojej miłości... Ten, że szczęście czeka za progiem i że nie należy się bać. Bać się, że nahałasujesz, bać się bycia szczęśliwym, bać się, że będzie się przeszkadzać sąsiadom i bać się przeklinania ile sił w płucach.

Bać się życia, przyszłości, kryzysu i wszystkich tych puszek Pandory *made in China*, których wieczka nieustająco uchyla już od dawna banda starych palantów jeszcze bardziej bojaźliwych niż my, żeby nas zdemotywywać i zatrzymać dzięki temu całe uciulane bogactwo tylko dla siebie.

Tak, być może te dziewczynki pewnego dnia spuszczą z tonu, być może mają zbyt łatwy i zbyt bezbolesny życiowy start i być może już teraz czują się przytłoczone tym wszechmocnym minitą, ale jak na razie... jakież piękne wspomnienia sobie gromadzą...

Na trzecim piętrze jakaś ciekawska babunia uchyliła drzwi.

– Pani Bizot! Wreszcie! Wreszcie panią zastałem, pani Bizot! – zatrąbił on. – Levitan i S-ka, dostarczamy pani komódkę Lazurowa Markiza, którą zamówiła pani u nas w kwietniu 1964! Proszę spojrzeć, co za cudo... Przepraszam, przepraszam, proszę się przesunąć, pani Bizot, proszę się przesunąć... No więc? Gdzie mamy ją postawić?

A ona o mało nie zwariowała. Ja się śmiałem. Śmiałem się, objając po drodze samego siebie i kilka kawałków ściany, bo on był taką fujarą, że ostatecznie zawsze mnie przygniatał, nie zdając sobie z tego sprawy.

– Niech pan puści – kazałem mu ostatecznie, dźwigając mebel na plecy. – Wezmę to sam, będzie szybciej.

– Ejże... Ejże, łobuzie... Chce pan zabłysnąć przed moją żoną, tak? Szanowny kawaler chce okazać dobre serce? Szanowny kawaler, elegancik, picuś-glancuś, taki... taki... taki ciumcium szuka swojej chwili chwały, tak?

Zanim zdążył dokończyć swoją tyradę, ja byłem już przed ich drzwiami.

pięć, mikrofale

Podążałem za wskazówkami jego piękności, podczas gdy on z powrotem wszystko zakładał, łącznie z muszką.

– Tędy... Do kuchni... Przy oknie... Jakaż ona piękna! Jestem taka zadowolona! Można by powiedzieć, żywcem wycięta z albumu o Martynce, prawda? *Martynka smaży naleśniki*. Brakuje tylko Pufka!

Kiedy się wyprostowałem, on stał poważny za moimi plecami, wyciągając do mnie swoją krótką rękę:

– Isaac. Isaac Moïse... Jak ten tour operator z Egiptu^[7].

Bardzo chciałem zachichotać, ale on wcale się nie śmiał. Być może taki miał sposób na oznaczenie nowej potencjalnej ery: najpierw facecje, potem przyjaźń.

– Yann – odpowiedziałem, podtrzymując jego spojrzenie – Yann Carcarec.

– Bretończyk?

– Bretończyk.

– Witaj w domu, Yann. Co mogę panu zaoferować do picia w podziękowaniu za sprawienie przyjemności Alice?

– Nic, dziękuję bardzo. Uciekam do kina.

Trzymał już w ręku korkociąg i moja odmowa wprawiała go w osłupienie. Nawet gorzej – totalnie go zatkało.

Alice uśmiechała się do mnie uprzejmie. Ona mi wybaczy to pierwsze faux pas... Dziewczynki natomiast znów rzucały na mnie swoje przykre spojrzenia jęczących sarenek. Ale... Co z ostatnim aktem?

Zegar na mikrofalówce wskazywał 20.37. Jeżeli pobiegnę na metro, to wciąż jeszcze mogę zdążyć. Tak, ale... Ale była zima... A ja byłem głodny... I zmęczony... I nie dawało mi spokoju jeszcze wiele innych rzeczy... Czy naprawdę mogłem ich tak po prostu zostawić?

Mój mały, biedny mózdzek tresera hau-hau gryzł własny ogon: przez ostatnie dziesięć minut ubawiłem się lepiej niż przez ostatnie dziesięć miesięcy mojego życia – i mówię tu „miesiące”, bo mam swoją dumę. A elementy, dla których tak bardzo chciałem zobaczyć ten film: inteligencja, humor, człowieczeństwo, objawią się – tak przeczuwałem – równie dobrze, jeżeli nie pójdę do kina.

Tak, ale on nie...

– Yann, nie powinien pan się tak długo zastanawiać, od tego się głupieje.

20.38. Uśmiechnąłem się.

Odstawił butelkę czerwonego wina, której przyglądał się z powątpiewaniem, po czym zeszedł do piwnicy.

W drodze powrotnej zaszedłem do siebie, żeby zmienić koszulę (Alice), zostawić komórkę (Mélanie) i zabrać dla maluchów dwa najdebilniejsze egzemplarze z moich zapasów. (Brellok na klucze, który powtarza twoje imię bez przerwy i coraz głośniej, kiedy ci się zawieruszy, i którym ostatecznie – jeśli tymczasem nie zapną cię w kaftan bezpieczeństwa – rzucasz w furii o ścianę, kiedy w końcu dostaniesz go w swoje ręce). (Zaplanowana żywotność, tak to nazywają).

He, he... Tym razem to ich tata będzie musiał spuścić z tonu...

sześć, targowisko

Można powiedzieć: „To tylko detale”. Jasne, jasne... Ale wiecie, nie trzeba studiować dizjanu, żeby uszanować znaczenie detali. To, co najbardziej poruszające, nigdy nie rzuca się w oczy – wzrok sam to odnajduje, a reszta...

Reszta jest mniej istotna.

Tym nieznacznym elementem, który przekonał mnie do przyjęcia od sąsiada zaproszenia na kieliszek w jego towarzystwie, nie była jego tromtadracka paplanina, która zaiste pasowała do jego krzykliwego ubioru, ani nie mróz na dworze i ciepły uścisk jego dłoni. I nie była to również, jestem o tym przekonany, perspektywa zjedzenia po raz kolejny samotnie kebabu na stojąco na ulicy ani nawet nie krecia robota mojego wewnętrznego robala, nie. Do przyjęcia zaproszenia skłoniły mnie jego słowa: „Co mogę panu zaoferować w podziękowaniu za sprawienie przyjemności Alice?” zamiast: „...mojej żonie?”.

Zachwyciło mnie to, że po swoim oszałamiającym maczo-mizoginiczno-czerstwym skeczu dwie minuty wcześniej na schodach jej imię przyszło mu na język naturalniej niż jakaś... funkcja dzierzawcza.

To tylko detal, przyznaję.

Tak się składa, że jestem czuły na ich punkcie.

Inny detal:

Kiedy wróciłem, ich dzieci siedziały przy stole. Tłoczyliśmy się w kuchni pełnej hałasu i pasji, chyba nawet nadepnałem na jakieś skorupki.

– No usiądźcie sobie w salonie, będziecie mieli spokój, dołączę do was, kiedy dziewczynki zjedzą – zasugerowała nam pani domu.

– Proszę – powiedział, wręczając jej kieliszek wina, które wcześniej napowietrzył, niuchał i którego próbował z wielką atencją. – To białe wino od naszego Pierre’a, powiedz mi, co o nim myślisz... No już, dzieciaczki, pośpieszcie się, bowiem obecny tu pan Yann powiedział mi, że ma dla każdej z was... (mina konspiratora, rozbrykane oczy i symfonia intrygujących szeptów) po małym prezencie...

Odpowiedź zabrzmiała podobnie do odgłosu chichoczących między sobą myszek.

I wznieśliśmy toast nad głowami dwóch plotkareczek, które taka zapowiedź doskonale uspokoiła, nawet jeżeli ów prezent (głębokie westchnienie) musi być „z pewnością mimo wszystko mały”, bo nie mam przy sobie „żadnej torby”. (Pierwszy raz obcowałem tak blisko z dziećmi i nie pomyślałbym, że posiadają tak duży talent do dedukcji).

Alice, stojąca przy zlewie, przyglądała mi się z uśmiechem, podczas gdy jej mąż siedział na taborecie oparty plecami o ścianę, obierał klementynki dla swoich córek i zadawał mi mnóstwo pytań na temat mojego życia.

Jedna połowa Yanna odpowiadała na pytania („A ma pan też takie łaciate? – żartowała – hau-hau dalmatyńczyki?”), podczas gdy druga, bardziej wycofana, obiecywała sobie: „Kiedy będę żył w związku, będę jak on. Nie będę zostawiał swojej kobiety samej w kuchni z dziećmi. Nie będę robił tak jak wszyscy inni mężczyźni, których znam, szukający spokoju w salonie, w męskim towarzystwie”.

To był ten drugi detal.

– O czym pan myśli, Yann? Ma pan rozmarzony wyraz twarzy...

– Nie, nie... O niczym.

Nie myślałem o niczym; właśnie przypomniało mi się, że żyję w związku.

*

Wino dobrze mi wchodziło. Od rana nic nie jadłem i czułem się dobrze. Odrobinę pijany, odrobinę wesoły, odrobinę odklejony.

Patrzyłem, obserwowałem, zadawałem pytania i słuchałem odpowiedzi. Ciekawski dokumentalista, nic niewart dyletant – napychałem się po sufit.

...wyblakłe karasie, przywiedłe jaskry, smukłość kieliszka, z którego piłem, krzesła Napoleon III, wielki stół uratowany z jadalni angielskiej pensji, jego blat z ciemnego, prawie czarnego drewna, wypolerowany przez dwa wieki suwania talerzami i wrzawą rozpisaną na tam-tamy cynowej zastawy – wzdłuż i dookoła, o czym świadczył różaniec z drobnych rysek. Dziewczynki, które przysiadły na stosach katalogów domu aukcyjnego Artcurial, świeczniki podobne do wierzb płaczących, łzawiące odpryskami wosku, lampa wisząca Poula Henningsena, tak gustownie spatynowana, z pękniętym listkiem w kłoszu, lista zakupów, obrazy bez ram, zapomniani mali mistrzowie, totalnie przegapiona babka jakiegoś kompletnie przegapionego Chardina i te wszystkie porzucone, zapomniane pejzaże, przegapione wśród jakiegoś spadku, zdobyte na jakiejś aukcji, uratowane przez Isaaca i przywrócone światłu dziennemu.

Nowsze szkice, ryciny, bardzo ładne pastele i te dziecięce, przyczepione magnesem do drzwi lodówki: opalający się księżyc, okrągłe serduszka i księżniczki o nieproporcjonalnych rękach.

Zdjęcia z automatu, które nie znalazły uznania Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Zdjęcia z automatu bez nikogo w kadrze, albo może czasem kawałek ucha maskotki w dolnym prawym rogu... Zawiadomienia ze szkoły, plan wyjść na basen i wielki powrót wszy. Zaparzacze do herbaty, starodawne miski, pudełka na herbatę. Odlewy, kamionka, wiklina, drewno toczne. Laka i mały bambusowy bicz. Fascynacja Alice ceramiką. Raku, ceramika z popiołów, celadon, niebieska miedź, porcelana i palona glina.

Czegoż ona mi nie opowiedziała o różnorodnych powłokach (szklista warstwa, która powstała w wyniku lazurowania, a później pokrywa się nią elementy przy wypalaniu) (tak mi się przynajmniej wydaje) (mówiła szybko) (a ja też czułem się, jakbym coś wypalił!), które w Japonii wyglądają o wiele bardziej rustykalnie, bo smugi przypominające o wyższości natury nad ręką człowieka (asymetrie czy nierówności to dzieło Ducha Ziemi, wiatru, słońca, wody, drewna albo nawet ognia) były uznawane za oznakę doskonałości. Tymczasem chińskie miski na przykład uznawano za wyjątkowe z uwagi na ich jednolitość i unikatową oleistą powierzchnię.

Piece w Ru, piece w Jun, piece w Longquan. Taka oto miska „o niebywale cienkiej ściance”, inna o „miękkiej” powierzchni, a ta tutaj z dekoracją typu „zajęcze futro”. Przepych epoki Song i nade wszystko szczęście słuchania o chińskiej cywilizacji zamiast o chińskim imporcie.

Nieruchome wahadło, czaszki ptaków ułożone na półce między paczkami płatków Chocapic i słoikami konfitur, reprodukcja fotografii Jacques’a-Henriego Lartigue’a, tej z młodą dziewczyną, która, nie dalej niż sto lat temu, wyginała się i ukazywała swoje spódnice ze śmiechem. Ulotki o wystawach, zaproszenia na wernisaże i przyjacielskie notki od właścicieli galerii, obdarzonych umiejętnością perswazji. „Siłą rzeczy, wszystkie pieniądze, które Isaac zarabia na opychaniu swoich staroci, ja zwracam żyjącym artystom!” Warkocz różowego czosnku, papryczki z Espelette, pękate pigwy, zasuszony granat, kandyzowany imbir na srebrnej paterze, zestaw pieprzu, pieprz długi, pieprz Kampot, biały pieprz Muntok, drzewko świeżej mięty, pęczek kolendry, gałązka tymianku i drewniane łyżeczki.

Miska dla kota, sucha karma w kształcie rybek i ogon zwierzaka, który wił się między kostkami moich stóp, kipiący śmietnik, czyste ścierki, brudne ścierki, książki kucharskie, przepisy Oliviera Roellinger

i Mapie de Toulouse-Lautrec, recepta od czyjegoś dietetyka, zapomniana między *Biblią flaków i podrobów* a *Słownikiem szczepów francuskich*, przyciszona muzyka, karaibskie reggae, koszyczek pełen migdałów, które Isaac łupał i rozdawał nam na zmianę, smak tego świeżego białego wina o aromacie owocowym, po dwóch czy trzech migdałach przegryzionych wcześniej, zapach klementynek i ich zapas, małe świece na szczęście, które przechodzą z pokolenia na pokolenie, jeżeli tylko odpowiednio się je czyści, strużka oliwy z oliwek, którą je podlewano, i światła, które właśnie zostały pogaszone, żebyśmy mogli podziwiać drgania podrygujących ogarków.

Ziarnisty i piękny, przeźroczystry pomarańcz ognia, aromat duszącej się potrawy, zapach kardamonu, goździków, miodu i sosu sojowego, gotujących się z mięsem. I aromat rumianku wyczuwalny nad włosami dziewczynek, kiedy pochylają się, by ponownie zapalić kapryśną świeczkę.

Kropelki alabastru, które Alice nosiła w kolczykach, jej staromodny, miniaturowy zegarek, luźny kok i łabędzia szyja. Przejmujące pasmo cienkich kręgów wijących się na jej karku, męska koszula z monogramem I.M. pod prawą piersią, denimowe dżinsy, klamra jej paska (prosta, kuta, barbarzyńska, bardzo w stylu Thorgala i Aaricii). Sposób, w jaki podnosiła kieliszek do ust, uśmiechając się do nas przelotnie, sposób, w jaki śmiała się, kiedy jej mąż był zabawny. I jego zdziwienie, kiedy stwierdził, że wciąż jeszcze daje radę, że to wciąż działa, że ona parska równie niezawodnie i równie głupio co wtedy, gdy się poznali. Właśnie mi o tym opowiadał: stało się to przy stoisku Rosy w świętej pamięci domu towarowym La Samaritaine, kiedy on towarzyszył swojej biednej mamusi, desperacko poszukującej rajstop w swoim rozmiarze. Alice zaś przyglądała się jakiemuś szalonemu gorsetowi z pasem do pończoch, który miał oszołomić kogoś innego niż on. Żeby ją poderwać, odegrał *Sophie Loren z Pięknej złośnicy* w wersji oryginalnej z napisami, wyskakując z przymierzalni jak diabeł z pudełka, ubrany w różowe rajstopy niczym aktorka w filmie.

Delikatność, z jaką – wyjawiała mu to po raz pierwszy – odczekała, aż on i jego matka znikną, żeby dalej bezwstydnie szperać w swoich dziwkarskich szmatkach, i to, jak zwątpiła po dojściu do kasy. Nie chciała już ratować swojego związku, chciała się wciąż śmiać z tym grubaskiem w garniturze z jasnego lnu, który rozmawiał ze swoją matką w paryskim jidysz z dzielnicy Le Marais, a z nią po włosku à la Aldo Maccione. Chciała, żeby odegrał dla niej, tak jak obiecał, *Matkę i córkę* i *Lalkę gangstera*. Nigdy w życiu nie chciała niczego od drugiej osoby tak rozpaczliwie i namiętnie. Szukała ich wszędzie, pobiegła za nimi ulicą i nabrzeżem Méjissierie i zasapana, z wypiekami na twarzy, zziębnięta, przed bużującą życiem witryną ptaszarni zaprosiła go na kolację od razu na ten sam wieczór. „Synu mój, synu – zaniepokoiła się starsza pani – czyżbyśmy zapomnieli za coś zapłacić? – Nie, nie, mamu. Nie martw się. Ta paniuszka przyszła tylko poprosić cię o moją rękę. – Ach! Przestraszyłeś mnie!”. I w jaki sposób znów patrzyła, z wciąż rozdygotanym sercem, wśród docinków całej masy drwiących ptaków, jak oni się oddalają, idąc pod ramię.

Uczta, pochlebstwo i poruszenie dla wszystkich moich zmysłów. To nie wino tak mnie upajało, tylko oni. Oni dwoje. Ta eskalacja napięcia, ta gra między nimi, sposób, w jaki mieli zwyczaj nieustannie wchodzić sobie nawzajem w słowo, wyciągając do mnie rękę i wciągając na pokład, na ich pokład, i rozśmieszać raz po raz. Uwielbiałem to. Czuję się, jakbym był kawałkiem mięcha, który wyłożono, żeby rozmroziło się na słońcu.

Zapomniałem już, że mam w sobie tyle ciętych ripost, że jestem tak bardzo podatny, wrażliwy i aż do tego stopnia godny uwagi. Tak, zapomniałem o tym. A może nigdy o tym nie wiedziałem...

Starzałem się, młodniałem z powrotem, rozplýwałem się z przyjemności.

Jasne, że w pewnej chwili zadałem sobie pytanie o naturalność. Jasne, że zacząłem się zastanawiać, czy to nie moja obecność tak ich pobudza i do tego stopnia inspiruje, czy też zawsze tacy są. Wiedziałem

jednak, jak brzmi odpowiedź: jakkolwiek przejściowa byłaby nasza sytuacja, alkohol i ja nie mamy tu zbyt wielkiego znaczenia. To, czemu się przyglądałem, było ich życiem, codziennością, rutyną. Jako mile widziany i bardzo gościnnie przyjęty świadek, byłem tylko przejściowym widzem i jutro, w tej kuchni, zapanuje ten sam radosny nastrój.

Oniemiałem.

Nie zdawałem sobie sprawy, że można tak żyć. Nie wiedziałem. Byłem jak biedak ugoszczony przez bajecznie bogatych ludzi i przyznaję, że oprócz zachwyty czułem, jak rośnie we mnie ukłucie smutku, zazdrości. Jakieś ukłucie, tak... Coś sprawiało mi ból... Nigdy mi się nie uda, czy może raczej nigdy nie będę umiał ogarnąć tego wszystkiego. Nigdy. To było zbyt nieuchwytnie.

I wciąż ich słuchając i nie porzucając udziału w rozmowie, podziwiałem sposób, w jaki dziewczynki przyciskały do siebie łokcie pod tym parasolem zbyt małym dla nich wszystkich. One już zakumały, że tych dwoje dorosłych nigdy nie zainteresuje się nimi tak bardzo jak samymi sobą, i na spokojnie uczyły się, jak w przyszłości unikać cierpienia z tego powodu.

Paplały ze sobą, śmiały się, żyły razem, dbały jedna o drugą. Odeszły już od stołu, kiedy Isaac – jako że przypadła jego kolej, wlewał mi właśnie końcówkę pierwszej butelki (wybrał trzy różne, z czego dwie z czerwonym winem, które odkorkował i zakorkował z powrotem, kiedy tylko wróciliśmy z piwnicy) – parskał w swoją brodę, wysłuchując, być może po raz tysięczny, końca początku ich historii.

No więc przyjął jej zaproszenie i zabawiał ją cały wieczór, ale nie tylko: on ją poruszył, zaintrygował, potem pozwolił jej odprowadzić się aż do samego domu (u niej, delikatna sprawa, świeżo upieczony rogacz siedział przycupnięty za judaszem), aż nagle wyszedł z roli i stanął na czubkach stóp, żeby ją pocałować.

„Alice, moja mała Alice... – oświadczył jej, ściskając mocno jej dwie długie ręce w swoich krótkich rękach. – Wolę uprzedzić panią od razu: rozgrywka nie będzie łatwa... Mam czterdzieści pięć lat, jestem podstarzałym kawalerem i wciąż mieszkam u matki... Ale proszę mi zaufać, w dniu, kiedy ją pani przedstawię, przyjdziemy do niej razem z naszym dzieckiem, żeby była bardziej zajęta dopatrywaniem się jego podobieństwa do mnie niż wyrzucaniem pani, że nie jest pani Żydówką”.

Ugięła kolana, żeby nadstawić mu drugi policzek, i wszystko potoczyło się ściśle według przewidywań. Natomiast ona jeszcze wiele lat później, do dzisiaj, wciąż nie może otrząsnąć się z wrażenia! Z drwiącą miną i złożonymi rękami odgrywała dla mnie tę szaloną scenę, naśladując nagłą powagę w jego głosie: „Alice... moja mała Alice... Rozgrywka nie będzie łatwa...” – i śmiała się. Wciąż się śmiała, wznosząc razem z nami toasty ku pamięci wspomnienia tego słodkiego szaleństwa.

Madeleine i Misia (poznawałem ich imiona jednocześnie z czymś nazwanym „instrukcjami obsługi” (?) mojego prezentu) mniej lub bardziej umościły się na mnie i słuchały mnie w milczeniu.

– No więc naciskacie ten przycisk... Ten mały pipek, tutaj... i kiedy zapali się zielone światełko, nagrywacie swoje imię. Czy co tam zresztą chcecie... Wyobrażacie sobie, co wasz breloczek miałby wam powiedzieć, kiedy rzeczywiście będzie was wzywał. Na przykład „Misia! Szukaj mnie!” albo „Madeleine! Tu jestem!”, a potem jeszcze raz naciskacie ten sam przycisk, o, w ten sposób, kiedy brelok wam się zapodzieje, wystarczy klasnąć w rękę, a on powtórzy wam dokładnie to, co nagrałyście. Praktyczne, co nie?

– A potem?

– A potem... uch... a potem, bo ja wiem... Potem pozostaje wam już tylko je wypróbować! Niech każda nagra, co tylko chce, pożycz swój brelok siostrze, która go schowa najlepiej, jak tylko może – pierwsza, która znajdzie, wygrywa!

(No, ma się tę rękę do dzieciaków, nie? ‘rwa, kto by pomyślał).

– Co wygrywa?

– Dyscyplinę – huknął ich ojciec – dyscyplinę i dwa siarczyste klapsy.

I małe myszki uciekły, piszcząc w najlepsze.

Sam już nie wiem, który wątek rozmowy nas do tego doprowadził, ale właśnie analizowaliśmy brazylijską architekturę lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku, Caldas, Tenreira, Sérgio Rodriguesa etc., podczas gdy Isaac (który wiedział wszystko o wszystkim, wszystkich znał, nigdy nie mówił nic konwencjonalnego i który, co było w nim najbardziej ożywcze, nigdy nie mówił o pieniądzach, spekulowaniu, rekordowych transakcjach i unikał tych samochwalczych anegdot, nieustająco krępujących rozmowy o sztuce, a w szczególności o dizajnie) podawał mi szklanki i talerze, które niezdarnie układałem w zmywarce. Wtedy nagle z głębi korytarza dobiegły nas jakieś metaliczne i nosowe salwy: „Piard z siusiaka” i „Piard z tyłka”, po czym zaczęły wzbierać, wzbierać, wzbierać I JESZCZE BARDZIEJ WZBIERAĆ w całym mieszkaniu.

Scato, allegro, crescendo, vivacissimo!

Breloki najwyraźniej były dobrze ukryte, a kochane maluchy zbyt rozbrykane, żeby chociaż spróbować je znaleźć.

Dziewczynki klaskały, wyczekiwały odpowiedzi i ryczały ze śmiechu, od nowa wychwalając wytrwałość i upór swoich ordynarnych azjatyckich papug, które znów i jeszcze głośniej dawały o sobie znać.

Alice parskała, bo jej córki były równie dzikie jak ona. Isaac kiwał głową w rozpacz, bo był zrozpaczony, on, ofiarny jedynak, zamknięty w tym babińcu siusmajtek. I ja, który nie wierzyłem własnym uszom: jak stworzenia równie czyste, o tak drobnych ciałkach i tak krystalicznych głosach, mogły mieć w zapasie takie ilości głośnego śmiechu?

*

Pytanie, czy zostanę na kolację, w ogóle nie padło. Chcę przez to powiedzieć, że nie zostało zadane. Na białym obrusie, który Alice dopiero co wygładziła, pochylając się w moją stronę (aaach... odgłos, dotyk jej dłoni na tym lnianym nakryciu... i jej rozchyłona koszula... i ta... ten... ten jedwabisty połysk jej stanika... i... uch... och, moje serce... jakżesz on rozbłyskiwał...), więc jak już mówiłem – na obrusie Isaac układał trzy nakrycia, nie przestając opowiadać mi o Brasili Oscar Niemeyera, którą odkrył w 1976 roku.

Przypominał sobie katedrę, jej ogrom, akustykę i nieobecność w niej Boga, zbyt onieśmielonego i zagubionego, sięgał po pieczywo, łamał je, opisywał mi Sąd Najwyższy i ministerstwa, pytając, czy ma dołożyć talerze na zupę, żałował, że nigdy nie zaszedłem w Paryżu na Place du Colonel-Fabien, oferował mi, że mnie tam kiedyś zaprowadzi, i wyciągnął dla mnie czystą serwetkę.

Skoro nie mogę stać się kochankiem jego żony, mógłbym chociaż zostać jego synem...

– Jest pan zmęczony – wtrącił nagle. – Czy ja nie zawracam panu głowy swoimi historiami?

– Wcale nie! Wcale nie! Wręcz przeciwnie!

Jeżeli tarłem mocno oczy, to nie dlatego, że chciało mi się spać, tylko żeby delikatnie je otrzeć.

Nieudacznik.

A im bardziej je tarłem, tym bardziej wilgotniały.

Imbecyl.

Żartowałem. Mówiłem, że to od wina. Że trafiło mi się słonawe, morskie wino. Winne było, co zostało dowiedzione, promieniowanie granitu, który dręczy duszę, kalwarie, wota, wielkie pływy... Cały ten słynny bretoński splin.

Oczywiście nikt się nie dał nabrać. Po prostu cały się już rozmroziłem, a po odzyskaniu elastyczności oddawałem trochę wody i tyle.

No już, już, nie ma co robić scen. Każdemu zdarza się być wydymanym przez własną duszę, nie? Tę małą bańkę... tę pizdę, która wzbiera zniechęca, żeby ci przypomnieć, że twoje życie nie sięga ci do pięt i że pogubiłeś się w swoich snach, absurdalnych i zdecydowanie cię przerastających. Są ludzie, których to nie dotyczy, to po prostu ci, którzy odpuścili... Albo nawet lepiej, o wiele, wiele lepiej i o wiele wygodniej: to ci, którzy nigdy nawet nie poczuli potrzeby zmierzenia się z... no nie wiem... po prostu zmierzenia się, stanięcia twarzą w twarz. Cholera, jakżeż im zazdrościłem. A im dalej w to brnąłem, tym bardziej czułem, że prawie wszyscy ludzie tacy są i że to tylko ja przyświrowuję. Że słucham siebie samego sikającego na martwe liście.

A przecież to nie w moim stylu, tego jestem pewien. Nie lubię się nad sobą uzalać. Jako dzieciak w ogóle taki nie byłem. Sęk w tym, że nie wiem, na czym stoję z moim życiem... I nie mówię: „z życiem w ogóle”, tylko „z moim życiem”. Z moim wiekiem, moją bezużyteczną młodością, moim dyplomem, który na nikim nie robi wrażenia, moją durną robotą, sześćdziesięcioma punktami Mélanie, jej sztucznymi całusami, które migoczą w próżni, moimi rodzicami... do których nie mam już odwagi dzwonić, moimi rodzicami, którzy nie mają już odwagi do mnie dzwonić, moimi rodzicami, którzy zawsze byli tak obecni i którzy dziś nie mają mi do zaoferowania niczego poza swoją dyskrecją.

Zgroza.

Przerywnik:

Pewnego dnia moja babcia Saint-Quay, kiedy odprowadzałem ją na grób jej syna (starszego brata mojej matki, ostatniego rybaka w rodzinie), wytłumaczyła mi, że szczęście rozpoznaje się po hałasie, jaki robi, kiedy odchodzi. Musiałem mieć z dziesięć, jedenaście lat i dopiero co skroili mi klucz do szekli i scyzoryk, więc zrozumiałem ją w stu procentach.

No cóż, z miłością jest wprost przeciwnie. Miłość poznaje się po harmidrze, jaki wyczynia, kiedy nadchodzi. Weźmy mój przykład – wystarczyło, że uprzejmy, zabawny i wykształcony człowiek, sąsiad z tej samej klatki, którego ledwo znałem, postawił przede mną kieliszek, talerz, widelec i nóż, a popękałem od stóp do głów.

Jakby ten facet zagłębił klin w najgłębiej skrywany z moich karbów i powoli kręcił mną w kółko, trzymając w rękach ogromny ciężar.

Miłość.

Nagle zacząłem rozumieć Alice. Zacząłem rozumieć, czemu tak bardzo spanikowała tego pierwszego dnia w La Samaritaine, kiedy podniosła głowę i myślała, że straciła go na zawsze. Zacząłem rozumieć, dlaczego ruszyła biegiem jak szalona i schwytała go na ulicy.

Nie złapała go za ramię tak gwałtownie po to, żeby zmusić go do odwrócenia się, tylko żeby go chwycić. I właśnie to mnie rozkleiło, właśnie ten gest: stały ład.

– Alice, maleńka. Ten chłopak umiera z głodu.

– Dziewczynki idą jutro do przedszkola, dobrze byłoby je najpierw położyć. – Skrzywiła się.

W oddali następowały po sobie na zmianę chwile ciszy (czas nagrywania) i czystego szaleństwa (zabawa w chowanego na święcie majtek i inne debilne hasła z komiksów dla dorosłych).

– T e o r e t y c z n i e i d ą do przedszkola – poprawiła się. – Dobrze, no cóż, w takim razie do stołu. Mam krem z dyni z kasztanami, który powinien przywrócić tego ślicznego Bretończyka do formy.

– Włos na cycku.

Zapadła krępująca cisza.

– Och, proszę was oboje, no proszę. Nie patrzcież na mnie w ten sposób. Ja też mam chyba prawo cofnąć się w rozwoju?

Isaac wskazał mi drogę i poszedłem umyć ręce.

Poza pokojem dzieciennym w głębi korytarza, różowym i pełnym życia, reszta ich mieszkania, z tego, co zauważyłem, była pusta. Żadnych dywanów, żadnych mebli, żadnych lamp, żadnych zasłon, żadnych przedmiotów i gołe ściany. Dziwne wrażenie. Jakby życie na tej planecie w całości skupiło się w kuchni.

– Przeprowadzacie się? – zapytałem, rozkładając serwetkę.

Nie, nie, to tylko żeby oko odpoczęło. Mają na Południu starą chatkę pasterską, gdzie uciekają jak najczęściej i która jest wypchana aż po sufit wszelkiego rodzaju sentymentalnymi szpargałami, ale tutaj, po wyjściu z kuchni, nic nie może przypominać Isaacowi o jego pracy.

– Pokój dla dziewczynek, kuchnia dla rodziny, kanapa do słuchania muzyki i łóżko do miłości! – chełpił się.

Alice dodała, że jej to pasuje, że rozumie to i docenia. I że ma cudowne łóżko. Ogromne. Transatlantyk.

(Transatlantyk..) (Ta kobieta miała dar erotyzowania wszystkiego, nie dając po sobie niczego poznać). (Pod względem nerwowym było to przegięcie). (W dosłownym sensie). (Zginało człowieka w pół).

*

Błysk świec, kremowość kremu, odrobina pieczywa, wdzięczny filec, dziki ryż, domowe *chutney*, wino, które powolutku doprowadzało człowieka do temperatury pokojowej, które wypełniało takim powiewem życia, odejmując taki ciężar samego siebie, które... przeprowadzało scyntyografię duszy, wybuchy głosów dziewczynek, coraz bardziej odległe i coraz dyskretniejsze (według ich matki nie było w tym nic przypadkowego) (dawały o sobie zapomnieć, bo myślały, że o nich zapomniano, dokładnie tak) (czyżby to było możliwe?) (czyżby dziewczynki już w tak młodym wieku były sprytnie?) (nie...) (no ej...) (jeszcze kilka złudzeń, panie kacie), strumień naszej rozmowy, nasze śmiechy, prowokacje, dyskusje, zbieżności i rozbieżności naszych poglądów. Wiedziałem już, że nic z tego nie zapamiętam (będę, już byłem o wiele za bardzo uchachany) i że nigdy tego wszystkiego nie zapomnę. Że ten wieczór stanie się dla mnie drogowskazem, Jezusem Chrystusem. Że od tej pory będzie okres „przed” i okres „po”. I że Alice oraz Isaac – co było jeszcze wciąż mocno pogmatwane, ale z drugiej strony jasne, i była to moja jedyna pewność w tych oparach alkoholu i dobrostanu – stali się dla mnie punktem odniesienia.

I już się tego bałem.

Już przeczuwałem, że jutrzejszy kac będzie nie do zniesienia.

W nieładzie, przeskakując z tematu na temat, rozmawialiśmy tym razem o jej zawodzie (nauczycielka tańca) (więc o to chodziło...) (ależ musi mieć piękne ciało), o Michaelu Jacksonie, o Carolyn Carlson, o Pinie Bausch, o Dominique’u Mercym, o teatrze muzycznym Châtelet, o Broadwayu, o teatrze tańca w Suresnes i o Stanleyu Donenie (prosiłem ją o podanie mi wody, pieczywa, pieprzu, soli, masła i czego tam jeszcze dla samej tylko przyjemności patrzenia, jak prostuje się jej ramię), o jej matce, pianistce w konserwatorium tańca klasycznego, o jej matce, która spędziła najlepsze lata swojego życia na przyglądaniu się scenicznym wzlotom adeptów szkoły baletowej i która zmarła rok temu, z przykrością stwierdzając, że tak „niezdarnie” zagrała swoją „ostatnią fugę”, o raku, o chorobie, o Instytucie Gustave-

Roussy, o niebywalej wartości tamtejszych lekarzy i wszystkich pielęgniarek, o których nikt nigdy nie wspomina, o przekonaniach, których smutek potrafi człowieka pozbawić za jednym zamachem, o zielonych rajach dzieciństwa, które nigdy nie były aż tak znów zielone, o raju jako takim, o Bogu, o jego tajemnicach i sprzecznościach, o filmie, który miałem obejrzeć tego wieczoru, o tej niezapomnianej scenie, kiedy rodzice godzą się stracić syna z oczu, żeby uwolnić go od ciężaru bycia ich synem, o moich rodzicach, o starym samochodzie, który ojciec od prawie czterdziestu lat od czasu do czasu podreperowuje z miłością, obiecując go skończyć na ślub mojej siostry, o mojej siostrze, która zdążyła się w tym czasie rozwieść, i o mojej siostrzenicy, która nagle wzięła na swoje wątłe wytatuowane ramiona wielką nadzieję dziadunia i jego fiata balilla całego w białych wstążkach, o dzielnicy, sklepikarzach, o piekarce, która tak nieładnie się do nas odzywała, a kiedy się odwracała, często można było dostrzec mączne ślady rąk na jej obszernym tyłku, o szkole, o muzyce, z którą dzieci nigdy nie stykają się, kiedy najbardziej tego potrzebują i kiedy byłoby im łatwo się jej nauczyć przez zabawę, o tym marnotrawstwie, o rewolucjach, które trzeba mieć odwagę przeprowadzić (Alice opowiadała mi, że razem z jednym ze swoich przyjaciół, perkusistą, objeżdżają raz w tygodniu żłobki i przedszkola, podsuwając maluchom instrumenty: trójkąt, małe *guiro*, marakasy... I dodawała, że nie ma na świecie nic bardziej pocieszającego, niż widok rzęs dziecka, które nieruchomieją, kiedy kij deszczowy robi w uchu „kap, kap”). O teorii Isaaca, według której życie, i nie należy o tym zapominać, trzyma się raptem na muszynie gówieńku – on to rozumiał, gdy był bardzo młody, powiedzmy, w wieku rozumu, kiedy wzywano go do przeliterowania swojego nazwiska i kiedy, zawsze i wszędzie, atmosfera wokół niego zmieniała się w zależności od tego, czy stawiał jedną kropkę, czy dwie kropki nad swoim „i”^[8] – o cynizmie, o niechęci, wreszcie o mocy, którymi takie oświecenie wypełniło jego ciało, jedna kropka albo dwie – dla dziecka to było oszałamiające, o rosyjskich baletach, o Strawińskim, o Diagilewie, o kocie, który pochodził z domu ich sąsiadów na Południu i który miaucząc, miauczał z południowym akcentem, o różnicy między markizami dzisiaj i tymi z naszego dzieciństwa – tak samo było z figowymi ciasteczkami – no więc? Czy to myśmy się zmienili, czy przepis na nie? O Mansarcie, o księciu de Ligne, o meblarstwie i kowalstwie artystycznym, o poradnikach dla majsterkowiczów wydawnictwa Vial, o Bauhausie, o małym cyrku Caldera i ikonografii berlińskiego metra.

Między innymi.

Reszta się rozmyła.

W pewnej chwili Alice zostawiła nas, żeby położyć córeczki spać, a ja nie mogłem się powstrzymać przed pytaniem mojego gospodarza, czy to prawda. Czy ich historia jest prawdziwa. Sposób, w jaki się poznali, i tak dalej.

– Słucham?

– Nie, tylko... – ciągnąłem bełkotliwie – no, naprawdę powiedział jej pan o dziecku tamtego wieczoru? Przed swoimi drzwiami? Ledwo ją znając?

Ależ pięknie się do mnie uśmiechnął. Jego oczy zniknęły, a wszystkie włosy na brodzie skrzyły się z przyjemności. Pogładził je, żeby powstrzymać ten proces, nachylił się i wyjął mi całkiem cicho:

– Ależ, Yann... Młody przyjacielu... Oczywiście, że ją znałem. Ludzi, których się kocha, nie można poznać, tylko rozpoznać. Nie wiedział pan o tym?

– Ech... no nie.

– No cóż, więc już pan wie.

Jego twarz spochmurniała, po czym dodał, spoglądając na dno swojego kieliszka:

– Widzi pan... kiedy spotkałem Alice, to byłem... chorym człowiekiem. Naprawdę miałem czterdzieści pięć lat, naprawdę byłem starym kawalerem i rzeczywiście mieszkałem z rodzicami.

W sumie... z moją matką... Jak by to panu powiedzieć? Grywa pan?

– Nie rozumiem?

– Nie mówię o grze w żółtego karła ani w garibaldkę, mówię o cierpieniach, o uzależnieniu. O Grze z prawdziwą wygraną, pisanej wielką literą: kasyno, poker, konie...

– Nie.

– Więc szczerze wątpię, czy pan to zrozumie.

Postawił kieliszek na stole i kontynuował, nie patrząc mi już prosto w oczy:

– Kiedyś byłem... myśliwym... Albo raczej psem... Tak, dokładnie tak, byłem psem... Psem gończym...

Zawsze niespokojny, zawsze na nasłuchu, zawsze jęczący, skrobiący, węszący po kątach. Opętany ideą, żeby wypłoszyć zwierzynę, wytropić, przytargać. Nie wyobraża pan sobie, kim byłem, Yannie, albo czym byłem, powinienem raczej powiedzieć. Nie, nie wyobraża pan sobie. Potrafiłem przemierzyć tysiące kilometrów jednym ciągiem i bez snu, potrafiłem opuszczać posiłki i powstrzymywać się od sikania całymi dniami. Potrafiłem przemierzyć całą Europę na podstawie intuicji, cechy probierniczej, podpisu albo mglistej obietnicy, być może, takiego akurat łuku albo innego sposobu malowania chmur... Pewności, że znajdę gdzieś tam, w Polsce, w Vierzon, w Antwerpii czy jeszcze gdzie indziej, jakiś werniks do zdrapania, podwieszany sufit do wyburzenia, makatkę do odsłonięcia. Tysiące i tysiące kilometrów, żeby przekonać się na pierwszy rzut oka, że zblądziłem i że prędko trzeba wracać! Bo straciłem już zbyt dużo czasu i ryzykuję, że ktoś mnie uprzedzi przy innym biznesie, jeżeli zostanę tam choćby sekundę dłużej!

Cisza.

– Traciłem wskutek tego sen, przyzwoitość, przytomność umysłu... Mówi się, że myśliwi mają w ustach smak krwi. Ja, kiedy miałem trzonowcami, przeżuwałem kurz z sal aukcyjnych, zapach wosku, lakieru, tapicerki, starego włosia. I zapach potu, staruchów, tych drobnych cichych pierdnięć, które zapowiadają niebywałe sraczki, morowych oddechów tych wszystkich starych wariatów, którzy stają dęba z powodu byle zacieku, ale którzy pozwalają, żeby gnęły im zęby... Tak, miałem w ustach zapach diesla z tyłka ciężarówek, zapach szybko przeliczanych i szybko chowanych do kieszeni banknotów, domów w żałobie, walczących ze sobą rodzin, odwiedzin w przytułkach na końcu świata albo w zamkach na jego skrajach... Upadłe, pogrążone w smutku i czekające na rozgrabienie... Zapach śmierci unoszący się nad niektórymi pałacami, nad niektórymi fascynatami, których znałem, albo nad szczególnym typem kolekcjonerów, którzy, wiedziałem to, znają mnie. Głos krzykacza miejskiego, głuche stuknięcie młotka sędziego-komisarza, licytacja, kondolencje drukowane w gazetach, poufne informacje, które padały czasem równocześnie z popiołem z cygara, dola odpalana tragarzom, godziny spędzane przy stole ze starymi notariuszami z prowincji, lektura „Gazette” podczas jazdy, żeby zyskać na czasie, siłowanie się z przewoźnikami, mafia ekspertów, samoloty, targi, różne biennale... Nie wiem, Yannie, czy jako dziecko czytał pan historie o traperach, kłusownikach i myśliwych Siuksach. Te wszystkie halucynogenne opowieści o polowaniu, tropieniu, safari... Ahab i jego kaszalot, Huston i jego słoń, Eichmann i jego Żydzi... Czytał pan to wszystko?

Nie.

– Sami chorzy ludzie... Tak jak ja.

Uśmiechał się i patrzył znów na mnie.

Dolał nam obydwu trochę wina, które teraz już bardziej sączyliśmy, niż piliśmy, po czym wrócił do tematu:

– Mój pradziadek był marszandem, mój dziadek był marszandem, mój wujek, mój ojciec również, a po nim jego potomek. Wyżyły rasy Moïse, psy gończe z ojca na syna! (Śmiechy). Czy wie pan, dlaczego mój wujek przeżył obóz? Bo koniecznie chciał przywieźć swojej narzeczonej kryształową popielniczkę

marki Bohemia. Ledwo był w stanie ją unieść i niepożył już długo, ale wrócił z nią! No cóż, kiedy poznałem Alice, byłem dokładnie taki sam. Byłem fantomem, wychudzonym duchem o nieruchomym i martwym już wzroku, ale tym, który przynosi ze sobą jakieś barachło, do cholery! Który nie wraca z pustymi rękami!

Cisza. Długa cisza.

– A potem? – zaryzykowałem, żeby naprowadzić go z powrotem na tory opowieści.

– A potem? Nic... A potem: Alice.

Kpiący uśmieszek.

– Ejże, ejże, sąsiedzie... Niech pan już skończy z tą miną ministranta. Mówiłem panu, że mam oko. Że mam oko absolutne. I dostrzegłem to pana spojrzenie przed chwilą na klatce schodowej, kiedy ona za mną stanęła, dostrzegłem to! Szczerze mówiąc, czy mógłbym panu o niej opowiedzieć coś, czego jeszcze pan nie pokochał?

Zadał mi to pytanie bardzo miłym głosem, a ja musiałem szarpać sobie wargi do krwi, żeby się nie rozkleić od nowa.

Przez menhiry Pergata, wysoki współczynnik pływów, mój marynarski scyzoryk Opinel i całą resztę tego bajzlu^[9].

Przytłaczające.

Na szczęście, a może z grzeczności, Isaac znów zaczął swój teatrzyk:

– Widzi pan, dla mojej mamy cholernym wyzwaniem było znalezienie szortów w jej guście! Pamiętam, miała obsesję na punkcie wyszczuplających szortów. Jednym słowem, miałem czas, dużo czasu, żeby przyjrzeć się z ukrycia tej młodej kobiecie – tancerce, jak się domyśliłem – podczas gdy ona przeglądała coraz to bardziej nęcące dessous i ważyła je w rękę, marszcząc brwi, jakby chodziło o naboje albo proch do armaty. Intrygowała mnie swoją powagą, a ta szyja już wtedy mnie... Ta szyja... Sposób, w jaki poruszała głowę, jej postawa... Oczywiście ona w końcu poczuła moje spojrzenie. Podniosła głowę, spojrzała na mnie, spojrzała na moją matkę, znów na mnie, uśmiechnęła się do nas czule, odkładając migiem swoje fatałaszki ze strachu, że nas zaszokuje. I wtedy, Yannie, wtedy, w jednej sekundzie, umarłem i zmartwychwstałem. Niby tak się tylko mówi, prawda? Chciałoby się powiedzieć, że fantazjuję, ale mówię o tym akurat panu, bo pan potrafi to zrozumieć i ponieważ już pana lubię: to była czysta prawda. Off/On. W mgnieniu oka zgasłem i zapaliłem się na nowo.

Skończył z migdałami i teraz obierał dla mnie klementynki. Przyglądał się starannie każdej cząstce, delikatnie usuwając wszystkie białe pasemka, po czym układał je wokół mojego talerza.

– Wtedy... – Westchnął. – Wtedy powiedziałem sobie: coś takiego, grubasku, taki łup nie zdarza się dwa razy... Wtedy krew rodu Moïse, moja i trzech pokoleń mąciocieli przede mną, uderzyła mi do głowy. Jeżeli ten cud przejdzie nam koło nosa, jeżeli pozwolę się komuś wyprzedzić przy takiej okazji, pozostanie mi tylko pokornie odejść na zawsze. Tak, ale jak się do tego zabrać, co? No jak? Oto ona odwraca się do mnie plecami, a moja matka, aj-waj, powoli zaczyna szwargotać swój marudny kadisz, przeklinając swojego syna, swój tyłek i Wiekuistego. Co za porażka! Stąd te różowe rajstopy. Tego się bowiem nauczyłem w moim zawodzie i przydaje się to przy każdej okazji, kiedy los również ma ochotę się trochę zabawić, tak myślę... Nadchodzi moment, kiedy trzeba sprowokować przeznaczenie. Sprowokować w sensie: r z u c i ć m u w y z w a n i e. Tak, zawsze nadchodzi ten moment, kiedy trzeba spróbować szczęścia: chwycić je za kark i postarać się je wrzucić, stawiając wszystko na jedną kartę. Wszystkie żetony, całą forszę, bez ceny minimalnej. Swoją wygodę, emeryturę, szacunek w branży, swoją godność, w s z y s t k o. W takim działaniu nie chodzi już o „Pomóż sam sobie, a Bóg ci dopomoże”, tylko o „Rozbaw Boga, a on być może ci się odwdzięczy”. Wyszedłem z tej kabiny w przymierzalni jak w rozdaniu pokera, jakbym wykladał na stół całe swoje życie, ż e b y s p r a w d z i ć, i podjąłem się

czegoś na kształt idiotycznego naśladowania Sophii Loren, dokładając starań, żeby uniknąć porażonego spojrzenia mojej matki, która chwyciła się plastikowych ud manekina Eminence, bo inaczej padłaby z wrażenia. Moja gwiazda się zaśmiała i pomyślałem, że oto wygrałem, ale nie. Ona kręciła się już teraz przy półkach z paskami...

Przerwał i uśmiechnął się.

Daleko, z głębi korytarza, dobiegały nas urywki głosu Alice, czytającej dziewczynkom bajkę.

– Na co ja liczyłem, hm? Ona była młoda i piękna, a ja stary i brzydki... Wyglądałem idiotycznie!

W slipach! W slipach pod rajstopami brudny róż, z moimi małymi, koślawymi i owłosionymi kulasami Ludwika XV. Na co liczyłem? Że ją uwiodę? Ubrałem się z powrotem, pokonany, ale niepozbowiony nadziei. Koniec końców udało mi się ją rozśmieszyć. A poza tym jest to pewna cecha, którą trzeba przypisać nam, prawdziwym towarzyszom Przypadku: kochamy wygrywać, ale też umiemy przegrywać. Prawdziwy gracz potrafi pogodzić się z porażką...

Wstał, chwycił czajnik i postawił go na gazie, po czym ciągnął dalej:

– Byłem na ulicy, matka mendziła uwieszona na moim ramieniu, wspominałem śliczną baletnicę na linii strzału i... było mi smutno. Co prawda umarłem i wróciłem do żywych, ale szczerze mówiąc, zastanawiałem się po co, skoro moje nowe życie wyglądało jeszcze mniej wesoło niż poprzednie... A w dodatku matka wciąż tam tkwiła! Ale przede wszystkim byłem bardzo skwaszony. Bielizna, w której przebierała, w ogóle nie była dla niej... Przecież takie ciało zasługiwało na pieszczotę bawełny albo jedwabiu, a nie tego straszego nylonu... Wzdychałem, uciekałem od zrzędzenia starej Jacqueline, wyobrażając sobie, jakimi halkami i innymi lekceważonymi szmatkami ja bym ją okrywał, gdyby mi pozwoliła się pokochać i... Krótko mówiąc, rozmarzyłem się aż do bólu, kiedy nagle straciłem równowagę. Co się okazało – to ta oślica powróciła, żeby mi wyrwać ramię ze stawu!

Nie przerywając wlewania bulgoczącej wody do starego imbryka wypełnionego listkami herbaty lipowej, zapodał swój drugi najpiękniejszy uśmiech tego wieczoru.

– Szczęśliwy traf – wyszeptalem.

– Tak, to prawda, ale cóż... Wie pan, nie tak łatwo jest wciągnąć damskie rajstopy...

– Nie mówiłem tylko o panu, ale o was obojgu. Oboje mieliście szczęście.

– Tak...

Cisza.

– Słuchaj... Ponieważ chodzi o ciebie – odezwał się znów Isaac – ponieważ chodzi o ciebie, tu i teraz, zwierzę ci się z czegoś, czego nie ośmieliłem się jeszcze nigdy nikomu powiedzieć. Oczywiście moja matka wciąż żyje, oczywiście. Od kiedy pamiętam, truje mi o swojej nieuchronnej śmierci. W dzieciństwie nabawiłem się od tego niezłej traumy, całe moje życie mężczyzny było naznaczone przez jej szantaż i fałszywe odejścia i dzisiaj wiem, że to ona mnie pochowa. Wszystkich nas pochowa... I bardzo dobrze. Ale dziś jest już naprawdę starszą panią. Tak, naprawdę bardzo starą kobietą, która z trudnością chodzi, nic nie słyszy i prawie nie widzi. Mimo to, mimo to w każdy czwartek, który montuje dla nas Odwieczny, w każdy czwartek, rozumiesz, zabieram ją na lunch do małego bistro na parterze jej domu i w każdy czwartek, po wypitej kawie, taki mamy rytuał, idziemy sobie wolnym krokiem aż do alei Sprawiedliwych niedaleko mostu Louis-Philippe. Kroczymy, włączymy się, prawie pełzniemy, ona wpija się w moje ramię, podtrzymuję ją, trzymam, prawie że niosę. Bola ją nogi i katuje reumatyzm, sąsiedzi ją zabijają, pomoc domowa dobija, nowa listonoszka doprowadza do szału, telewizja zatruwa, świat prześladowuje i tym razem, tym razem to pewne: koniec z nią. Tym razem ona to czuje, tym razem, kochanie, naprawdę zbieram się do drogi, wiesz... A ja wierzę jej na słowo, domyślasz się, od dawna! Ale kiedy docieramy na miejsce, ona kończy narzekać i wreszcie milknie. Milknie w oczekiwaniu, aż wymienię jej raz jeszcze wyryte w kamieniu nazwiska wszystkich tych istot ludzkich. Nazwiska i imiona. Rzecz jasna,

w każdy czwartek spełniam jej prośbę i podczas gdy wykrzykuję jej na ucho tę małą świecką litanie, czuję, fizycznie czuję, jak ciężar na moim ramieniu maleje. Oto moja stara Jacquot, nagle poruszona, z rozczulonym wzrokiem i dziecięcym uśmiechem, jakby się prostuje i z powrotem nabiera życia... I wtedy, dokładnie jak na ekranie telefonu, widzę je. W jej źrenicach, pobielałych od katarakty, widzę małe kreski jej wewnętrznej baterii, które stopniowo rosną i się mnożą, w czasie gdy padają te imiona i nazwiska. Po krótkiej chwili jej obolałe nogi przypominają o sobie i odchodzimy równie wolno, jak przyszliśmy. Równie wolno, ale bardziej dzielnie! Ci ludzie bowiem istnieli, a ponieważ zrobili to, co zrobili, mój Boże, nie będzie łatwo, ale cóż... niech to... dla nich... a przede wszystkim dla mnie, ona z chęcią postara się pożyć jeszcze chociaż z tydzień... No więc widzisz, Alice, twarz Alice wywiera na mnie dokładnie taki sam efekt...

Cisza.

Co można powiedzieć po czymś takim?

Nie wiem jak wy. Ja się zamknąłem.

– Ale wiesz... prawdziwym kluczem do szczęścia, tak mi się zdaje, jest śmiech. Wspólny śmiech. Kiedy opuściła nas Gabrielle, mama Alice, to było straszne, bo nie byłem już w stanie rozśmieszyć mojej ukochanej. Nigdy wcześniej nie byłem w życiu tak nieszczęśliwy, a przecież, zapewniam cię, pochodzę z rodziny, w której znamy się na nieszczęściach! Ze mną sprawa jest prosta: wychowałem się na dowcipach o śledziach i cielej skórcie, ale z nią, chociaż próbowałem wszystkiego, dobra, uśmiechała się, ale nie potrafiła już się śmiać. Całe szczęście – dodał, wdzięcząc się jak młoda cnotka – całe szczęście, że miałem jeszcze w rezerwie ostatni sekretny zestawik...

– Co pan zrobił?

– Sekretny, Yannie, sekretny... – krygował się, zamiast odpowiedzieć.

– No i cóż ty mu znowu opowiadasz? – zaniepokoiła się Alice, która właśnie do nas dołączyła. – Idź lepiej ucałować swoje córeczki... Pan również, Yannie. Proszę sobie wyobrazić, że o pana pytano...

Och... Ależ byłem z siebie dumny...

– Tylko uwaga – dodała, unosząc palec wskazujący – na dzisiaj koniec z głupotami, rozumiemy się?

Kiedy przyszliśmy do pokoju dziewczynek, młodsza już spała, a Madeleine czekała tylko na nasze buziaki, żeby dołączyć do siostry.

– Wiesz, do czego się zmuszam, żeby móc ucałować swoje córki? – sarkał Isaac, prostując się.

– Nie.

– Zmuszam się do mycia brody szamponem dla niemowlaków, a potem nacierania jej jakimś balsamem do rozczesywania, który czuć sztuczną wanilią. Szczyt wszystkiego... Zdajesz sobie sprawę, przez co przechodzę?

Uśmiechałem się.

– Nie potrafię pana żałować, Isaac.

– A w dodatku ty nie potrafisz mnie żałować...

*

Kiedy wróciliśmy do kuchni, Alice trzymała parującą filiżankę.

Pocałowała męża w czoło, dziękując mu, że o niej pomyślał, po czym oświadczyła nam, że żałuje, iż jest tak kiepskim kompanem, ale jest zmęczona i marzy tylko o tym, by pójść się położyć.

(Nie powiedziała „pójść spać”, powiedziała „położyć się” – i to raz jeszcze mnie przeczłogało). (A gdyby tego było mało, w chwili gdy wypowiadała te słowa, wyciągnęła ze swojego koka długą

szpilkę, potrząsnęła głową i och... to była inna osoba... Alice cała we włosach). (Delikatniejsza i mniej efektowna). (Już naga, chciałoby się powiedzieć...) (A podczas gdy ja bełkotałem swoje „achy”, „ochy”, „uchy” i co tam jeszcze bardziej błyskotliwego, czułem, jak drwiący wzrok jej męża przeszywa mi łopatki).

Zdaje się, że czekała, aż ucałuję ją na do widzenia, ale ponieważ czułem się zdecydowanie zbyt zmordowany, żeby wychylić się bardziej do przodu, ostatecznie wyciągnęła do mnie rękę.

(Uścisnąłem jej dłoń, była całkiem ciepła).

(Uch... podejrzewam, że od herbaty lipowej).

Mimo że w ogóle nie miałem ochoty wychodzić, odrobina savoir-vivre'u, której alkohol mnie nie pozbawił, miękko skierowała moje kroki w stronę marynarki i drogi do czyścca.

– Och... Yannie – zapisał Isaac – chyba nie zostawisz mnie samego ze zmywaniem?

O panie, jakżesz uwielbiałem tego małego pstrokatego Miszę.

Uwielbiałem go.

– No już. Siadaj z powrotem. W dodatku nawet nie skończyłaś klementynki! No co to za marnotrawstwo?!

*

Alice, wychodząc, pogasiła wszystkie światła, tak że teraz siedzieliśmy jedynie przy płomykach świec i poświacie miasta, prześwitującej przez okno już mniej intensywnie.

Trwaliśmy tak bez słowa przez dłuższą chwilę. Opróżnialiśmy kieliszki jak najwolniej i rozmyślaliśmy nad wszystkim, cośmy właśnie przeżyli. Siedzieliśmy tam w mroku, obydwaj trochę pijani i wymięci. On wrócił na swoje miejsce na taborecie i opierał się plecami o ścianę, a ja obróciłem swoje krzesło o dziewięćdziesiąt stopni, żeby go naśladować. Rozmarzeni, przysłuchiwaliśmy się z dala ablucji pięknej kobiety.

Prawdopodobnie musieliśmy myśleć o tym samym: że spędziliśmy miłe chwile i że mamy szczęście. No, przynajmniej ja tak myślałem. Oraz że ona chyba szcztokuje zęby trochę za szybko, prawda?

– Ile masz lat? – zapytał mnie nagle.

– Dwadzieścia sześć.

– Nigdy cię jeszcze nie widziałem. Znałem starszą panią, która zajmowała wasze mieszkanie, ale ona, zdaje się, wyjechała na wieś...

– Tak, to była ciocia-babcia mojej... mojej dziewczyny. Wprowadziliśmy się do niej w październiku.

Cisza.

– Masz dwadzieścia sześć lat i żyjesz w mieszkaniu cioci-babci pewnej młodej kobiety, której imienia nie wspomniałeś jeszcze ani razu.

Wypowiedział te słowa całkiem bezbarwnym głosem i bez stawiania w trakcie wypowiedzi jakiegokolwiek znaku interpunkcyjnego. Brzmiało to strasznie.

Nic nie odpowiedziałem.

– Młodej kobiety bez imienia, ale o bardzo surowych poglądach co do czystości podwórza i miejsca na wózki pod schodami.

Ach, więc mówiliśmy o tej samej osobie...

Powiedział to bez ironii i bez agresji. Powiedział to, po prostu to powiedział. Zacząłem rozglądać się za kieliszkiem, bo nagle trochę zaschło mi w gardle.

– Yann?

– Tak.

– Jak się nazywa ta twoja dziewczyna?

– Mélanie.

– Mélanie... Witaj, Mélanie – wyszeptał, zwracając się do jakiejś zjawy, zagubionej między piekarnikiem a zlewem. – Dobrze, więc skoro już tu pani jest, muszę pani powiedzieć, młoda damo zawsze trochę w pośpiechu, że kwestia śmietników i niedokręconego węża do podlewania to nic takiego. A wózki, hulajnogi walające się pod schodami, no cóż, to również nic takiego... Słyszysz mnie pani, Mélanie? Zamiast dzwonić na okrągło do administracji i zawracać im głowę tymi drobnymi przeszkodami bez znaczenia, lepiej niech się pani przysiadzie i wypije razem z nami. – Podniósł swój kieliszek w półmroku, po czym dodał: – Bo widzi pani... Wszyscy kiedyś umrzemy, Mélanie, wszyscy... Wszyscy pewnego dnia umrzemy...

Zamknąłem oczy.

Za dużo wypiliśmy. A poza tym nie czułem potrzeby wysłuchiwanie tego wszystkiego. Nie miałem ochoty wysłuchiwanie złych słów o Mélanie, tego byłem pewien. I nie chciałem patrzeć, jak Isaac spada na pysk ze swojego piedestału, lubiłem go.

Zwiesiłem głowę.

– Yannie, dlaczego pozwalasz mi obgadywać osobę, z którą dzielisz życie, zamiast stanąć w jej obronie? Ostatecznie jestem tylko starym durniem. Dlaczego nie spuścisz mnie po brzytwie?

Milczałem. W ogóle nie podobał mi się kierunek, jaki zaczęła obierać ta rozmowa. Nie chciałem mieszać swoich intymnych spraw ze wszystkimi pięknymi rzeczami, które dopiero co przywołaliśmy. Nie chciałem, żeby mówiono o mnie. Nie chciałem słyszeć słów „administracja” ani „śmietnik” w ustach kogoś, kto do tej pory wprawiał mnie w tak wielkie rozmarzenie. Chcąc nakierować rozmowę z powrotem na właściwe tory, zaryzykowałem, że tym razem to ja sprawię jemu przykrość:

– Bo jestem grzeczny.

Cisza.

Nie wiedziałem, do czego zmierza, ale z całych sił starałem się wrócić tam, gdzie byłem, rozlewając resztkę wina z dna butelki po równo między nasze dwa kieliszki. Nie podziękował mi za to. Nie jestem nawet pewien, czy to zauważył.

Nie byłem już taki szczęśliwy. Miałem ochotę na papierosa. Miałem ochotę otworzyć okno i pozwolić, by zimne powietrze troszkę nas ożywiło. Na to też jednak nie byłem w stanie się zdobyć. Więc popijałem.

Przestałem na niego patrzeć. Gapiłem się na świeczki. Bawiłem się zastygającym woskiem jak wtedy, kiedy byłem dzieckiem. Czekałem, aż znieruchomieje mi na palcu, i dotykałem nim wargi, tam gdzie jest łuk Kupidyna. Był tak samo letni, pachnący i delikatny co kiedyś.

On obserwował swoje splecione ręce.

Naprawdę przyszedł już na mnie czas. Mój sąsiad upijał się na smutno, ja z kolei czułem przesyty. Skumulowałem zbyt wiele emocji. Właśnie składałem się mentalnie do kupy: głowa, ręce, nogi, klucze, marynarka, schody, łóżko, śpiączka, kiedy padło od niechcienia, łup, jak bardzo miękkie cięcie tasakiem:

– Przez grzeczność można sobie życie zmarnować.

Odszukał mój wzrok i przez chwilę trzymaliśmy się na muszkach. Udawałem ofiarę, a on kata, ale oczywiście to ja miałem bardziej złośliwy wyraz twarzy. Dlaczego mi o tym mówił?

– Dlaczego pan mi o tym mówi?

– Z powodu dodo.

OK. Jest nawalony jak stodoła.

– Słucham?

– Dodo. No wiesz, te wielkie ptaki o haczykowatych dziobach, które żyły na Mauritiusie i które nasi przodkowie doprowadzili do całkowitego wyginięcia...

No dobrze. Teraz minuta dla WWF.

Isaac kontynuował:

– Nie było żadnego powodu, dla którego te biedne ptaki miałyby dotrzymywać nam towarzystwa. Ich mięso było niedobre, ich śpiew i upierzenie nie miały żadnej wartości, a one same były tak brzydkie, że nie chciał ich żaden z europejskich dworów. A mimo wszystko zniknęły. Wszystkie... Żyły tam od zarania dziejów i w niecałe sześćdziesiąt lat nasze... nasz postęp definitywnie zmiotł je z powierzchni Ziemi. A wiesz dlaczego, Yannie, mój mały?

Pokręciłem głową.

– Z trzech przyczyn. Jeden drobny powód: były grzeczne. Nie były płochliwe i z łatwością podchodziły do ręki człowieka. Drugi drobny powód: nie potrafiły latać, ich maleńkie skrzydła były śmiechu warte i kompletnie bezużyteczne. Trzeci drobny powód: nie chroniły gniazd i pozostawiały swoje jaja i młode na łaskę drapieżników. No i proszę: trzy niewielkie porażki i po sprawie. Nie ma już ani jednego.

No cóż... hm... jak by to powiedzieć. Wyginięcie *dodolusa mauritiusa* o dziesięć po pierwszej w nocy, wykładane przez mojego małego kieszonkowego proroka – przyznaję, tego się nie spodziewałem.

Przysunął swój taboret do stołu i nachylił się w moją stronę.

– Yann?

– Mhmm...

– Nie pozwól się zniszczyć.

– Słucham?

– Broń się. Broń swojego gniazda.

Jakiego znów gniazda? – zazgrzytałem wewnątrz. – Tych osiemdziesięciu metrów kwadratowych cioci-babci Berthaud dwa piętra niżej?

Chyba ironizowałem za głośno, bo mnie usłyszał:

– Oczywiście nie mam na myśli mieszkania cioci Ursuli.

Cisza.

– O czym pan mówi, Isaac?

– O tobie. Ty sam jesteś swoim gniazdem. To, kim jesteś. Jeżeli sam o to nie zadbasz, to kto to za ciebie zrobi?

A ponieważ nie rozumiałem, co ma na myśli, dalej mówił już wyraźniej i w trybie dla opornych:

– Jesteś piękny, Yannie. Jesteś naprawdę piękny. I nie mówię tu o twojej młodości, twojej czuprynie ani o twoich dużych jasnych oczach, mówię o drewnie, z którego jesteś stworzony. Na tym polega mój zawód, żeby rozpoznawać piękne rzeczy, wiesz? Rozpoznawać i oceniać ich wartość. Nie biegam już dziś po salach aukcyjnych, jestem tym, którego wzywa się na całym świecie i słucha z nabożną czcią. Nie żebym był tak sprytny, po prostu ją z n a m. Znam wartość wszystkiego.

– Ach taaak? To ile jestem wart, według pana?

Pożałowałem tonu, w jakim zadałem to pytanie. Bardzo gówniarski. Niepotrzebnie się tym przejąłem, bo on najwyraźniej mnie nie dosłyszał.

– Mówię o twoim spojrzeniu, twojej ciekawości, twojej dobroci... O sposobie, w jaki sprawiłeś, że wszyscy w moim domu pokochali cię szybciej, niżbym zdążył o tej miłości powiedzieć, o tym, jak wzięłeś moje córki na kolana i jak szaleńczo zakochałeś się w mojej ukochanej, nie planując mi jej

skrąść. Mówię o uwadze, jaką poświęcasz detalom, rzeczom, ludziom. Temu, co ci powierzają, i temu, co przed tobą ukrywają. Pierwszy raz słyszałem, jak Alice wspomina swoją mamę od czasu jej odejścia, pierwszy raz wspominała ją żywą i w dobrym zdrowiu. Dzięki tobie, Yannie, dzięki tobie Gabrielle powróciła dziś wieczór i zagrała dla nas kilka nut z Schuberta... Nie przyśniło mi się to chyba? Ty też je słyszałeś?

Jego oczy szklily się w ciemności.

– Nie słyszałeś ich?

Kiwnąłem głową, żeby się ode mnie odczepił. Dobra, wszystko gra, nie będę się znów rozklejał z powodu jakiejś kobieciny, której nawet nie znałem...

– Mówię o czułości, z jaką opowiadasz o tym, co kochasz, i z jaką chronisz to, co do ciebie należy, mówię o naszych zakupach, które wnosisz co tydzień, i kawałkach kartonu, które wsuwasz między drzwi, od kiedy zrobiło się tak zimno, i które ja wyjmuję co rano, żebyś nie dostał ochrzanu od reszty mieszkańców. Mówię o twoich pogruchotanych palcach u stopy, o twoich łzach dużego i wygłodniałego chłopca, nawiedzonych kalwariach, uśmiechach, twojej dyskrecji, grzeczności i wreszcie o uprzejmości, na którą tak fuknąłem, mimo że stanowi podwaliny naszej cywilizacji, mam tego doskonałą świadomość. Mówię o twojej elegancji, Yannie... Tak, o twojej elegancji... Nie pozwól temu wszystkiemu przepaść, bo co wtedy z was zostanie? Jeżeli ty i do ciebie podobni nie będziecie chronić swoich gniazd, to wtedy będzie... Czym stanie się ten świat? (Cisza). Rozumiesz mnie?

– ...

– Płaczesz? Ale... ale dlaczego? To, co mówię, doprowadza cię do płaczu? No hej, to chyba nic poważnego być tak wartościowym?

– Wal się, Moïse.

Podskoczył i wydał z siebie coś na kształt kwęknięcia z zachwytu, które obudziło jednego z karasi.

– Masz rację, mój drogi, masz rację! A niech to! – powiedział, stukając swoim kieliszkiem o mój. – Za nasze miłości!

Wznieśliśmy toast i wypiliśmy, patrząc sobie w oczy z uśmiechem.

– Dobre to pana wino – wyznałem wreszcie – naprawdę dobre.

Isaac pokiwał głową, rzucił okiem na butelkę i zafrasował się.

– O, proszę, zaraz ci pokażę prawdziwy powód do płaczu... Ci ludzie, o tu, na etykietce, Pierre i Ariane Cavanès, to dwie istoty ludzkie, które razem z Alice uwielbiamy najbardziej na świecie. Nasz ogród w dolinie Hérault kończy się tam, gdzie zaczyna się ich winnica. Nie jest to duża plantacja, raptem trzydzieści hektarów, ale ich wino każdego roku pnie się w rankingach i zobaczysz, że pewnego dnia skończy w towarzystwie tych najlepszych. Ojciec Pierre'a był geologiem, jego matka miała trochę ziemi i w latach osiemdziesiątych, kiedy nie było tam absolutnie niczego i nikt nie wierzył w jego pomysł – ani okoliczni winiarze, ani branżowi eksperci – Pierre podjął ryzyko i posłuchał instynktu, zasadził na tym dzikim zboczcu winorośl ze szczepu cabernet sauvignon, co tam akurat spadło z ciężarówki jakiejś dużej marki z Médoc, z tego, co zrozumiałem... Następnie zbudowali skład wina, wyposażyli się w kadzie, zadłużyli po uszy, posłuchali rad zaprzyjaźnionego emerytowanego enologa i... i pamiętasz, co Alice opowiadała nam przed chwilą na temat wielkich ceramików? O tej obsesji graniczącej z szaleństwem dotyczącej prób i pokus – tych wszystkich potencjalnych kombinacji między wodą a ogniem, między powietrzem a ziemią, no cóż, myślę, że wino to podobna bajka, tyle że owoc zastępuje ogień oraz...

I Isaac mnie upoił.

Historiami, anegdotami, terminami technicznymi, procesami winiarskimi, fermentacją, maceracją, beczkami dębowymi, Ariane, która przyjechała dwadzieścia lat temu z rodzinnej Normandii, żeby pohandlować trochę przez lato, bo marzyła jej się wyprawa do Boliwii, i która od tego czasu nigdy już

tam nie wróciła, o historii ich miłości, zmęczeniu, poświęceniach, o kruchości, o niebie, które potrafi w kilka sekund zniweczyć całoroczną pracę, o niezapomnianych degustacjach, niezapomnianych posiłkach, przewodnikach, ocenach, rankingach, o uznaniu, które przychodziło stopniowo, o trójce ich dzieci, wychowanych w surowych warunkach, na powietrzu i w koszach noszonych na plecach, o ich nadziejach i wreszcie o ich rozpacz.

Nieprzerwana fala słów, z których udawało mi się wychwycić pojedyncze hasła: nieziemska odwaga, życie pełne mozolnej pracy, wyjątkowy sukces i stwardnienie rozsiane.

– Chce sprzedać – podsumował Isaac – on chce to wszystko sprzedać i nawet jeżeli przykro mi z tego powodu, to go rozumiem. Ja sam, gdyby cokolwiek stało się Alice, też bym wszystko rzucił. To zresztą dlatego Pierre i ja tak dobrze się rozumiemy. Perorujemy sobie, perorujemy, rozprawiamy, mamy podwójne podbródki i jesteśmy straszliwie zarozumiali, ale należymy każdy do swojej damy...

Dobra, przykro mi z ich powodu, ale ptaki dodo raz jeszcze dostały po dziobie. Nie mamy już o co się bić. Ogarnęła nas inercja, świece dogasały, a mój gospodarz, ze wzrokiem zatopionym we własnych myślach, wyruszył do walki.

Sam, smutny, bezimienny i przygarbiony.

Popatrzyłem na swój kieliszek. Ile to jeszcze łyków? Trzy? Cztery?

Prawie nic.

Prawie nic i właśnie tyle zostało mi z jednego z najpiękniejszych wieczorów w moim niebywałym życiu...

Nie mam serca, żeby go opróżnić.

Moja ofiara.

Moja ofiara dla zmarłych przodków tej nieznannej mi Ariane.

Niech z wdzięczności dla mnie pozwolą jej żyć w pokoju.

Wziąłem swoją marynarkę.

siedem, zejście

Nie wiem, ile schodków dzieliło ich mieszkanie od mojego, ale wytrzeźwiałem już na drugim.

Gdyby znalazł się jakiś świadek, odparowałby wam, że to nieprawda, że kłamię. Że dobrze widział, jak się zataczałem. Zataczałem się, trzymając mocno poręczy, zanim odważyłem się zaryzykować krok w pustkę.

Był tak napruty – dodałby ten ktoś – że ostatecznie przykleił się do ściany i sunął tak aż do swoich drzwi.

Nie dość, że donosiciel, to jeszcze kretyn.

Jeżeli wahałem się, to dlatego, że naprawdę stałem nad przepaścią i nie przykleiłem się do ściany, tylko wziąłem ją w ramiona. Próbowałem ją ogrzać, żeby nie wracać samemu. Zabrać ją ze sobą do łóżka. Tę ścianę, o którą tak bardzo się obijałem kilka godzin i całe życie temu, kiedy przyciskałem do serca małą markizę w towarzystwie baroneta i dwóch księżniczek, tę ścianę, od której odbijało się po całej klatce schodowej mnóstwo życia i radości, mnóstwo fantastycznych przekleństw, śmiechów i dziecięcych konsternacji. Ta ściana, która teraz tak bardzo mi się opierała i która odmawiała zaproszenia na ostatni kieliszek do mnie, stała się moim ostatnim kompanem. Towarzyszem równie skołowanym jak ja, na którego ramieniu mogłem się wyciągnąć jeszcze na chwilę przed ponowną konfrontacją z prawdziwym życiem, prawdziwym Yannem i prawdziwą odmową.

I przyznaję mu rację, temu panu, droga pani sędzio, przyznaję mu rację, ale nie trwało to długo, wie pani... Ledwo postawiłem stopę u siebie, znaczy się u siebie... no tam, u mojej dziewczyny, u jej starej zramolałej ciotki... ledwo otworzyłem drzwi do tego miejsca, wytrzeźwiałem dosłownie w jednej chwili.

Poszukałem włącznika i zapaliło się brzydkie światło. Powiesiłem marynarkę na wieszaku – brzydkim. Lustro też takie było. Lustro, plakat w antyramie, dywan, sofa, niski stolik, wszystko. Wszystko było brzydkie.

Rozejrzałem się dookoła i niczego nie poznawałem. No któż właściwie mógłby tu mieszkać? – zdziwiłem się. – Jakieś ludziki Playmobile? Sprzedawcy pokazowego mieszkania? Ani trochę natłoku, bajzlu, fantazji, słodyczy, nic. Tylko wystrój wnętrz. Nawet gorzej: wystrojone wnętrze. Poszedłem do kuchni i tam też nie potrafiłem się odnaleźć. Niczego mi to nie przypominało. Nie opowiadało żadnej historii. A przecież próbowałem. Schyliłem się, pootwierałem drzwiczki, szafki, szuflady, ale zdecydowanie nic. Nikogo.

Może w sypialni? Podniosłem kołdrę, chwyciłem poduszkę, potem drugą, wtuliłem w nie twarz, przyjrzałem się prześcieradłu: nic a nic. Nic, co wskazywałoby na to, że kiedykolwiek wyciągały się tam jakieś istoty ludzkie. Najłżejszego zapachu perfum, potu, śliny, a tym bardziej spermy. Łazienka? Szczotki, koszula nocna Mélanie, nasze frotowe ręczniki: nieme. No cóż to właściwie za zombie i z czego ostatecznie składa się nasze życie?

Nie wiedziałem już, czego się chwycić. Po rozpuście, od której ciężaru udało mi się mniej więcej uwolnić daleko na górze, nie potrafiłem znów sobie odpuścić. Tymczasem w środku, w nosie, w gardle, niszczyło mnie to tak samo. Zaciskałem pięści. Zaciskałem szczękę. Zaciskałem pośladki. Byłem śmieszny. Jak dziecko. Mały, obrzydliwy smarkacz, kapryśny i skwaszony, ale zbyt dumny, żeby dać cokolwiek po sobie poznać.

Tak, no i co z tego? Co takiego mógłbym tu rozwalić, żeby ktoś mnie zauważył, he?

Stałem pełen nerwów, agresji i niemocy, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

Kurwa, no ale... ale która to właściwie była godzina? No co tu się właściwie wyrabia?!

osiem, przyzwoitość

– Wszystko w porządku?

Isaac zdawał się mnie nie poznawać.

– Yannie, w porządku? Wszystko gra?

Nie pamiętam już, co odpowiedziałem. Pewnie że jestem zmęczony.

To prawda. Byłem zmęczony.

Bardzo zmęczony.

Za bardzo.

To siebie samego powinienem roztrzaskać. Szkoda, że mieszkamy tylko na drugim piętrze.

– Proszę – powiedział Isaac, chwytając mnie za nadgarstek. – Weź... Odkleiłem ją dla ciebie. Na pamiątkę. A poza tym gdybyś chciał trochę zamówić, zanim... właściwie... Właściwie to teraz albo nigdy i tyle...

Mój Isaac... Mój książę... Patrzyłem na niego długo, żeby się uspokoić. Wyglądał na wyczerpanego.

Nawet skrzydełka jego muszki zwiędły.

To prawda, działał na mnie uspokajająco, ale na innym poziomie – sam też był jednak mocno odklejony. Po co mi to teraz przynosi? Co? Szczerze? Jakby nie mogło to poczekać. I niby po co miałbym zamawiać jakieś winiacze? Nie mam piwniczki, nie mam kasy, nie mam Alice, nie mam migdałów, żeliwnego rondla ani córeczek, nie mam przypraw, obrusu ani kieliszków z nóżką, niczego... Dla gościa, który ponoć potrafi wszystko przewidzieć i który miał oko absolutne, to było raczej średnie...

Dobra, trzeba przyznać, że wypiliśmy dwie i pół butelki na dwóch. Stąd pewne luki.

Staliśmy na klatce, bo z przyzwoitości nie mogłem wpuścić go do środka, i dokładnie w tej sekundzie, myśląc o tym, mówiąc to do siebie, à propos Isaaca Moïse'a, który stał się moim przyjacielem, cennym przyjacielem: „Z przyzwoitości nie mogę go wpuścić”, wreszcie dorosłem:

– Bardzo proszę, czy pozwoli pan, że razem pójdziemy na górę, chciałbym pożyczyć od Misi mały magnetofon Fisher-Price, który stoi w jej pokoju między lalkami Barbie?

dziwięć, przeprawa

Miałem już narzędzie zbrodni, teraz brakowało mi kuli do załadowania. W tym przypadku kasety. Tego reliktu minionej epoki. Małego pudełeczka z czarnego albo przezroczystego plastiku, zawierającego taśmę magnetyczną, na której można nagrywać dźwięki. Rzeczy z innego świata.

No przecież nie będę paskudził wyliczanek Misi...

Muszę mieć gdzieś jeszcze jedną czy dwie, na pewno, tylko gdzie?

Przerywnik:

Kiedy poznałem Mélanie, wynajmowałem mieszkanie z dwoma innymi koleżkami niedaleko stacji metra Barbès. We wspólnych pomieszczeniach często panował koszmarny burdel, ale ja, z tego, co pamiętam, urządziłem sobie całkiem przytulny pokój.

Dużo książek, dużo płyt, popielniczki, rozbebeszone paczki, które moja mama przysyłała mi ze wsi co tydzień (kiełbasa *andouille*, drożdżówki z ciasta francuskiego, placuszki maślane, tak, tak, przysięgam, masakra, ale ona taka już jest, ta moja mama, czysta Bretonka). Mnóstwo debilnych T-shirtów, brudne majtki, niesparowane skarpetki, beknięcia, pierdnięcia, brandzlowanie się, czerstwe dowcipy, a nawet, o cudzie, rzadko, ale mimo wszystko, czasem zaplątywały się tam dziewczęta. A do tego porozlepiane na ścianach wszystko, dzięki czemu utrzymywałem się na powierzchni: wiadomości, obrazki, twarze ludzi, których uznałem za pięknych albo których uwielbiałem, plany architektów, prototypy, makiety, pomysły, zadania ze szkoły, terminy oddawania prac, bilety do kina, wejściówki na koncerty, rzeczy, które przepisywałem z książek, zdania, które zmuszały mnie do życia z podniesioną głową, reprintsy rysunków Leonarda da Vinci, Arnego Jacobsena, Le Corbusiera albo Franka Lloyda Wrighta. Cały ten tak bardzo przewidywalny patronat z okresu, kiedy wciąż jeszcze ocierasz sobie matczyne mleko spod nosa, kiedy przybywa się do stolicy i kiedy chce się sprawiać wrażenie utalentowanego – nie wyrzekam się go jednak i nigdy nie wyrzeknę. Zdjęcia mojej rodziny, moich łódek, przyjaciół, psów, tych żyjących i tych pogrzebanych, plakaty filmowe, plakaty z wystaw, plakaty grafików, muzyków, charyzmatycznych liderów, ogólnie po prostu takie zbiorowisko...

Otóż kiedy postanowiliśmy zamieszkać razem, żeby zaoszczędzić na czynszu (mój Boże, i ja to tak po prostu mówię, to smutne – powiedzmy raczej, że dla szczęścia wynikającego ze wspólnego życia), przeprowadziliśmy się do maciupkiego dwupokojowego mieszkania niedaleko Dworca Wschodniego i tam, siłą rzeczy, musiałem ograniczyć swój rozmach.

Wiele bambetli zawiozłem z powrotem do rodziców i zatrzymałem tylko minimum niezbędne do skończenia studiów i żeby mieć się w co ubrać. Ale tak było dobrze, dużo pracowaliśmy i wychodziliśmy, kochaliśmy się, a Internet stał się tymczasem ogromną ścianą, na której mogłem sobie przypinać, odpinać i podziwiać do woli wszystko, co mnie inspirowało.

Potem kiedy pojawiła się kwestia przeprowadzki tutaj, żeby jeszcze bardziej przyszczędzić na czynszu (ale uwaga, płacimy wszystkie rachunki, tak!?) (och, mój Boże, do czego to doszło?), Mélanie raz jeszcze preselekcjonowała moje ubrania. Że niby teraz jestem już duży i chodzę do pracy, więc moje luzackie T-shirty, stara bosmanka i marynarskie swetry z demobilu, zamszaki, kornet, bibułki OCB, marynarskie berety i mój zestaw Tolkiena – nie są już mi tak bardzo potrzebne. Prawda, kotku?

Dobra. OK. Miała rację. Teraz zamieszkaliśmy w miłej okolicy i, święta prawda, naprawdę jest przyjemniej, gdy nie słyhać w nocy pociągów i nikt nie nagabuje o fajkę co dwa metry, no więc... Jeżeli taka miała być cena, to był uczciwy deal. Poza tym jeżeli sam nie byłbym w stanie przekonać się, że dorosłem, kto w to uwierzy? Tak że hop i rach-ciach, kolejne pięć kartonów mniej. Szczerze mówiąc, nigdy mi to nie przeszkadzało, lubiłem podróżować bez bagażu, ale sęk w tym, że dziś, uch... nie mam już nic. I nawet kasety magnetofonowej nie mogę być pewien.

Ufff... trudno, Misiu, jakoś ci to wynagrodzę.

A potem mi się przypomniało. Kiedy oddałem brykę do kasacji rok temu, powymowałem wszystko, co było w schowku na rękawiczki. Prehistoryczne radio zobowiązuje, musiały mi chyba zostać jakieś kasety, nie?

Szukam.

I znajduję jedną – głęboko w szafce, która została mi przydzielona. Jedną jedyną kasetę. Nie poznaję jej, nie ma na sobie żadnych napisów.

Dobra. Zobaczy się.

*

Biorę prysznic i rozkminiam. Wsuwam majtki, skarpetki, czyste dzinsy i rozkminiam. Szukam jakiejś znośnej koszuli i rozkminiam. Wiążę buty i rozkminiam. Robię sobie kawę i rozkminiam. Mija sekunda, a ja rozkminiam. Potem trzy, a ja wciąż rozkminiam.

Rozkminiam. Rozkminiam. Rozkminiam.

I kiedy w wyniku tej rozkminki wyparowuje ze mnie cały alkohol, kiedy już cały oblewam się potem i kiedy jestem tak zdenerwowany, jak to tylko możliwe, uspokajam się.

Przenoszę się do kuchni, zapalam świeczkę jak u Alice, bo zauważyłem, że światło świec czyni ludzi ładniejszymi i bardziej inteligentnymi (dobra, oczywiście, moja jest mniej stylowa, to nie kościelna świeczka, tylko element wystroju wybrany przez Mélanie, który cuchnie kokosem) (ale damy radę, damy radę) (nie wszystko jednego wieczoru, ech, Życie) (zostaw mi coś, proszę, na później). Gaszę światło, siadam i na stole przed sobą kładę mały magnetofon cały pokryty naklejkami z *Truskawkowego Ciastka*.

Wsuwam tam swoją starą kasetę i co słyszę? Massive Attack.

Ależ to Niebo przewrotne... Trudno byłoby znaleźć lepsze tło. Prawie bym z tego zakpił, gdybym nie był tak zestresowany. Cofam taśmę, chwytam mikrofon, po czym... po czym odwracam się, żeby nie widzieć swojego odbicia w oknie.

Bo jednak przykro wyglądam w tej ładnej, odświeżonej koszuli, świeczce ze sklepu Home & You i dziecięcym mikrofonem na końcu żółtego kabla. Nie, naprawdę, lepiej dla mnie, żebym tego nie widział.

Odkasliwuję i naciskam wielki przycisk „REC” (niebieski). Taśma rusza, jeszcze raz odkasłuję i... uch... och, niech to szlag, jeszcze raz.

No, mój drogi, trzeba jechać dalej...

Wciągam wielki haust powietrza, jak za czasów, kiedy próbowałem przepłynąć całe molo pod wodą, popisując się przed dziewczynami z kolonii, i jeszcze raz naciskam niebieski przycisk.

Pod wodę:

Mélanie... Mélanie, nie mogę z tobą zostać. Nie... w zasadzie, kiedy usłyszysz tę wiadomość, już mnie nie będzie, bo... bo nie chcę już z tobą żyć.

(Cisza).

Wiem, że powinienem był napisać do ciebie list, ale ponieważ boję się narobić błędów ortograficznych, a znam cię dobrze i wiem, że jeśli tylko dojrzysz u kogoś jakiś błąd, z miejsca zaczynasz gardzić tą osobą, wolę nie ryzykować.

Widzisz, nagrywam tę wiadomość, żeby ci się wytłumaczyć, i zdaję sobie sprawę, że w zasadzie już samo to by wystarczyło, Mélanie: odchodzę od ciebie, bo gardzisz ludźmi, którzy robią błędy ortograficzne.

Tobie, jak mniemam, taki motyw wydałby się trochę niepoważny, ale dla mnie to byłoby jasne. Odchodzę od ciebie, bo nie jesteś wyrozumiała i dlatego że nigdy nie widzisz, co naprawdę jest ważne w ludziach. Szczerze mówiąc, jakie ma znaczenie, czy piszesz ten sam wyraz przez „ż” albo „rz” albo czy pytasz „kogo jest ten swetr?” zamiast „czyj jest ten sweter?”, co? Jakie to ma znaczenie? Jasne, uszy trochę od tego puchną, język też, owszem, ale... co z tego? To niczego nie ujmuje, z tego, co wiem. To nie ujmuje nic a nic ludziom, ich sercom, ich wnętrzu i intencjom, chociaż nie, to wszystko rujnuje, bo gardzisz nimi, zanim w ogóle jeszcze zdążą skończyć zdanie... i hm... to... Odbiegam od tematu. Wcale nie miałem zamiaru opowiadać ci tu o zawłościach ortografii.

Gdybym chciał załatwić tę sprawę szybko, powiedziałbym ci, że odchodzę przez Alice i Isaaca. Bo owszem, w tym przypadku powiedziałbym wszystko za jednym zamachem. Odchodzę od ciebie, bo poznałem ludzi, którzy pozwolili mi zrozumieć, jak bardzo oddaliliśmy się każde w swoją stronę. Ale nie chcę ci o tym mówić. Przede wszystkim dlatego, że fukałabyś na nich jeszcze bardziej niż zwykle, a poza tym dlatego, że nie mam ochoty się tym z tobą dzielić.

(Pauza. Odgłos syreny w oddali).

Poza tysiącem innych rzeczy oni uświadomili mi, że... że udajemy, że się okłamujemy, że zamykamy wszystko pod dywan.

Mówię o miłości, Mélanie. Od jak dawna już się nie kochamy? Mam na myśli to, że nie kochamy się naprawdę. Wiesz może? Od kiedy pieprzymy się, zamiast kochać? Jest zawsze tak samo, wiem, jak sprawić ci przyjemność, i to robię, ty wiesz, jak mi się zrewanżować, i też to robisz, ale... Ale co? Co to właściwie jest? Zaspokajamy się, a potem zasypiamy? Nie, nie podnoś oczu do nieba... Dobrze wiesz, że mam rację. Dobrze wiesz.

W naszym łóżku panuje smutek...

A poza tym nie chodzi tylko o to. Dobrze cię znam i wiem, że teraz będziesz przez chwilę powtarzać na wszelkie sposoby i komu się tylko da, że jestem łajdakiem, skończonym łajdakiem i że naprawdę, jak się pomyśli o wszystkim, co dla mnie zrobiłaś, o wszystkim, co zrobiła dla mnie twoja rodzina – o mieszkaniu, czynszu, wakacjach i tak dalej – i że uszy będą mnie piekły bez końca, dlatego podam ci trzy powody, dla których się zawijam. Trzy małe powody doskonale proste i stanowcze. Może dzięki temu aż tak mnie nie obgadasz...

Nie podaję ci ich, żeby się usprawiedliwiać, podaję ci je, żebyś miała co międlić. Bo przecież bardzo to lubisz. Międlić i roztrząsać *ad nauseam*, jacy to ludzie są głupi i jak naprawdę nie zasłużyłaś sobie na to, co cię spotyka, i... Tak, to cię właśnie kręci: zawsze obwiniać innych, zamiast spojrzeć na siebie. Nie mam o to pretensji i nawet ci zazdroszczę, wiesz... Ja też chciałbym tak mieć od czasu do czasu. To by mi wiele ułatwiło w życiu. A poza tym wiem, że to wynik wychowania, że jesteś jedynaczką, że rodzice zawsze cię hołubili, zawsze spełniali wszystkie twoje kaprysy i że... że tak to już jest, no... koniec końców, trochę cię tym przesłodzili...

No i, rzecz jasna, przymknęli oczy nawet na twojego małego głupiutkiego Bretończyka. No nie, wiem, że nie jesteś zła. Ale cóż. Daję ci je mimo wszystko, żebyś miała zajęcie. Żebyście obie miały zajęcie, ty i twoja matka.

(Cisza).

Odchodzę od ciebie, bo zawsze psujesz mi koniec filmu w kinie... Za każdym razem... Za każdym razem robisz mi ten numer...

A przecież wiesz, jakie to dla mnie ważne, żeby zostać jeszcze chwilę w ciemności i emocjonalnie wrócić do siebie, czytając na ekranie ten strumień nieznanymi nazwisk, będących jak niezbędna do życia śluza między marzeniem a ulicą... Ciebie to mierzi, OK, ale mówiłem ci, mówiłem ci o tym setki razy: wyjdź pierwsza, poczekaj na mnie w holu, poczekaj na mnie w kawiarni albo idź do kina z koleżankami,

ale nie rób mi tego więcej, nie pytaj mnie, gdzie idziemy jeść, i nie opowiadaj mi o swoich znajomych i butach, które cię piją, podczas gdy film dopiero co się skończył.

Tak, nawet kiepski film. Mam to gdzieś. Skoro zdecydowałem się zostać do końca, to nie wyjdę, zanim się nie upewnię, że uczciwie podziękowano burmistrzowi Pierdziszewa Wielkiego i nie przeczytam na końcu słów „Dolby” i „Digital”. Nawet na duńskim czy koreańskim filmie i nawet jeżeli nie rozumiem nic a nic – taką mam potrzebę. Pomyśleć, że to już trzy lata, jak chodzimy razem do kina, trzy lata, jak czuję, że się niecierpliwisz, fizycznie się niecierpliwisz od pierwszych linijek listy płac i... i... no cóż, wypchaj się, Mélanie. Idź sobie do kina z kimś innym. Nie prosiłem cię o nie wiadomo co i wydaje mi się nawet, że to jedyna rzecz, o jaką cię kiedykolwiek prosiłem i... i nie...

(Cisza).

Druga sprawa – zawsze napoczynasz mi ciastka i tego też już mam powyżej uszu. Pod pretekstem dbania o linię nigdy nie zamawiasz deseru i za każdym razem, kiedy ja dostaję swój, rzucasz się na moją łyżeczkę i mi go napoczynasz. Dobra... przede wszystkim tak się nie robi. Nawet jeżeli jesteś pewna odpowiedzi, możesz mnie zapytać o zgodę, chociażby po to, żeby dać mi złudzenie, że w ogóle istnieję. Poza tym wierzch ciast jest najsmaczniejszy. Szczególnie w przypadku tart cytrynowych, serników i flanów, które należą, jak wiesz, albo jak być może wiedziałaś pewnego dnia, do moich trzech ulubionych deserów.

Tak więc proszę, będziesz mogła opowiadać swoim kumpelom: „Wyobrażacie sobie? Po wszystkim, co dla niego zrobiłam, ten palant odchodzi ode mnie przez kawałek tarty!”. I taka właśnie będzie prawda. Ale uściślij chociaż, że chodziło o wierzch. Smakosze docenią.

Ostatnia kwestia, myślę, że najważniejsza – idę sobie, bo nie lubię tego, jak odnosisz się do moich rodziców. Bóg mi świadkiem, że mimo wszystko nie zamęczałem cię nimi zbyt często. Ile razy byliśmy u nich z wizytą, od kiedy jesteśmy razem? Dwa? Może trzy? Nieważne, wolę sobie tego nie przypominać, to by mnie za bardzo rozeźliło.

Wiem o tym, że są mniej wykształceni niż twój. Mniej inteligentni, nie tak ładni, mniej interesujący. Że ich mieszkanie to trochę domowy zakątek i że mnóstwo tam serwetek i bukietów suszonych kwiatów, ale widzisz, to dokładnie tak jak z błędami ortograficznymi... To o niczym nie świadczy. Przynajmniej o niczym ważnym. Makatki, kamper zaparkowany w głębi podwórka i maski weneckie – uświadamia nam to ich zły gust, jasne, ale nie mówi ci nic o tym, jacy są. O ich tolerancji i uprzejmości. OK, moja matka jest mniej stylowa niż twoja, OK, nie wie, kim jest Glenn Gould, OK, zawsze myli Moneta z Manetem i boi się jeździć samochodem po Paryżu, ale kiedy raczyłaś ją odwiedzić, Mélanie, poszła do fryzjera specjalnie przed twoją wizytą. Nie wiem, czy zdałaś sobie z tego sprawę, ale ja tak. I za każdym razem mnie to... nie wiem... ścisza mnie to za serce. Ten rodzaj usługowego stosunku, jaki ma do ciebie, bo jesteś szczupła i elegancka i jesteś ukochaną jej syna oraz... oraz dlatego, że – to głupie – od tego wszystkiego masz wyjątkową aureę... Dla mojego ojca nigdy nie chodzi do fryzjera, ale dla ciebie, żeby wyrazić ci swój szacunek, owszem, tak, stara się... I nie możesz wiedzieć, jak bardzo mnie to porusza. Ciebie nie, prawda? Ty jesz od niechcienia i odwracasz wzrok za każdym razem, kiedy twoje arystokratyczne oczęta padną na te bibelociki z muszli albo na komplet encyklopedii ustawiony w odpowiednim porządku, ale nigdy nietknięty. Ale wiesz, ja... kiedy byłem dzieciakiem... nigdy nie widziałem, żeby moja matka miała wolne albo szła buszować po sklepach z koleżankami, bo mieszkali z nami dziadkowie i ona zajmowała się nimi non stop. A kiedy było już po wszystkim, kiedy nie musiała już im strzyc włosów albo przycinać paznokci i podawać im dzień w dzień góry ziemniaków, fasoli i czego tam jeszcze do obierania, żeby mieli wrażenie, że wciąż są jeszcze przydatni, kiedy wreszcie miała spokój, bo oni w końcu trafili na cmentarz, bęc, ich miejsce zajęły dzieci mojej siostry. I wiesz co? Nigdy nie słyszałem, żeby narzekała. Nigdy. Zawsze widziałem ją wesołą. Wyobrażasz to sobie?

Zawsze radosna... Wiesz, ile siły i odwagi trzeba mieć w życiu, żeby te dwa słowa szły ze sobą w parze u tej samej osoby przez całe życie? Kurwa, no jeżeli to nie jest szczyt stylu, to ja nie wiem! Zdradzę ci jedną rzecz, Mélanie – nie widzę żadnej różnicy między wesołością mojej matki a *Wariacjami Goldbergowskimi* granymi przez twojego Goulda. To ten sam geniusz. I ta właśnie kobieta, ta królowa, ta królowa ludzi za każdym razem, kiedy do mnie dzwoni, pyta mnie, co u ciebie słychać, i... czasami kłamię, wiesz... Czasami, zanim się rozłączę, mówię: „Mélanie cię ściska” albo „Mélanie was całuje” i... uch... nie mam już ochoty kłamać i tyle.

STOP (czerwony przycisk).

Juhuuuuuu...

Wyciągam głowę na powierzchnię i otrząsam się tak, jak to robią przystojniaki na basenach olimpijskich.

No? Nieźle przepłynąłem, co?

A one gdzie są, laseczki z klubu pływackiego? Są tam jeszcze? Widziały mnie chociaż?

dziesięć, drugi brzeg

A to ci dopiero wyczyn...

Przewijam tę orgię, żeby się upewnić, że mój demoniczny plan, sasasasasa, zadziałał, jak trzeba, robię próbę i co słyszę? Ktoś opowiada głosem spiętej kaczki o kamperze...

Och, mój Boże. Momentalnie mnie zatkało.

Co za dół.

Jestem załamany.

Ech... Jakie to trudne być sobą, kiedy nie jest się dla siebie samego inspiracją. Jakie to trudne...

Kwadrans po trzeciej. Potrzebuję jeszcze jednej kawy.

Płuczę filiżankę, podnoszę głowę i, no proszę, widzę je, tam, swoje odbicie, widzę je...

Patrzę na nie.

Myślę o Isaacu, myślę o Alice, myślę o Gabrielle, myślę o Schubercie, o Sophii Loren, o tyłku Jacqueline i jej ścianie pocieszenia.

Myślę o Sprawiedliwych i myślę o swoich rodzicach.

Myślę o mojej robocie, moim życiu, o bonach żywieniowych, wygodzie, bezpieczeństwie, o pojęciu zaangażowania, o m o i m pojęciu zaangażowania, o kasie, pieniądzach, hajsie, szmalu, forsie, o świadczeniach, kolegach z pracy, szefie, o ich obietnicach i umowie o pracę na czas nieokreślony.

Nieokreślony... W jaki sposób tak nędzne słowo mogło nabrać tyle wartości?

No w jaki?

Następnie patrzę na zabawkę na stole, która jest jak bomba z opóźnionym zapłonem, i ponownie opuszczam głowę.

Nie podoba mi się pomysł sprawienia przykrości Mélanie.

Może nie aż tak, żebym miał dalej grać komedię o miłej parce, ale za bardzo kocham ludzi, żeby podejmować ryzyko, że zranię jednego z nich, nawet tego jednego czy jedną, która okrada mnie z filmów, deserów i dzieciństwa.

Tak. Nawet ją.

Jak trudno być niegodziwym, kiedy jest się miłym. Jak trudno od kogoś odejść. Jak trudno wziąć się w garść, jak należy, nabrać powagi i mówić jednym głosem, kiedy nie lubi się autorytetów.

Jak trudno uznać samego siebie za wystarczająco ważnego, żeby jednostronnie zdecydować o zmianie w życiu drugiej istoty ludzkiej. Jakie to żałosne, żeby używać słowa „jednostronnie” w wieku dwudziestu sześciu lat, o trzeciej z rana, w kuchni mieszczańskiego mieszkanka starej ciotki swojej dziewczyny, nieobecnej z powodu roboty.

Dobra.

Trochę sflaczałem...

Co mam robić?

Co mam robić ze swoim życiem?

Co mam robić z moimi hau-hau?

Oż, kurwa... Do dupy to wszystko.

A w dodatku robię się od tego ordynarny.

Ach, do diabła... Skołowało mnie to.

Podsumujmy: potrzebuję stać się egoistą. Przynajmniej trochę. W przeciwnym razie nie żyje się tak naprawdę i na samym końcu i tak się umiera.

Ech tak..

No już, mój Yannusiu. Odwagi. Fujara w dłoń i jedziemy z koksem. Jak nie dla siebie samego, zrób to chociaż dla swoich serników.

OK, ale całkiem głupie pytanie: jak tu być egoistą, kiedy się nim nie jest? Kiedy człowiek wychował się w świecie, w którym druga osoba była ważniejsza niż on sam? W dodatku w obliczu oceanu. Trzeba się zmusić, tak? Staram się bezskutecznie przywiązać do tego pojęcia ze wszystkich sił – Ja, Ja, Ja, Moje Ja, Moje życie, Moje szczęście, Moje gniazdo – ale ono mi się wymyka. Nie interesuje mnie. To jak z zabawą w łapanie myszki za ogon: machałem rękami, żeby ucieszyć matkę, ale tak naprawdę tego nie chciałem. Dla mnie była brzydka.

Zastanawiam się – z opuszczoną głową, zaciśniętymi zębami, przykurczonymi ramionami, założonymi rękami, zapadniętą klata.

Jestem całkiem skupiony na sobie, nie dociera do mnie nic z zewnątrz, słyszę bicie swojego serca, oddycham powoli i staram się nie dać wyruchać zmęczeniu i współczuciu, które najwyraźniej poczuły się zaproszone na ten śmiechu wart szczyt.

Myślę.

Myślę o Isaacu.

Tylko on, tylko Isaac Moïse, może przeprowadzić mnie z jednego brzegu na drugi. Przypominam sobie jego twarz, opowieści, chwile milczenia, spojrzenia, chichot fauna albo cnotki, złą wolę, egoizm, wspaniałomyślność, ten debilny pretekst z etykietką sprzed chwili i sposób, w jaki chwycił mnie za nadgarstek w momencie, kiedy tak bardzo tego potrzebowałem.

Przypominam sobie jego zdanie o grzeczności i ton, z jakim je wypowiedział. Ten spokój... ten spokój i to okrucieństwo... Chwytam się tego ze wszystkich sił.

Wpijam się w to, bo to jedyna rzecz, którą jestem jeszcze w stanie ocalić z tego pierdolnika, jedyna. Tak, no tak, taki właśnie jestem – uprzejmy.

A ponieważ jestem uprzejmy, ostatecznie rozprostowuję się z powrotem i uwalniam wreszcie od samego siebie i po raz ostatni wciskam zielony przycisk, po czym odstawiam mały magnetofon Misi na dolną półkę w lodówce.

Nie będę zmuszał Mélanie, by oprócz słabości mojego charakteru obcowała z kawałkami mej pryszczatej młodości. Z moimi *Paradise Circus* i *Unfinished Sympathy*.

I kiedy na starą taśmę nagrywa się dźwięk zimna, ja zbieram swoje rzeczy.

*

Mój marynarski worek jest gotowy. Czysta bielizna, brudna bielizna, buty, maszynka do golenia, książki, laptop, głośniki, wszystko weszło.

Taki jest plus końca miłości.

Wyciągam sprzęt i naciskam wreszcie przycisk „EJECT”.

Szufladka otwiera się z dźwiękiem szczypiec. Brzdęk. Kajdany zrzucone.

Piszę na kasecie jej imię i kładę ją na jej poduszce.

Och, a w sumie nie... Na stole w kuchni.

Skoro nie mogę być wielki, będę chociaż przyzwoity.

*

Zostawiam klucz, zatrzasnę drzwi i wspinam się na czwarte piętro.

Stawiam swój domek u stóp, zapinam bosmankę, wyciągam rękawiczki, siadam i odnajduję ścianę.

Wyluzowuję się.

Czekam, aż Alice albo Isaac otworzą drzwi.

Muszę im oddać zabawkę małej i zadać ostatnie pytanie.

jedenaście, horyzont

Nazywam się Yann, André, Marie Carcarec, urodziłem się w Saint-Brieuc, za kilka miesięcy będę miał dwadzieścia siedem lat, mam 182 centymetry wzrostu, brązowe włosy, niebieskie oczy, nie posiadam kartoteki sądowej ani żadnego znaku szczególnego.

Byłem bezproblemowym dzieckiem, pobożnym i grzecznym dzieciątkiem jak malowane, maskotką klubu optymistów, spokojnym licealistą, wysoko ocenionym maturzystą, sumiennym studentem, chłopcem kochliwym, ale wiernym w uczuciach.

Znalazłem robotę pomimo braku pasji i wycucia do jakiegokolwiek zawodu. Dopiero co podpisałem umowę na czas nieokreślony, która miała mi pozwolić na odrobinę zadłużenia, żebym trochę później mógł zadłużyć się jeszcze bardziej, i chodziłem z dziewczyną pochodzącą z dużo bardziej wyrafinowanego środowiska niż moje. Z dziewczyną, która pokazała mi dobre strony mieszczaństwa, ale też jego ograniczenia. Wtajemniczyła mnie w wiele spraw, nie ukrywam, ale też utwierdziła mnie bezwiednie w moim starym, dobrym brudnym barłogu wnuka zawodowego rybaka. Dzięki niej uświadomiłem sobie, że w mojej rodzinie dbano o samego siebie o wiele mniej niż w jej rodzinie, ale za to zachowywano się lepiej. Mniej skupiano się na formach, ale łańcuch był w niej dłuższy, a kotwica pewniejsza. I nie mówiono w niej tyle złego o innych. Inni mniej nas pasjonowali. Być może dlatego, że byliśmy zbyt nieokrzesani, by patrzeć dalej niż na czubek własnego nosa, a być może to właśnie na czubku naszego nosa rozciągał się horyzont.

Być może ta linia, tam, ten nieskończony ślad między niebem a morzem od zarania dziejów, być może to nas ukształtowało na mniej aroganckie istoty ludzkie...

Być może... Nie wiem tego. Z pewnością niesłusznie generalizowałem, ale w sumie... jej ojciec zawsze mylił moje imię, kiedy ścisnął mi rękę, raz byłem Yvanem, innym razem Yvonem, jeszcze innym Erwannem – na dłuższą metę budziło to wątpliwości.

Pokochałem ją, tę jego córkę. Niech skonam, pokochałem ją. Ale nie rozumiałem już, na co liczyła. Zawodziłem ją, a ona mnie. Nie mieliśmy śmiałości wyjawić sobie tego, ale nasze ciała były mniej uprzejme od nas i mówiły sobie pewne sprawy w intymności. Jej zapach, smak, oddech, pot – wszystko jednoczyło się przeciwko mnie. Wszystko się zmieniło, żeby zbić mnie z tropu. I wyobrażam sobie, że ona też to odczuwała. Że mydło, pasta do zębów i odrobina Eau Sauvage nie zawsze maskowały moje zmieszanie.

Nie, nie wyobrażam sobie, ja to wiem.

Wiedziałem to.

Wczoraj wieczorem byłem sam. Miałem iść do kina, ale na moim piętrze stał po skosie mebel. Należał do sąsiadów, których ledwo znałem. Jakichś ludzi mieszkających dwa piętra wyżej. Do pary z dwiema córeczkami. Zaproponowałem im pomoc i zaniósłem to coś aż do ich mieszkania, gdzie zostałem z nimi aż do pierwszych godzin dnia następnego.

Dnia następnego, to znaczy dziś rano, wsiadłem w TGV, w którym spałem przez całą drogę, potem w autokar. Godzinę później wysiadłem na małym placu otoczonym platanami i wszedłem do kawiarni. Tej, która wydała mi się inspirująca i która z pewnością była latem pocieszeniem podczas niejednej partii w bule. Po wypiciu lufy wyciągnąłem z kieszeni kawałek papieru i pokazywałem go dookoła, żeby ktoś wskazał mi, w którą stronę iść i na której drodze łapać stopa.

Wrywano go sobie z rąk, komentowano, debatowano zbiorowo i przy okazji zmiotono.

Jakiś rodzaj mapy, chciałoby się powiedzieć. Mapy do skarbu z Krzyżem Południa narysowanym pośrodku. Kiedy podziękowałem, odpowiedziano mi, czy może raczej odparowano: „Uprzejmie proszę”. Aż podskoczyłem.

Nie czekałem zbyt długo. Zabrał mnie jakiś młody facet w furgonetce. Był murarzem. Budował baseny, ale teraz akurat miał martwy sezon, więc zamiast tego remontował piwnice. Z kciukiem i palcem wskazującym w górze brał na cel kruki w oddali i odstrzeliwał je w towarzystwie onomatopei. Kiedy skręcał sobie papierosa, klinował kierownicę między kolanami i przyspieszał, żeby „ustabilizować pojazd”. Spodziewał się dziecka. Jak się okazało – tego wieczoru. „‘rwa – powtarzał – ‘rwa, no zaczyna się robić poważnie...”

Uśmiechałem się. Wszystko, co mówił, sprawiało mi przyjemność. Lubiłem jego głos, akcent, gadane. Ten styl wiejskiego Ala Pacino. Musiał być w moim wieku, miał już furgonetkę ze swoim imieniem i nazwiskiem, składki na ubezpieczenie i rodzinę. Wszystko to było bardzo egzotyczne.

Wysadził mnie przy jakimś wyřębie. Przykro mu było, że będę musiał nadrobić drogi, ale wiesz, wszystko przez malucha... Mój cel był dokładnie na samym dole, za tą doliną. Mogłem iść drogą, ale szybciej byłoby na skróty, przez pole. Podziękowałem mu. Ulżyło mi, że mogę się przejść. Miałem tremę. Wmawiałem sobie, że ciężar mojej torby pomnożony przez liczbę kroków ostatecznie mnie odpręży.

I był to tylko domysł, jeden z tysiąca innych, które zamglily mi wzrok.

Rozkminiałem, szedłem, kłeciłem coś.

Wyobrażałem sobie dialogi i repliki i coraz bardziej przyspieszałem kroku, żeby rozwiąć swoje wątpliwości.

Torba wpijała mi się w ramię. Na poboczu stało coś na kształt kamiennego domeczku. Drzwi można było z łatwością otworzyć. Zostawiłem tam swoje książki.

Wróćę.

Nikt nigdy nie kradnie książek.

Rozpoznałem dom. Wyglądał tak samo jak ten na moim kawałku papieru. Zostawiłem torbę na zewnątrz, pod jednym z filarów bramy, wszedłem na podwórze i skierowałem się w stronę tej bardziej pociągającej części kompleksu budynków. Tam gdzie przed drzwiami stały buty, a w oknach były zasłony. Zapukałem. Żadnej odpowiedzi. Trochę głośniej. Dalej nikogo.

Damn! Nie będzie skarbu.

Rozejrzałem się wokoło. Starłem się zrozumieć, gdzie jestem, jak się to wszystko potoczyło, co właściwie wyprawiam w tej dziurze. Trochę to pogmatwane.

Wreszcie za moimi plecami otworzyły się drzwi. Odwróciłem się z wielkim uśmiechem zamiast bukietu kwiatów. Niestety, zwiądlł mi po drodze.

Cholera, w ogóle się tego nie spodziewałem.

Więc była już w takim stanie?

Ruchem brody wskazała mi jakiś hangar. Jeżeli nie znajdę tam Pierre’a, to wystarczy iść do końca drogi i szukać sylwetki na zboczach.

– Sylwetki albo psa! Kto trzyma za ogon psa, ten wkrótce spotka człowieka!

Wygłupiała się, no, wygłupiała.

Zrobiłem już trzy kroki, kiedy padło:

– Proszę mu przypomnieć, że Tom ma trening o szóstej! Zrozumie! Dziękuję!

Byłem zmieszany. Ja, który jestem tak uważny w stosunku do ludzi, nie byłbym w stanie wam jej opisać. Opowiedzieć o jej twarzy, ubraniu ani kolorze jej włosów. Jedyna rzecz, jaką pamiętam, to coś, czego desperacko starałem się unikać wzrokiem: para kul ortopedycznych.

dwanaście, stały łąd
Czego właściwie oczekiwałem?
Sam nie wiem...
Czegoś bardziej stylowego...

Jakiejś sceny.
Ładnej sceny.
Jak w filmie albo w książce.

Światło, majestatyczne niebo i stojący mężczyzna.

Dokładnie tak: stojący mężczyzna z czymś... hm... jakby z sekatorem w ręce.

A nawet orkiestra, skoro już przy tym jesteśmy. Fanfary z *Gwiezdnych wojen*, *Lot Walkirii* czy sam już nie wiem, jaka durnota.

Zamiast tego stanąłem na progu jakiegoś hangaru oświetlonego jarzeniówkami, z psem, który obwąchiwał mi klejnoty, i tłem dźwiękowym w formie śmiechu z puszk.

Dobrześ to rozegrał, Yannusiu, naprawdę dobrze...

Ej, to twoje życie, to nie żaden wielbłąd, tylko prawdziwy kozak!

Mrużyłem oczy bez skutku, nie widziałem kompletnie nic.

– Jest tu kto?

Spod maski traktora (nie wiem, czy traktory mają maski, i nie jestem pewien, czy to akurat był silnik traktora), wyprostowała się, przeklinając, jakaś rozczochrana postać.

– Bry – burknął do mnie – to pan jest gościem z ubezpieczalni, tak? Parker! Do nogi, na Boga!

Litości.

Ech... Moglibyśmy zrobić dubel bez kundla?

Przyjrzał mi się. Czuło się, że coś mu nie gra. Jak na agenta ubezpieczeniowego to nieco zbyt rozchełstany ze mnie chłopak, nie?

Ponieważ nic nie odpowiadałem, wreszcie odwrócił się do mnie plecami:

– Mogę panu w czymś pomóc?

I wtedy...

Wtedy już poleciałem:

– Nie – odpowiedziałem mu – nie. Pan mnie nie, ale ja panu tak... Ja przyjechałem właśnie dlatego. Żeby panu pomóc. Przepraszam. Dzień dobry. Nazywam się Yann. I... hm... (odwrócił się ponownie) wczoraj wieczorem poznałem Isaaca Moïse'a. Zaprosił mnie na kolację i kiedy popijaliśmy pana wino, opowiadał mi o panu. Opowiedział mi państwa historię i o... o chorobie pana małżonki i ... i o tym wszystkim. Powiedział mi, że już pan w to nie wierzy, że jest pan zmęczony, że postanowił pan sprzedać swoją plantację i że (teraz już mi się przyglądał, a ja patrzyłem gdzie indziej, żeby nie sflaczeć, liczyłem plamy od smaru na jego boku) i... i nie. Nie sprzeda pan. Nie sprzeda pan, bo dla pana rzuciłem robotę. Robotę, dziewczynę, wszystko... Chociaż nie... nie dla pana, tylko dla siebie i... to... Isaac i Alice użyczą mi swojego domu aż do lata, mam dwie ręce, dwie nogi, aktualną kartę szczepień, jestem z Bretanii, jestem uparty, nie mam pojęcia o winie, ale się nauczę. Kiedy coś mnie interesuje, szybko się uczę. A poza tym mam prawko. Mogę jeździć. Mogę robić zakupy. Mogę zajmować się gotowaniem. Mogę za

chwilę zawieźć Toma na trening, jeżeli pan chce. Mogę robić wszystko, czego pana... wszystko, co robiła Ariane i czego obecnie nie może doglądać. A poza tym moi rodzice też panu pomogą. Mój ojciec pracował jako główny księgowy, teraz jest na emeryturze, ale dalej liczy równie szybko i pomoże panu, jak tylko będzie mógł, jestem tego pewien. W dodatku moi rodzice należą do czegoś w rodzaju klubu dla oldbojów, który objeżdża Europę kamperami, i w okresie sprzedażowym przyjadą tu wszyscy, zobaczy pan... Oni razem ze swoimi angielskimi, włoskimi, holenderskimi znajomymi, cała ferajna. I mogę pana zapewnić, że to się rozniesie. Że ci ludzie nie będą się dla pana oszczędzać, nawet będą z tego dumni! Nie można sprzedawać, Pierre... To, co dotychczas osiągnęliście, jest zbyt piękne... Nie można opuszczać rąk.

Cisza.

Cicho jak makiem zasiał.

Gówniana cisza.

Cicho, aż dzwoni w uszach, w bladym świetle jarzeniówek.

Facet patrzył mi prosto w oczy. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Brał mnie za wariata? Poddał się już dawno? Podpisał już coś? Wolałby, żebym był z ubezpieczalni? Od komornika? Od notariusza? Szukał adekwatnie soczystej riposty, żeby wysłać mnie tam, skąd przyjechałem?

Czyżby właśnie ostrzył słowa, żeby wypomnieć mi na całego zarozumiałość i próżność mojej niepoważnej postawy małego, paryskiego mieszcuszka w kryzysie, poszukującego ekoprzygody?

Był głuchy? Głupi? Uch... czy był szefem? Czy to był Pierre Cavanès? Czy w ogóle kojarzył moich sąsiadów z klatki? Może był robotnikiem sezonowym? Albo może mechanikiem od traktorów?

Rozumiał po francusku?

Hej ho, szacowny tubylcze, ty rozumieć, co ja mówić do ty?

Trwało to wieki. „rwa, zaczynało się robić poważnie”, jakby powiedział mój przyjaciel murarz. Nie wiedziałem już, czy powinienem zrobić krok w przód, czy uciekać gdzie pieprz rośnie.

Problem polegał na tym, że w ogóle nie miałem ochoty sobie iść. Przyjechałem z daleka i zrobiłem długą trasę od wczoraj. Nie byłem w stanie sobie iść.

Jarzeniówki brzęczały, radio skrzeczało, pies liczył punkty, a ja czekałem. Wciąż miałem jego etykietkę w ręce i podążałem za instrukcjami mojego przyjaciela Isaaca: starałem się rozbawić los.

Byłem groteskowy? Sytuacja była groteskowa? Trudno. Poradzę sobie. Z chęcią dam się po raz kolejny wykopać, ale nie zostawię swojego gniazda. Już nie. Teraz już nie.

Miałem już powyżej uszu bycia grzecznym. Nie opłacało się to.

– A niech mnie... – powiedział wreszcie mężczyzna. – Naprawdę aż tyleście tego wypili?

Jego twarz wciąż wydawała się równie niewzruszona, ale odrobina, jakiś śpiewający szmerek kpiarstwa wygiął się nieznacznie w znak zapytania.

Uśmiechnąłem się.

Spędził jeszcze chwilę, przyglądając mi się, po czym z powrotem zainteresował się swoim silnikiem.

– Więc to Moïse pana przysyła...

– On sam.

Cisza. Długa cisza.

Śmiech z puszki.

Niesmak.

Po jakichś... no nie wiem... dziesięciu, piętnastu, być może dwudziestu minutach podniósł głowę i wskazał mi wzrokiem kierownicę.

– No dalej. Odpal, żeby sprawdzić.

I odpaliłem.

Żeby sprawdzić.

Przypisy

- [1] W oryginalnej wersji piosenki kontroler dziurkował bilety w paryskim metrze: *Dziurka tu, dziurka tam...* (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).
- [2] Aluzje do wierszy Arthura Rimbauda pt. *Romans* oraz *Moja bohema* podane zgodnie z przekładem – odpowiednio – Jarosława Iwaszkiewicza i Zenona Przesmyckiego.
- [3] Jean-Baptiste po francusku to dosłownie Jan Chrzciciel. Niestety, polski ekwiwalent „Jan Baptysta” nie oddaje biblijnych konotacji tak dosłownie, więc aluzje narratorki giną w przekładzie.
- [4] Francuscy piosenkarze, popularni szczególnie w latach sześćdziesiątych do osiemdziesiątych XX wieku.
- [5] Chodzi zapewne o jedno z dzieł znanego smakosza i literata, Alexandra Grimod de la Reynière’a, napisanych na przełomie XVIII i XIX w. i uznawanych za kanoniczne dla historii europejskiej gastronomii.
- [6] Tygodnik poświęcony aukcjom antykwarycznym i kolekcjonerstwu.
- [7] Moïse to francuska wersja hebrajskiego imienia Mojżesz.
- [8] W języku francuskim nazwisko Isaaca, Moïse, pisane z „i” zdradza jego żydowskie pochodzenie, lecz zapisane ze zwykłym „i”, może uchodzić za francuskie nazwisko odrzeczownikowe.
- [9] Wymienione powyżej elementy są charakterystyczne dla rodzinnego regionu bohatera (Bretania), który rzekomo ma wpływ na jego wrażliwy i sentymentalny charakter.